

MAJ SJOWALL PER WAHLOÓ

Śmiejący się policjant

przełożyła

MARIA OLSZAŃSKA

Tytuł oryginału szwedzkiego: DEN SKRATTANDE POLISEN

Okładkę projektował: Marek Trojanowski

ISBN 83-85189-14-9

Warszawa 1992

Agencja „Reporter”

02-928 Warszawa

ul. Aleksandra Zelwerowicza 19

tel 42-01-32

Skład: Pracownia Poligraficzna COMPTExT, Warszawa

Druk: Drukarnia Kolejowa w Warszawie

I

Trzynastego listopada wieczorem w Sztokholmie lało.

Martin Beck i Kollberg siedzieli nad partią szachów

w mieszkaniu Kollberga, niedaleko stacji kolei podziemnej

Skarmarbrink na jednym z południowych przedmieść.

Obaj byli wolni, ponieważ w ciągu kilku ostatnich dni nie

wydarzyło się nic specjalnego.

Martin Beck był marnym szachistą, jakoś jednak grał. Kollberg miał córkę liczącą niewiele ponad dwa miesiące. Tego wieczoru wyjątkowo musiał pełnić rolę niańki, zaś Martin Beck nie miał zbytnej ochoty na powrót do domu, póki to nie było zupełnie konieczne. Pogoda była ohydna. Ruchoma kurtyna deszczu omiatała dachy i klaskała w okna, ulice były zupełnie prawie opustoszałe, skąpo zaludnione przez nielicznych przechodniów, którzy mieli widać jakieś ważne powody do wyjścia. Przed ambasadą Stanów Zjednoczonych przy Strandvagen i wzdłuż prowadzących tam ulic czterystu policjantów walczyło z dwakroć większą liczbą demonstrantów. Policjanci wyposażeni byli w bomby z gazem łzawiącym, 5 pistolety, bicz, pałki, samochody, motocykle, krótkofalówki, megafony, psy gończe i rozhisteryzowane konie. Demonstranci zbrojni byli w list-petycję i papierowe transparenty, które coraz bardziej rozłaziły się na ulewnym deszczu. Trudno byłoby uznać ich za jednolitą grupę, gdyż w skład jej wchodziłi ludzie wszelkiego rodzaju, od trzynastoletnich uczennic w dżinsach i dufflecoutach i śmiertelnie poważnych studenckich polityków do prowokatorów i zawodowych awanturników, a nawet

osiemdziesięcioletniej artystki w berecie i z niebieską parasolką. Jakiś silny wspólny popęd skłonił ich do przeciwstawienia się ulewie i wszystkiemu, co się mogło poza tym zdarzyć.

Policjanci ze swej strony też nie stanowili elity korpusu policyjnego. Zostali ściągnięci ze wszystkich posterunków w mieście. Ale każdemu, kto miał znajomego lekarza albo umiał się w inny sposób wykręcić, udało się uniknąć tego nieprzyjemnego odkomenderowania. Pozostali tacy, którzy wiedzieli co robią, i aprobowali to, tacy, którzy w zawodowej gwarze nazywani są kogucikami, i tacy, którzy zbyt młodzi byli i niedoświadczeni, by odważyć się na ucieczkę, a poza tym pojęcia nie mieli, w czym właściwie uczestniczą, a już tym bardziej, dlaczego to robią. Konie stawały dęba i żuły wędzidła, policjanci przesuwali palcami po pochwach pistoletów i wywijali pałkami. Mała dziewczynka niosła transparent z godnym zastanowienia napisem: SPEŁNIJ SWÓJ OBOWIĄZEK! ŚCIAĞNIJ WIĘCEJ POLICJANTÓW! Trzej posterunkowi, o wadze osiemdziesiąt pięć kilo każdy, rzucili się na nią, podarli plakat i zawlekli

6

ją do samochodu, gdzie wykręcili jej ręce i łapali ją za piersi. Tego właśnie dnia skończyła trzynaście lat i piersi

nie zdążyły jej jeszcze wyrosnąć.

Razem ujęto ponad pięćdziesiąt osób. Wielu krwawiło.

Niektórzy byli tak zwanymi ważniakami, po których można było się spodziewać, że napiszą o tym w gazetach albo będą pyskować w radio i w telewizji. Na ich widok dyżurnych oficerów komendy dzielnicowej dreszcz przenikał i wskazywali im drzwi wśród usprawiedliwiających uśmiechów i powściągliwych ukłonów. Dla pozostałych obowiązujące przesłuchania nie były zbyt przyjemne. Jeden z konnych policjantów dostał w głowę butelką. Ktoś ją przecież musiał rzucić.

Operacją dowodził oficer policji wysokiego stopnia z wykształceniem wojskowym. Uważany był za eksperta od spraw porządkowych i z zadowoleniem obserwował całkowity bałagan, do jakiego udało mu się doprowadzić.

W mieszkaniu przy Skarmarbrink Kollberg zgarnął figury i pionki, wrzucił je do kasetki i zamknął wieczko.

- Nigdy się nie nauczysz - powiedział z wyrzutem.
- To widać wymaga specjalnych zdolności — powiedział Martin Beck posepnie. - Trzeba mieć do tego smykałkę.

Kolberg zmienił temat.

- Cholerne zamieszanie musi tam być na Strandvagen

- powiedział.

- Prawdopodobnie. A o co tam chodzi?

- Chcą wręczyć list ambasadorowi - powiedział

Kollberg. - List. Dobrze sobie. Dlaczego pocztą nie poślą?

7

- Nie zwróciłoby takiej uwagi.

- Pewnie. W każdym razie głupio, że aż wstyd.

- Tak - przyznał Martin Beck.

Włożył płaszcz i kapelusz i zamierzał już iść. Kollberg podniósł się pospiesznie.

- Wyjdę z tobą - powiedział.

- A co masz na ulicy do roboty?

- Tak sobie położę trochę.

- W taką pogodę?

- Lubię deszcz - odpowiedział Kollberg owijając się granatowym popelinowym płaszczem.

- Nie wystarczy, że ja już jestem przeziębiony

— powiedział Martin Beck.

Martin Beck i Kollberg byli policjantami. Pracowali w komisji zabójstw. Chwilowo niczym się specjalnie nie zajmowali i mogli ze względnie spokojnym sumieniem uważać się za wolnych od obowiązków.

W mieście nie widać było na ulicach policjantów.

Starsza pani przed Dworcem Głównym na próżno oczekiwała, że jakiś posterunkowy podejdzie i zasalutowawszy z uśmiechem pomoże jej przejść na drugą stronę.

Osobnik, który w tej chwili właśnie wybił szybę wystawową w centrum, nie musiał się obawiać, że wycie syreny radiowozu policyjnego przerwie rozpoczęte dzieło.

Policja była zajęta.

Przed tygodniem szef policji w oficjalnej wypowiedzi oznajmił, że wiele normalnych obowiązków policji ulega zaniedbaniu, gdyż musi ona chronić amerykańskiego ambasadora przed listami i innymi wystąpieniami ludzi nie

8

darzących sympatią Lyndona Johnsona i wojny w Wietnamie.

Lennart Kollberg nie darzył sympatią Lyndona Johnsona i wojny w Wietnamie, lubił natomiast łązić po mieście w deszcz.

O jedenastej wieczorem w dalszym ciągu padało i demonstrację można było uznać za rozwiązaną.

A jednocześnie w Sztokholmie zdarzyło się osiem morderstw i jedno usiłowanie morderstwa.

II

Deszcz, myślał melancholijnie, spoglądając w okno.

Listopadowa ciemność i deszcz, zimny, ulewny. Zapowiedź bliskiej zimy. Wkrótce spadnie śnieg.

Nic w mieście nie było w tej chwili specjalnie atrakcyjne, a już zwłaszcza ta ulica: ogołoczone z liści drzewa i wielkie staroświeckie kamienice czynszowe. Odludna esplanada, źle wytyczona i niewłaściwie zaplanowana, już gdy ją zabudowywano. Donikąd nie prowadzi i nigdy nie prowadziła, istnieje tylko jako smutne wspomnienie rozpoczętego kiedyś dawno z wielkim rozmachem i nigdy nie zrealizowanego planu rozbudowy miasta. Nie ma tu oświetlonych wystaw ani ludzi na trotuarach. Tylko wielkie nagie drzewa i latarnie, których zimne białe światło odbija się w kałużach wody i lśniących od deszczu dachach samochodów.

Tak długo włożył się po deszczu, że włosy i nogawki

9

spodni zupełnie mu przemokły i czuł już wilgoć ściekającą wzdłuż pischeli, na karku, na szyi, aż między łopatkami, zimną, sączącą się.

Zapiął górne guziki płaszcza, wsunął rękę do kieszeni kurtki, dotknął kolby pistoletu. Też była zimna i wilgotna.

Mężczyzna w ciemnogrnatowym popelinowym płaszczu mimo woli wzdrygnął się przy tym dotknięciu

i spróbował myśleć o czym innym. Na przykład o pergoli hotelu w Andraitx, gdzie pięć miesięcy temu spędzał urlop. O ciężkim nieruchomym upale, o jasnym blasku słońca nad wybrzeżem i rybackimi łódkami, o głębokim błękicie nieba tuż nad grzebieniem gór po drugiej stronie zatoki. Potem pomyślał, że prawdopodobnie i tam pada o tej porze roku, a tam nie ma w domach centralnego ogrzewania, tylko otwarte paleniska.

I że znajduje się już nie na tej ulicy co przed chwilą, i że wkrótce będzie musiał znowu wyjść na deszcz.

Usłyszał, że ktoś za nim idzie po schodach, wiedział, że to osoba, która wsiadła przed domem towarowym Ahlena, przy Klaraberggatan, w śródmieściu, dwanaście przystanków wcześniej.

Deszcz, pomyślał. Nie lubię deszczu. Właściwie nienawidzę. Ciekaw jestem, kiedy mnie wezwą. Co ja tu właściwie robię, dlaczego nie jestem w domu i nie leżę z...

To była jego ostatnia myśl.

Autobus był czerwonym piętrowcem, z górną częścią pomalowaną na kremowo i z szaro lakierowanym dachem.

Typ Leyland Atlantean zbudowany w Anglii, lecz skonstruowany specjalnie dla wprowadzonego w Szwecji

przed dwoma miesiącami prawostronnego ruchu drogowego. Tego wieczoru kursował na linii 47 w Sztokholmie, od Bellmansro w Djurgarden do Karlberg i z powrotem. Teraz skręcił właśnie na północo-zachód i zbijał się do przystanku na Norra Stationsgatan, położonego w odległości zaledwie kilku metrów od granicy między Sztokholmem i Solną.

Solna jest przedmieściem Sztokholmu, funkcjonuje jednak jako całkowicie niezależna administracyjnie jednostka miejska, nawet jeżeli granica między tymi dwoma miastami istnieje tylko jako linia wytyczona na planie.

Czerwony autobus był duży, miał ponad jedenaście metrów długości i prawie cztery i pół metra wysokości.

W dodatku ważył przeszło piętnaście ton. Reflektory miał zapalone i wyglądał ciepło i zacisznie, gdy z zapotniałymi oknami toczył się między rzędami nagich drzew wzdłuż opustoszałej Karlsbergvagen. Potem skręcił na prawo w Norrbackagatan i warkot motoru uległ przytłumieniu na długiej pochyłości zjazdu ku Norra Stationsgatan.

Deszcz bębnił w dach i w szyby, spod kół tryskały kaskady wody, a autobus ciężko i nieodwracalnie staczał się w dół.

Koniec pochyłości był również końcem ulicy. Autobus powinien skręcić pod kątem trzydziestu stopni w Norra

Stationsgatan a stamtąd pozostawało już tylko trzysta metrów do pętlicy.

Jedyną osobą, która w tym momencie obserwowała pojazd, był mężczyzna kryjący się pod ścianą domu na Norrbackagatan, o sto pięćdziesiąt metrów powyżej.

Osobnik ten był włamywaczem i zamierzał w najbliższym
11

momencie wybić szybę. Przyglądał się autobusowi i czekał, aż przejedzie, bo chciał mieć wolną drogę.

Bardzo dokładnie zauważył, że autobus zahamował na skrzyżowaniu i zaczął skręcać w lewo migając bocznym światłem. Potem zniknął mu z pola widzenia. Deszcz bębnił zupełnie ogłuszająco. Osobnik podniósł rękę i stukł szybę. Tego, że skręt wcale się w pełni nie dokonał, nie dostrzegł. Czerwony piętrowy autobus skręcając jak gdyby przystanął na chwilę. Potem potoczył się w poprzek ulicy, wjechał na trotuar i wbił się do połowy w drucianą zaporę, oddzielającą Norra Stationsgatan od położonego po drugiej stronie pustego terenu dworca towarowego.

Tam się zatrzymał.

Motor zgasł, ale reflektory i wewnętrzne oświetlenie nie zgasło.

Zamglone okna w dalszym ciągu rzucały blask

w ciemność i chłód i wewnątrz wydawało się również zaciszne.

A deszcz zacinał w dach.

Było trzy minuty po jedenastej. Wieczór, trzynastego listopada 1967.

W Sztokholmie.

III

W radiowozie z Solny siedzieli dwaj policjanci:

Kristiansson i Kvant.

W czasie swej mało urozmaiconej kariery ujęli setki pijaków i wielu złodziei, a raz przypuszczalnie uratowali

12

życie sześciolatniej dziewczynce, przyłapując notorycznego mordercę seksualnego w chwili, gdy zamierzał na małą napaść. Stało się to przed pięcioma prawie miesiącami i oględnie mówiąc przez przypadek tylko, co nie umniejszało wcale wagi tej interwencji, która urosła do czynu bohaterskiego, jakim długo jeszcze zamierzali żyć.

Tego jednak wieczoru nic im się jakoś nie trafiło, tylko po jednym piwie na każdego, co jako sprzeczne z regulaminem, powinno być raczej pominięte.

Tuż przed wpół do jedenastej zostali zaalarmowani przez radio i pojechali pod wskazany adres, na Kapellgatan w dzielnicy Huvudsta, gdzie ktoś przed wejściem do

własnego domu natknął się rzekomo na osobę nie dającą znaku życia. Dojazd zabrał im tylko trzy minuty.

Tuż przed wejściem leżała rzeczywiście istota płci męskiej w wystrzępionych czarnych spodniach, zdartych butach i wytartym, zabłoconym ulsterze. Wewnątrz, w oświetlonej klatce schodowej stała starsza niewiasta w pantoflach i szlafroku. Ona to prawdopodobnie złożyła zażalenie. Dawała im znaki przez szybę, potem uchyliła drzwi, wysunęła rękę przez szparę i nakazującym gestem wskazała nieruchomą postać.

- Aha, no więc cóż tu słyhać? - powiedział Kristiansson.

Kvant pochylił się i fuknął gniewnie.

- Nie dający znaku życia - powiedział z głębokim niesmakiem. - Weź no go, Kalle.

— Zaczekaj — powiedział Kristiansson.

— Po co?

13

— Czy pani zna tego człowieka? - spytał Kristiansson dość uprzejmie.

— Owszem, tak mi się zdaje.

— Gdzie on mieszka?

Kobieta wskazała drzwi w głębi, w odległości trzech

metrów.

— Tam - powiedziała. — Zasnął próbując otworzyć.

— Tak, ma klucze w ręce — powiedział Kristiansson, drapiąc się w głowę. — Sam mieszka?

— A któżby chciał mieszkać z takim oberwusem

— odpowiedziała pani.

— Co ty zamierzasz zrobić? - spytał Kvant podejrzliwie.

Kristiansson nie odpowiedział. Schylił się, wyjął klucze z ręki śpiącego. Potem poderwał pijaka na nogi chwytem świadczącym o wieloletniej wprawie, kolaniem otworzył drzwi i powłókł delikwenta do mieszkania. Kobieta usunęła się nieco, Kvant pozostał na schodach przed wejściem. Oboje obserwowali scenę z biernym niezadowolaniem.

Kristiansson otworzył zamek, zapalił światło, ściągnął z pijanego mokry płaszcz. Pijak zatoczył się, upadł na łóżko i powiedział:

— Dziękuję, panienczko.

Potem odwrócił się na bok i zasnął. Kristiansson położył klucze na trzcinowym stoliku obok łóżka, zgasił światło, zamknął drzwi i wrócił do samochodu.

— Dobranoc pani! - powiedział.

Kobieta przyjrzała mu się zacisnąwszy usta, potem

wzruszyła ramionami i poszła sobie.

14

Kristiansson postąpił tak nie z miłości bliźniego, tylko dlatego, że był leniwy.

Nikt nie wiedział o tym lepiej niż Kvant. Kiedy jeszcze pracowali w Malmö jako zwykli posterunkowi, pieszo chodzący na patrole, wiele razy zdarzało się, że Kristiansson przeprowadzał pijanych przez ulicę, a nawet przez most, na teren innej komendy, żeby się ich pozbyć.

Kvant siedział przy kierownicy. Włączył zapłon i powiedział kwaśno:

— Siv mawia zawsze, że ja jestem leń. Powinna ciebie zobaczyć.

Siv była żoną Kvanta a prócz tego ulubionym i niemal jedynym tematem jego rozmów.

— Po co ma człowieka niepotrzebnie zarzygać - powiedział Kristiansson filozoficznie.

Kristiansson i Kvant podobni byli do siebie. Obaj mieli metr osiemdziesiąt sześć wzrostu, jasne włosy, szerokie ramiona i niebieskie oczy. Ale temperamenty mieli różne i zupełnie inne poglądy na wiele zagadnień. Jak teraz, na przykład.

Kvant był nieprzejednany. Nigdy nie szedł na ustępstwa

w sprawach, które dojrzał, tyle tylko, że był niezwykle biegły w dostrzeganiu możliwie jak najmniej.

Wolno i w posepnym milczeniu jechał z Huvudsty, zataczając pętlę koło państwowej szkoły milicyjnej, potem przez kolonię domków jednorodzinnych, koło muzeum kolejowego, laboratorium bakteriologicznego, instytutu dla niewidomych i dalej zygzakiem przez całą rozległą dzielnicę szkół wyższych z ich rozlicznymi instytutami, by
15

wreszcie obok budynków zarządu kolei wyjechać na Tomtebodavagen.

Była to mistrzowsko wytyczona trasa, prowadziła przez murowanie prawie bezludny teren. Jednego samochodu nie spotkali w czasie całej drogi i tylko dwie żywe istoty: kota i potem jeszcze raz kota.

Wyjechawszy wreszcie na Tomtebodavagen, Kvant zatrzymał się tak, że chłodnica znalazła się o metr od granicy miasta Sztokholmu, puścił silnik na jałowy bieg i zastanawiał się, jak by tu skalkulować dalszy objazd.

Ciekaw jestem, czy będziesz miał czelność wrócić tą samą drogą, pomyślał Kristiansson, a głośno powiedział:

— Możesz mi pożyczyć dziesiątkę?

Kvant kiwnął głową, wyjął portfel z wewnętrznej

kieszoni i nie patrząc na kolegę podał mu banknot. Powziął jednocześnie szybką decyzję. Jeżeli przekroczy granicę miasta i pojedzie przez Norra Stationsgatan pięćset metrów w kierunku północno-wschodnim, tylko przez dwie minuty będą się znajdowali w obrębie Sztokholmu. Potem będą mogli skręcić w Eugeniavagen, przeciąć teren szpitalny i przez park Haga i wzdłuż cmentarza dojechać do budynku policji. W ten sposób objazd byłby skończony, a szansa natknięcia się na cokolwiek minimalna.

Samochód wjechał do Sztokholmu i skręcił w lewo, w Norra Stationsgatan.

Kristiansson wsunął w zanadrze dziesiątkę i ziewnął. Potem mrużąc oczy wpatrzył się w ulewę i powiedział:

- Tam cholernik biegnie jakiś.

16

Kristiansson i Kvant pochodzili ze Skane i ich poczucie szyku słów w zdaniu pozostawiało wiele do życzenia.

- Psa ma też — zauważył Kristiansson — i macha do nas.

- Nie moja parafia - powiedział Kvant.

Człowiek z psem — nawiasem mówiąc zabawnym małym pieskiem, którego właściwie włókł za sobą przez kałuże — wyskoczył na jezdnię i zagroził drogę samocho-

dowi.

- Cholera — powiedział Kvant i zahamował.

Co pan sobie właściwie myśli, żeby włączyć na jezdnię,
i to w taki sposób!

- Tam... tam stoi autobus — powiedział ów człowiek,
ledwie dech mogąc złapać, i wskazał w głąb ulicy.

- No, to co?! - powiedział Kvant opryskliwie. — I jak
pan się może tak z psem obchodzić! Niewinne zwierzę!

- Tam... tam się zdarzyło nieszczęście.

- Tak, tak, zobaczymy - rzekł Kvant niecierpliwie.

- Proszę się odsunąć. - I ruszył.

- I proszę się tak nie zachowywać na przyszłość!

— krzyknął przez ramię.

Kristiansson wyjrzał na deszcz.

- Tak — powiedział z rezygnacją. - Autobus zjechał na
chodnik. Piętrowiec.

- Światło zapalone - stwierdził Kvant. - Przednie
drzwi otwarte. Wyleź no i zobacz.

Stanął ukośnie za autobusem. Kristiansson otworzył
drzwiczki, machinalnie poprawił bandeloty i powiedział
sam do siebie:

- Aha, no więc cóż tu słyszeć?

Tak samo jak Kvant ubrany był w wysokie buty, skórzaną kurtkę z błyszczącymi guzikami, a za pasem miał pistolet i pałkę.

Kvant pozostał w samochodzie i patrzył na Kristianssona, który flegmatycznie zmierzał ku przednim drzwiom autobusu.

Widział, jak tamten chwycił za poręcz, niezdarnie dźwignął się na stopień, żeby zajrzeć do środka, a potem nagle szarpnął się, przykucnął i jednocześnie sięgnął prawą ręką do kabury pistoletu.

Kvant zareagował szybko. Zaledwie kilka sekund zajęło mu włączenie czerwonych świateł, reflektora i pomarańczowego migacza samochodów patrolowych. Kristiansson wciąż jeszcze skurczony stał przy autobusie, gdy Kvant pchnął drzwiczki samochodu i wyskoczył na ulewę. Zdążył także wyciągnąć i odbezpieczyć swego siedmiostrzałowego sześćdziesięciopięciomilimetrowego Walthera, a nawet spojrzeć na zegarek: wskazywał dokładnie trzynaście po jedenastej.

IV

Pierwszym, który przybył na Norra Stationsgaten z komendy, był Gunvald Larsson.

Siedział przy swoim biurku w Komendzie Policji na

Kongsholmen i przerzucił jakiś trudny do rozgryzienia raport, robił to w sposób gnuśny i chyba z dziesiąty już raz, 18

zastanawiając się jednocześnie, kiedy ci ludzie wreszcie pójda do domu.

Określeniem „ci ludzie” obejmował między innymi naczelnego komendanta policji, jego zastępcę oraz wielu różnych kierowników i komisarzy, którzy z powodu szczęśliwie zakończonej demonstracji kręcili się po schodach i korytarzach. Gdy tylko osobistości te uznają za właściwe na dobre zakończyć dzień pracy i wycofają się, on również to uczyni, i to jak najszybciej.

Zadzwoił telefon. Skrzywił się i sięgnął po słuchawkę.

— Słucham. Larsson.

— Tu centrala łączności. Radiowóz patrolujący w Solnie znalazł na Norra Stationsgatan autobus pełen trupów.

Gunvald Larsson rzucił okiem na elektryczny zegar ścienny, który wskazywał osiemnaście minut po jedenastej, i powiedział:

— Jak radiowóz w Solnie mógł znaleźć autobus pełen trupów w Sztokholmie?

Gunvald Larsson był pierwszym asystentem sztokholmskiego pogotowia policyjnego. Miał nieznośny charakter

i nie należał do najbardziej lubianych w zespole. Ale był szybki i obrotny i on to zjawił się pierwszy. Zahamował, podniósł kołnierz płaszcza i wyszedł z samochodu na deszcz. Zobaczył czerwony piętrowy autobus stojący w poprzek trotuaru, przednia część autobusu wgniotła i przebiła prawie zaporę ze stalowej siatki. Zobaczył też czarnego Plymoutha z białym okołkiem i napisem POLICJA na drzwiczkach. Światła postojowe miał zapalone, a w stożku reflektora stało dwóch 19 mundurowych policjantów z pistoletami w rękach. Obaj wydawali się nienaturalnie bladzi. Jeden zwymiotował na skórzaną kurtkę i z zażenowaniem wycierał się mokrą chusteczką.

- O co chodzi? - rzekł Gunvald Larsson.
- Tam... tam w środku jest mnóstwo trupów-powiedział jeden z policjantów.
- Tak — dodał drugi. — Właśnie. O to chodzi. I mnóstwo łusek od naboii.
- I jeden, co jeszcze daje znaki życia.
- I jeden policjant.
- Policjant? - rzekł Gunvald Larsson pytająco.
- Tak. Z kryminalnego.

- Znamy go. Pracuje w Wastberdze. W komisji zabójstw.
- Tylko nie wiemy, jak się nazywa. Ma granatowy płaszcz, nie żyje.

Obaj mówili niepewnie, cicho i przerywając sobie nawzajem.

Nie można by ich określić jako ludzi niskiego wzrostu, lecz przy Gunvaldzie Larssonie wyglądali niezbyt okazale. Gunvald Larsson miał metr dziewięćdziesiąt dwa i ważył dziewięćdziesiąt dziewięć kilo. W ramionach był szeroki jak zawodowy bokser wagi ciężkiej i miał ogromne włochate ręce. Zaczesane do góry jasne włosy zdążyły mu już przemoknąć.

Poprzez szum deszczu przedarło się wycie licznych syren. Zbliżały się z różnych stron. Gunvald Larsson przysłuchując się im powiedział:

20

Czy tu jest Solna?

Znajdujemy się dokładnie na granicy — chytrze odparował Kvant.

Gunvald Larsson powiódł pozbawionym wyrazu spojrzeniem jasnobłękitnych oczu od Kwanta do Kristianssona. Potem długim krokiem podszedł do autobusu.

— Tam wygląda.... jak w rzeźni — powiedział Kristiansson.

Gunvald Larsson nie dotknął autobusu. Wsunął głowę w otwarte drzwi i rozejrzał się.

- Rzeczywiście — powiedział. - Tak wygląda.

V

Martin Beck zatrzymał się na progu mieszkania w Bagarmossen. Zdjął wierzchnie ubranie, otrząsnął z niego wodę w sieni, potem je powiesił i dopiero wtedy zamknął drzwi.

W przedpokoju było ciemno, ale nie chciało mu się zapalać. Pod drzwiami pokoju córki widać było wąską strugę światła i słyszał, że jest tam włączone radio czy patefon. Zapukał i wszedł.

Dziewczynka nazywała się Ingrid i miała szesnaście lat.

Ostatnio zrobiła się dojrzała i kontakt z nią stawał się coraz łatwiejszy. Spokojna, rzeczowa i całkiem inteligentna; lubił z nią rozmawiać. Była w ostatniej klasie szkoły podstawowej i z nauką dawała sobie radę, nie należąc jednak do kategorii, którą za jego czasów nazywano kujonami.

21

Teraz leżąc w łóżku czytała. Patefon grał na nocnym stoliku. Nie big-beatowa muzyka, coś klasycznego, zdawało mu się, że Beethoven.

— Jak się masz - powiedział. - Nie śpisz jeszcze?

Urwał, obezwładnił go całkowity bezsens tej wypowiedzi, przez chwilę dumał nad wszystkimi banałami, które wypowiedziane zostały w tych ścianach w ciągu ostatnich dziesięciu lat.

Ingrid odłożyła książkę i wyłączyła patefon.

— Cześć, tato. Coś mówiłeś?

Potrząsnął głową.

— Jezu, jakiś ty przemoczony. Pada tak strasznie?

— Jak z cebra. Mama i Rolf śpią?

— Pewnie tak. Mama zagnała Rolfa do łóżka zaraz po obiedzie. Powiedziała, że jest przeziębiony.

Martin Beck usiadł na brzegu łóżka.

— A on jest przeziębiony czy nie?

— Mnie się w każdym razie wydaje, że wyglądał na zupełnie zdrowego. Ale położył się grzecznie. Pewnie, żeby nie odrabiać lekcji na jutro.

— Ty za to jesteś pilna. Czego się uczysz?

— Francuskiego. Mamy jutro klasówkę. Chcesz mnie przesłuchać?

— Nie na wiele się to zda. Francuski nie jest moją mocną stroną. Śpij już.

Wstał, a dziewczyna posłusznie wsunęła się pod kołdrę

i ułożyła na dobre. Otulił ją, nim zamknął za sobą drzwi, usłyszał szept:

— Trzymaj jutro za mnie palce.

22

- Dobranoc.

Poszedł po ciemku do kuchni i stał przez chwilę przy oknie. Zdawało się, że deszcz nie pada już tak gwałtownie, ale to może tylko dlatego, że okno kuchni wychodziło nie na tę stronę, z której wiatr zaciął. Martin Beck zastanawiał się, jak tam było w czasie demonstracji pod amerykańską ambasadą i czy gazety określą jutro postępowanie policji jako nieporadne i niezręczne, czy też jako brutalne i prowokujące. Tak czy inaczej, opinie będą krytyczne. Ponieważ poczuwał się do solidarności z całym zespołem i zawsze był solidarny, jak daleko pamięcią sięgał, tylko sam przed sobą przyznawał, że krytyka często była uzasadniona, jakkolwiek zbywało jej na niuansach i zrozumieniu. Przypomniało mu się, co Ingrid powiedziała kiedyś wieczorem kilka tygodni temu. Miała wielu kolegów politycznie aktywnych, uczestniczyli w wiecach i demonstracjach i większość z nich miała o policji zdecydowanie złą opinię. Jako dziecko, powiedziała, chwaliła się i była dumna z tego, że jej tatuś jest policjantem, teraz to raczej

przemilcza. Nie dlatego, żeby się wstydziła, lecz często wplątuje się przez to w dyskusje, w której oczekują, że weźmie na siebie odpowiedzialność za postawę całej policji. Głupio, ale cóż, tak jest.

Martin Beck wszedł do bawialni, chwilę nasłuchiwał przy drzwiach sypialni, słyszał lekkie chrapanie żony. Ostrożnie rozłożył kanapę, zapalił ścienną lampę i zaciągnął zasłony. Zupełnie niedawno kupił kanapę i wyprowadził się ze wspólnej sypialni pod pozorem, że nie chce przeszkadzać żonie, kiedy wraca do domu późno w nocy.

23

Protestowała, powołując się na to, że on nieraz całą noc pracuje, a potem w dzień odsypia, a ona nie życzy sobie, żeby leżał w bawialni i zawadzał. Obiecał, że w takich wypadkach będzie leżeć i zawadzać w sypialni, gdzie ona za dnia rzadko przesiaduje. Tak więc od miesiąca już sypiał w bawialni i bardzo mu z tym było dobrze.

Żona miała na imię Inga.

Stosunki między nimi z latami układały się coraz gorzej, odczuł ulgę, mogąc wreszcie nie dzielić z nią łóżka. Z racji tego uczucia miewał niekiedy wyrzuty sumienia, ale po szesnastu latach małżeństwa nie było już chyba na to rady i od dawna przestał zastanawiać się czyja to wina.

Martin Beck stłumił atak kaszlu, zdjął mokre spodnie i rozwiesił je na krześle w pobliżu kaloryfera. Gdy siedząc na brzegu kanapy ściągał skarpetki, przyszło mu na myśl, że nocne spacery Kollberga w deszcz mogą mieć przyczynę w tym, że i jego małżeństwo zaczyna staczać się w niechęć i obojętność.

Już? Kollberg ożenił się dopiero przed półtora rokiem.

Toteż Martin Beck odrzucił tę myśl, nim ściągnął pierwszą skarpetkę. Lennart i Gun są z sobą szczęśliwi, to nie ulega wątpliwości. Co go to zresztą obchodzi.

Wstał i nago przeszedł przez pokój do półki z książkami.

Długo wybierał, nim się zdecydował. Książka, napisana przez starego angielskiego dyplomata, sir Eugene'a Millington-Drake, traktowała o hrabim Spee i bitwie nad La Plata. Kupił ją przed rokiem w antykwariacie, ale nie miał jeszcze czasu przeczytać. Wlazł do łóżka, zakaszłał z poczuciem winy, otworzył książkę i odkrył, że nie ma

24

papierosów, jedną z korzystnych stron sypiania na kanapie było to, że mógł obecnie bez komplikacji palić w łóżku.

Znowu wstał, wyjął z kieszeni płaszcza zwilgotniałe i rozplaszczone pudełko flolid, ułożył papierosy rzędem na nocnym stoliku do przeschnięcia i zapalił tego, który

wydawał się najbardziej zdatny do użytku. Już miał papieros w zębach i jedną nogę w łóżku, gdy telefon zadzwonił.

Telefon mieli w przedpokoju. Przed pół rokiem zgłosił zamówienie na dodatkowe gniazdko w bawialni, ale biorąc pod uwagę tempo pracy zakładów telefonicznych, powinien się prawdopodobnie poczuć szczęśliwie wyróżniony przez los, jeżeli będzie musiał jeszcze tylko dalsze pół roku czekać na zrealizowanie zamówienia.

Szybkim krokiem przeszedł przez pokój i podniósł słuchawkę, zanim rozległ się drugi sygnał.

- Beck.

- Komisarz Beck?

Głosu w telefonie nie poznawał.

- Tak, to ja.

- Tu centrala łączności. W autobusie linii 47 w pobliżu końcowego przystanku na Norra Stationsgatan znaleziono wielu zastrzelonych pasażerów. Jest pan proszony o natychmiastowe udanie się tam.

W pierwszej chwili Martin Beck pomyślał, że padł ofiarą kiepskiego żartu albo że jakiś antagonistą próbuje wywabić go na deszcz, dla kpiny tylko.

~ Od kogo pochodzi ta wiadomość? - spytał.

- Hansson z piątego. Hammar już został zawiadomiony.

25

- Ilu nie żyje?

- To nie jest pewne. Co najmniej sześciu.

- Schwytano kogo?

- O ile mi wiadomo, nie.

Martin Beck pomyślał: Zabiorę po drodze Kollberga.

Mam nadzieję, że będzie taksówka. I powiedział:

- Okay. Zaraz przyjeżdżam.

- Panie komisarzu.

- Tak?

- Jeden z nieżyjących... to chyba któryś z pana ludzi.

Martin Beck mocno ścisnął słuchawkę.

- Kto?

- Nie wiem. Nazwiska nie podano.

Martin Beck odłożył słuchawkę i oparł głowę o ścianę.

Lennart. Na pewno on. Po co on u licha wychodził na taki deszcz? Co on u diabła miał do roboty w autobusie 47? Nie, Kollberg to musi być pomyłka.

Podniósł słuchawkę, nakręcił numer Kollberga. Sygnał.

Drugi raz. Trzeci. Czwarty. Piąty.

- Kollberg.

Zaspany głos Gun. Martin Beck usiłował być spokojny

i naturalny.

- Cześć. Masz Lennarta pod ręką?

Wydawało mu się, że słyszy skrzypnięcie łóżka, gdy usiadła, wieczność minęła, nim odpowiedziała.

- Nie, w każdym razie nie w łóżku. Myślałam, że jest z tobą. A raczej wydawało mi się, żeś ty u nas był.

- Wyszedł razem ze mną, na spacer. Jesteś pewna, że go nie ma w domu?

26

- Może w kuchni. Poczekaj, zobaczę.

Znowu wieczność, zanim wróciła.

Nie, Martin, nie ma go w domu.

Teraz już głos miała niespokojny.

- Jak myślisz, gdzie on się podziewa? Przy takiej pogodzie?

- Wyszedł chyba tylko, żeby łyknąć trochę świeżego powietrza. Nie martw się.

Chyba to ją uspokoiło.

- To nic ważnego zresztą. Śpij dobrze. Cześć.

Odłożył słuchawkę i poczuł nagle zimny dreszcz.

Znowu podniósł słuchawkę i stał tak trzymając ją w ręce i myśląc, że do kogoś musi zadzwonić, dowiedzieć się dokładnie, co się stało. Potem zdecydował, że najlepiej

będzie samemu udać się na miejsce możliwie jak najszybciej. Wykręcił numer najbliższego postoju taksówek i natychmiast otrzymał odpowiedź.

Martin Beck od lat dwudziestu pracował w policji.

W ciągu tego czasu wielu jego kolegów zostało zabitych na służbie, za każdym razem, gdy się to zdarzało, czuł się wstrząśnięty, a gdzieś w głębi miał świadomość, że praca w policji staje się coraz niebezpieczniejsza i że następnym razem może kolej na niego. Lecz jeśli o Kollberga chodzi, doznawał uczuć nie tylko koleżeńskich. Łączyło ich ogromne wzajemne zaufanie. W pracy uzupełniali się doskonale i z biegiem lat nauczyli się rozumieć swoje myśli i uczucia bez zbyt wielu słów. Gdy Kollberg przed półtora rokiem ożenił się i przeprowadził do Skarmarbrink, geograficznie się do siebie zbliżyli i zaczęli się spotykać po godzinach pracy.

27

Zupełnie niedawno w jednym z rzadkich momentów depresji Kollberg powiedział:

- Diabli wiedzą, czybym w ogóle został w policji, gdyby ciebie nie było.

Martin Beck myślał o tym wkładając mokry płaszcz i zbiegając do czekającej już taksówki.

VI

Mimo deszczu i późnej pory sporo ludzi zebrało się za barierą od strony Karlbergsvagen. Z zaciekawieniem spoglądali na wysiadającego z samochodu Martina Becka. Młody posterunkowy w czarnej pelerynie wykonał gwałtowny ruch, jakby go chciał zatrzymać, ale inny policjant przeszkodził w tym biorąc go za ramię i podnosząc jednocześnie rękę do daszka czapki.

Niewysoki mężczyzna w jasnym trenczu i w kepi zastąpił Martinowi Beckowi drogę i powiedział:

- Wyrazy współczucia, panie komisarzu. Właśnie usłyszałem wiadomość, że jeden z pańskich...

Martin Beck obdarzył go spojrzeniem, od którego tamtemu reszta zdania w gardle utkwiała.

Bardzo dobrze znał człowieka w kepi i miał o nim zdecydowanie złą opinię. Był to niezależny dziennikarz, podający się za reportera od spraw kryminalnych.

Specjalnością jego były właśnie reportaże dotyczące morderstw, pełne sensacji i odrażających a w dodatku

28

najczęściej nieprawdziwych szczegółów, zamieszczały je też tylko najnudniejsze tygodniki.

Osobnik ten cofnął się, a Martin Beck przełaził nad rozciągniętymi sznurami. Zobaczył, że podobną sznurową

zaporę zrobiono nieco dalej od strony Torsplan. Na zabezpieczonym terenie roilo się od biało-czarnych samochodów i trudnych do zidentyfikowania postaci w błyszczących deszczowych płaszczach. Ziemia wkoło piętrowego czerwonego autobusu rozmiękła, chlupało mu pod nogami.

Autobus był od wewnątrz oświetlony, reflektory zapalone, ale stożki światła niezbyt daleko sięgały przez gęsty deszcz. Karetka Państwowego Laboratorium Kryminologicznego stała obok przyczepy autobusu, zwrócona chłodnicą w kierunku Karlbergsvagen. Również samochód lekarza sądowego był już na miejscu. Za rozerwaną siatką stalową kilku ludzi krzątało się przy montowaniu reflektora. Wszystkie te szczegóły wskazywały na wydarzenie znacznie przekraczające zwykły wypadek.

Martin Beck rzucił okiem w kierunku ponurych kamienic czynszowych po drugiej stronie ulicy. Oświetlone prostokąty okien, w wielu z nich widać było sylwetki, których twarze, przyciśnięte do ociekających deszczem szyb, majaczyły jak niewyraźne białe plamy. Jakaś kobieta w gumowych butach na gołych nogach i w deszczowym płaszczu wrzuconym na koszulę nocną wybiegła z bramy położonej na ukos od miejsca wypadku. Na środku ulicy

została zatrzymana przez policjanta, który wziął ją za ramię i odprowadził z powrotem do bramy. Policjant szedł

29

długim krokiem, ona zaś musiała prawie biec, a mokra biała koszula plątała się jej wokół nóg.

Martin Beck nie mógł dojrzeć drzwi autobusu, ale widział poruszające się za oknami postacie i przypuszczał, że personel PLK jest już przy pracy. Nie mógł też dojrzeć nikogo ze swych kolegów z komisji zabójstw ani ze sztokholmskiego wydziału kryminalnego, domyślał się jednak, że muszą być po drugiej stronie pojazdu.

Nie zdając sobie z tego sprawy zwolnił kroku. Myślał o tym, co za chwilę zobaczy, i zaciskał wsunięte w kieszenie pięści, okrążając jednocześnie szerokim łukiem karetkę Instytutu Kryminologicznego.

W świetle padającym z otwartych środkowych drzwi autobusu stał Hammar, od wielu lat jego szef, rozmawiał z kimś, kto widocznie znajdował się wewnątrz autobusu.

Urwał i zwrócił się do Becka.

- A więc jesteś. Już myślałem, że zapomnieli po ciebie zadzwonić.

Martin Beck nie odpowiedział, podszedł do drzwi i zajrzał.

Poczuł skurcz żołądka. To było gorsze niż oczekiwał. Zimne, jaskrawe światło sprawiało, że każdy szczegół występował z rażącą ostrością. Cały autobus zdawały się wypełniać skrwawione, martwe ciała, najdziwaczniej poskręcane.

Najchętniej odwróciłby się i poszedł sobie, żeby na to nie patrzeć, uczucia te jednak nie odzwierciedliły się na jego twarzy. Zmusił się nawet do systematycznego zarejestrowania wszystkich detali. Ludzie z PLK pracowali

30

cicho i metodycznie. Jeden z nich spojrział na Martina Becka i wolno potrząsnął głową.

Martin Beck oglądał trupy jednego po drugim. Nikogo z nich nie poznawał. Przynajmniej w ich obecnym stanie.

- A on jest na górze? - powiedział nagle — czy on...

Urwał zwracając się do Hammara.

Spoza pleców Hammara wynurzył się z ciemności

Kollberg, miał gołą głowę i włosy przyklepione do czoła.

Martin Beck wytrzeszczył na niego oczy.

- Jak się masz - powiedział Kollberg. - Już się zaczynałem zastanawiać, gdzie ty właściwie jesteś, i zamierzałem poprosić kogoś, żeby znowu zadzwonił.

Zatrzymał się przed Martinem i przyjrzał mu się

badawczo.

- Przyda ci się filiżanka kawy. Przyniosę ci.

Martin Beck potrząsnął głową.

- Ależ tak - powiedział Kollberg.

I poczłapał gdzieś. Martin Beck spoglądał za nim.

Potem przeszedł do przednich drzwi i zajrzał. Hammar podążył za nim ciężkim krokiem.

Kierowca zwisał nad kierownicą. Prawdopodobnie dostał postrzał w głowę. Martin Beck przyglądał się temu, co było przedtem twarzą kierowcy, doznając smutnego zdziwienia, że nie czuje mdłości. Odwrócił głowę i spojrział na Hammara, bezmyślnie zagapionego w deszcz.

- Masz pojęcie, co on tu miał do roboty - powiedział Hammar bezdźwięcznie. - Akurat w tym autobusie?

W tejże chwili Martin Beck pojął, kogo miał na myśli ten, kto do niego telefonował.

31

Przy oknie, za schodami wiodącymi na górne piętro autobusu, siedział Ake Stenstróm, asystent w komisji zabójstw, jeden z najmłodszych współpracowników Martina Becka.

„Siedział” nie było może właściwym określeniem.

Granatowy popelinowy płaszcz Stenstróma był przesiąknięty

krwią, a on sam pólleżał, oparty prawym ramieniem o plecy młodej kobiety, zwiniętej na sąsiednim miejscu. Nie żył. Podobnie jak kobieta obok i sześć pozostałych osób w autobusie.

W prawej ręce trzymał pistolet służbowy.

VII

Deszcz padał przez całą noc i mimo że według kalendarza słońce miało wzejść za dwadzieścia ósma, dziewiąta się już zbliżała, gdy światło zdołało przebić się przez warstwę chmur i zaczął się niepewny, omglony dzień.

Na Norra Stationsgatan czerwony piętrowy autobus stał w poprzek trotuaru tak, jak się zatrzymał przed dziesięcioma godzinami.

Lecz to była jedyna rzecz, która nie uległa zmianie. Na zabezpieczonym terenie znajdowało się o tej porze z pięćdziesiąt osób, a za barierami tłoczyło się wielu ciekawych. Sporo z nich stało tu od północy, oglądając jedynie policję, personel karetek i słuchając trąbienia pojazdów służbowych wszelkiego rodzaju. Była to noc

32

syren i nieustannego przepływu samochodów, które z wyciem przelatywały po błyszczących od deszczu ulicach, pozornie bez celu i sensu.

Nikt nic nie wiedział na pewno, było jednak słowo, które szeptano sobie z ust do ust, rozchodziło się koncentrycznymi falami wśród widzów, po sąsiednich budynkach, po mieście, utrzymywało się, przedostawało na cały kraj. O tej porze słowo to przedostało się już daleko poza jego granice.

Masowe morderstwo.

Morderstwo masowe w Sztokholmie.

Masowe morderstwo w autobusie w Sztokholmie.

Tyle wiedzieli wszyscy.

W głównej kwaterze policji na Kungsholmsgatan wiedziano niewiele więcej. Prawdę mówiąc nie wiedziano nawet z całą pewnością, kto właściwie prowadzi dochodzenie. Absolutny bałagan. Telefony bez przerwy dzwoniły, ludzie wchodzili i wychodzili, podłoga zabłocona, a ci, co ją błócili, byli podnieceni i mokrzy od potu i deszczu.

- Kto robi listę nazwisk? - spytał Martin Beck.

- Zdaje się, że Rónn.

Kollberg powiedział to nie odwracając się. Zajęty był przytwierdzaniem kartonu do ściany. Szkic miał trzy metry długości i ponad pół metra szerokości i niełatwo było nim manipulować.

- Nie mógłby mi ktoś pomóc? — rzucił.

- Owszem - powiedział spokojnie Melander wstając i odkładając fajkę.

Fredrik Melander był wysokim chudym człowiekiem

33

o poważnym wyglądzie i systematycznym usposobieniu.

Miał czterdzieści osiem lat i był pierwszym asystentem wydziału kryminalnego. Kollberg pracował z nim od wielu lat. Od ilu właściwie, nie pamiętał. Melander natomiast pamiętał, znany był z tego, że nigdy o niczym nie zapominał.

Dwa telefony zadzwoniły.

- Tak. Tu komisarz Beck. Kogo? Nie, nie ma go tu.

Czy mogę poprosić, żeby zadzwonił? Więc nie.

Odłożył słuchawkę i podniósł drugą. Prawie zupełnie siwy człowiek w wieku lat pięćdziesięciu ostrożnie uchylił drzwi i z wahaniem zatrzymał się na progu.

- Cóż tam, Ek — powiedział Martin podnosząc słuchawkę.

- W sprawie autobusu — odpowiedział białowłosey.

- Kiedy wrócę do domu? Naprawdę pojęcia nie mam

- powiedział Martin Beck do telefonu.

- Cholera - powiedział Kollberg, bo taśma klejąca splątała mu się w tłustych palcach.

- Tylko spokojnie - powiedział Melander.

Martin Beck znowu zwrócił się do stojącego na progu.

- Tak. I cóż z tym autobusem?

Ek zamknął za sobą drzwi i zagłębił się w notatkach.

- Wykonany został w fabryce Leyland w Anglii

- powiedział. — Ten typ nazywa się Atlanta, ale my go tu nazywamy H-35.

- Siedemdziesiąt pięć miejsc siedzących. Osobliwe jest...

Drzwi się otwarły. Gunvald Larsson nieufnie zajrzał do zapchanego pokoju, będącego bądź co bądź jego

34

pokojem. Jego jasny płaszcz był zupełnie przemoczony, tak samo spodnie i blond włosy. Buty oblepione błotem.

- Do diabła, jak tu wyglądasz - powiedział z niezadowolaniem.

- No, i cóż osobliwego z tym autobusem? - spytał Melander.

- Właśnie, że akurat tego typu nie używa się na linii 47.

- Nie używa się?

- Na ogół nie, to miałem na myśli. Zwykle kursują na tej linii niemieckie autobusy marki Biissing. Też piętrowe.

A ten znalazł się na tej linii przez przypadek.

- Znakomita nić przewodnia — zauważył Gunvald

Larsson. - Wariat, który to zrobił, ma zwyczaj mordować ludzi tylko w angielskich autobusach. To miałaś na myśli?

Ek spojrzał na niego zniechęcony. Gunvald Larsson otrząsnął się i powiedział:

- A poza tym, co to za stado małą wałęsa się w hallu?
- Dziennikarze - powiedział Ek. - Powinien ktoś z nimi pomówić.
- Ja nie - natychmiast zareagował Kollberg.
- A Hammar albo szef policji, albo minister sprawiedliwości czy jakaś inna wielkość nie ogłosi komunikatu?
- rzekł Gunvald Larsson.
- Pewnie jeszcze nie został sformułowany - powiedział Martin Beck. - Ek ma rację. Ktoś powinien z nimi pogadać.
- Tylko nie ja — powiedział Kollberg. Potem odwrócił się z triumfem, jak gdyby wpadł na jakiś olśniewający pomysł. - Ty, Gunvald, byłeś tam pierwszy - powiedział.
- Mógłbyś urządzić konferencję prasową.

35

Gunvald Larsson rozejrzał się po pokoju i wielką owłosioną ręką odgarnął z czoła mokry kosmyk. Martin Beck nie odezwał się i nie spojrzał nawet w kierunku drzwi.

- Okay - powiedział Larsson. — Zobaczę, gdzie by ich upchnąć. Trzeba pogadać. Jedno tylko chciałbym przedtem

wiedzieć.

- Co? - spytał Martin Beck.

- Czy ktoś zawiadomił o tym matkę Stenstróma?

W pokoju zapanowała śmiertelna cisza, jak gdyby wypowiedź ogłuszyła wszystkich obecnych, łącznie z tym, który ją wypowiedział. Gunvald stojąc na progu wodził wzrokiem od jednego do drugiego.

W końcu Melander odwrócił głowę i powiedział:

- Tak. Została zawiadomiona.

- Dobrze — powiedział Gunvald Larsson i zamknął za sobą drzwi.

- Dobrze — powiedział sam do siebie Martin Beck i zabębnił palcami w blat stołu.

- Czy to ma sens? - powiedział Kollberg.

- Co?

- Pozwolić, żeby Gunvald... Nie sądzisz, że i tak zostaniemy dostatecznie obsmarowani w prasie?

Martin Beck patrzył na niego nie odpowiadając.

Kollberg wzruszył ramionami.

- No, niech tam — powiedział. — Nie ma znaczenia.

Melander wrócił do swego biurka, wziął fajkę, zapalił.

- Rzeczywiście - powiedział - to nie ma znaczenia.

Planszę już zawiesili, on i Kollberg. Rysunek przedsta-

wiający dolne piętro autobusu. Naszkicowana była na nim

36

pewna liczba postaci, ponumerowanych od jednego do dziewięciu.

- Gdzież się podziewa ten Rónn z listą - mruknął Beck.

- Jeszcze w sprawie autobusu — uparcie powtórzył Ek. Telefon zadzwonił.

VIII

Pokój, w którym odbywała się pierwsza zaimprovizowana konferencja prasowa, zdecydowanie nie nadawał się do tego celu. Był tam tylko stół, parę szaf i cztery krzesła, a gdy Gunvald Larsson tam wszedł, powietrze ciężkie było od dymu i oparów mokrych płaszczy.

Zatrzymał się tuż przy drzwiach, przesunął spojrzeniem po zgromadzonych dziennikarzach i fotoreporterach i powiedział bezdźwięcznie:

— Więc? Co chcecie wiedzieć?

Natychmiast wszyscy zaczęli mówić jeden przez drugiego. Gunvald Larsson podniósł rękę i powiedział:

- Proszę po kolei. Pan, tam w kącie, zaczyna. A potem kolejno, posuwając się w prawo.

Przebieg konferencji był następujący:

pytanie: Kiedy autobus został znaleziony?

odpowiedź: Wczoraj wieczorem, mniej więcej dziesięć po jedenastej,

pytanie: Przez kogo?

37

odpowiedź: Przez osobę cywilną, która z kolei zaalarmowała radiowóz patrolujący,

pytanie: Ile osób znajdowało się w autobusie?

odpowiedź: Osiem,

pytanie: Wszyscy martwi?

odpowiedź: Tak.

pytanie: W jaki sposób osoby te zostały pozbawione życia?

odpowiedź: Za wcześnie byłoby wypowiadać się na ten temat,

pytanie: Czy powodem ich śmierci była siła zewnętrzna?

odpowiedź: Prawdopodobnie.

pytanie: Co rozumie pan przez określenie prawdopodobnie?

odpowiedź: Dokładnie to, co powiedziałem,

pytanie: Czy są jakieś ślady, wskazujące na to, że była tam strzelanina?

odpowiedź: Tak.

pytanie: A więc wszystkie te osoby zostały zastrzelone?

odpowiedź: Prawdopodobnie,

pytanie: A więc rzeczywiście miał miejsce mord masowy?

odpowiedź: Tak.

pytanie: Czy znaleźliście narzędzia zbrodni?

odpowiedź: Nie.

pytanie: Czy były jakieś aresztowania?

odpowiedź: Nie.

pytanie: Czy istnieje jakiś ślad, jakaś nić przewodnia wskazująca na określoną osobę?

38

odpowiedź: Nie.

pytanie: Czy morderstwo zostało popełnione przez jedną osobę?

odpowiedź: Nie wiadomo.

pytanie: Czy strzały zostały oddane przez kogoś znajdującego się w autobusie, czy też pochodziły z zewnątrz?

odpowiedź: Nie padły z zewnątrz.

pytanie: Skąd to wiadomo?

odpowiedź: Szyby w oknach zostały stłuczone wystrzałami od wewnątrz.

pytanie: Jakiego rodzaju bronią posługiwał się morderca?

odpowiedź: Nie wiadomo.

pytanie: Musiał to być przynajmniej pistolet maszynowy, jeżeli nie karabin, nieprawdaż?

odpowiedź: Żadnych komentarzy.

pytanie: Czy autobus stał, gdy morderstwo zostało popełnione, czy był w ruchu?

odpowiedź: Nie wiadomo.

pytanie: Czy pozycja, w jakiej znaleziono autobus, nie wskazuje na to, że strzelanina miała miejsce, gdy był w ruchu, i że potem ześliznął się z jezdni?

odpowiedź: Owszem.

pytanie: Czy psy policyjne znalazły jakiś ślad?

odpowiedź: Padał deszcz.

pytanie: To był, zdaje się, piętrowy autobus?

odpowiedź: Tak jest.

39

pytanie: Gdzie znaleziono ciała, na górnym czy na dolnym piętrze?

odpowiedź: Na dolnym.

pytanie: Wszystkie?

odpowiedź: Tak.

pytanie: Czy ofiary zostały zidentyfikowane?

odpowiedź: Nie.

pytanie: Nikt nie został zidentyfikowany?

odpowiedź: Owszem.

pytanie: Kto? Szofer?

odpowiedź: Policjant.

pytanie: Policjant? Możemy usłyszeć jego nazwisko?

odpowiedź: Tak. Asystent Ake Stenstróm.

pytanie: Stenstróm? Ten z komisji zabójstw?

odpowiedź: Tak.

Kilku reporterów próbowało precyzyjnie się ku drzwiom, ale Larsson znów podniósł rękę.

— Tylko, proszę, bez kręcenia się w tę i z powrotem.

Czy są jeszcze jakieś pytania?

pytanie: Czy asystent Stenstróm był jednym z pasażerów autobusu?

odpowiedź: W każdym razie nie on wóz prowadził.

pytanie: Przypuszcza pan, że znalazł się tam przypadkowo?

odpowiedź: Nie wiadomo.

pytanie: Zwracam się z tym pytaniem do pana osobiście:

Czy uważa pan za przypadek, że jednym

z zamordowanych jest ktoś z policji kryminalnej?

40

odpowiedź: Nie jestem tu po to, żeby odpowiadać na osobiste pytania.

pytanie: Czy Stenström wypełniał jakieś specjalne poruczenie, gdy się to stało?

odpowiedź: Nie wiem.

pytanie: Czy był tego wieczoru na służbie?

odpowiedź: Nie.

pytanie: A więc miał wolne?

odpowiedź: Tak.

pytanie: Przypuszczalnie więc znalazł się tam przypadkowo. Czy może pan wymienić z nazwiska jakąś inną ofiarę?

odpowiedź: Nie.

pytanie: Jest to pierwszy w Szwecji wypadek masowego morderstwa. Za granicą natomiast w ciągu ostatnich lat miało miejsce wiele podobnych wypadków. Czy nie sądzi pan, że inspiracją tego szaleńczego czynu mógł być jakiś wzór, powiedzmy, amerykański?

odpowiedź: Nie wiem.

pytanie: Czy zdaniem policji mordercą może być umyślowo chory, pragnący wywołać zamieszanie i sensację wokół siebie?

odpowiedź: To jest jedna z teorii.

pytanie: Nie otrzymałem odpowiedzi na moje pytanie. Czy policja rozpracowuje tę teorię?

odpowiedź: Wszelkie ślady i przypuszczenia są brane pod uwagę.

pytanie: Ile kobiet jest wśród ofiar?

41

odpowiedź: Dwie.

pytanie: A więc sześciu z zamordowanych to mężczyźni?

odpowiedź: Tak.

pytanie: Wśród tych sześciu jest kierowca i asystent Stenstróm?

odpowiedź: Tak.

pytanie: Zechce pan nam poświęcić jeszcze chwilę uwagi. Otrzymaliśmy wiadomość, że jedna z osób znajdujących się w autobusie pozostała przy życiu i odwieziono ją karetką pogotowia, która przybyła na miejsce wypadku, zanim policja zamknęła teren.

odpowiedź: Ach, tak.

pytanie: Czy to prawda?

odpowiedź: Następne pytanie.

pytanie: Według tego, co słyszeliśmy, był pan jednym z pierwszych przedstawicieli policji, jacy zjawili się na miejscu wypadku, czy to prawda?

odpowiedź: Tak.

pytanie: Kiedy pan tam przybył?

odpowiedź: Za pięć wpół do dwunastej.

pytanie: Jak wyglądało wnętrze autobusu?

odpowiedź: Co pan ma na myśli?

pytanie: Czy można powiedzieć, że był to naj straszliwszy widok, jaki zdarzyło się panu oglądać w życiu?

Gunvald Larsson beznamiętnie przyjrzał się temu, który postawił pytanie: zupełnie młody człowiek w okularach - okrągłe szkła w metalowej oprawie - z dość zmierzwioną rudą brodą. W końcu powiedział:

42

- Nie, tak by nie można powiedzieć.

Odpowiedź wzbudziła pewne poruszenie. Jakaś dziennikarka podniosła brwi i z lekkim niedowierzaniem spytała:

- Cóż to ma znaczyć?

- Dokładnie to, co powiedziałem.

Gunvald Larsson, zanim został policjantem, służył w marynarce wojennej. W sierpniu 1943 brał udział w wydobywaniu zatopionej łodzi podwodnej Ułven, która trzy miesiące przeleżała na dnie morza. Wśród trzydziestu trzech zatopionych było wielu jego kolegów. Po wojnie brał między innymi udział w przymusowej ewakuacji bałtyckich kolaborantów z obozu w Rónneslatt a także w przyjmowaniu tysięcy więźniów niemieckich obozów koncentracyjnych. Większość z nich to były kobiety i dzieci, wiele z nich zmarło.

Nie widział jednak powodu, dla którego miałby to wszystko wyjaśniać temu osobliwemu zgromadzeniu, powiedział więc lakonicznie:

- Są jeszcze jakieś pytania?
- Czy policja nawiązała kontakt z jakimś naocznym świadkiem wydarzenia?
- Nie.
- A więc w środku Sztokholmu popełniono masowe morderstwo. Osiem osób straciło życie i to jest wszystko, co policja ma do powiedzenia?
- Tak.

Na tym skończyła się konferencja prasowa.

IX

Chwila minęła, nim zauważono, że przyszedł Rónn z listą. Martin Beck, Kollberg, Melander i Gunvald Larsson stali pochyleni nad stołem, zarzuconym fotografiami miejsca wypadku, gdy Rónn nagle wepchnął się między nich i powiedział:

- No, lista już gotowa.

Rónn urodził się i wyrósł w Arjeplog i mimo że ponad dwadzieścia lat już mieszkał w Sztokholmie, mówił norrländzkim dialektem.

Położywszy papier na rogu stołu, cofnął się i usiadł.

- Nie strasz ludzi - powiedział Kollberg.

Bo w pokoju tak długo panowała zupełna cisza, że wzdrygnął się na dźwięk głosu Rónna.

- No, zobaczymy - powiedział Gunvald Larsson niecierpliwie, sięgając po listę.

Chwilę się jej przyglądał, potem oddał z powrotem Rónnowi.

- W życiu nie widziałem takiego maczku. Czy ty to sam potrafisz przeczytać? Dałeś do przepisania?

- Owszem. Dałem. Za chwilę dostaniecie kopie.

- Okay - powiedział Kollberg. — To posłuchajmy.

Rónn wyjął okulary, odchrząknął, raz jeszcze przejrzał

swoje zapiski.

- Z ośmiu zabitych czterech mieszkało w pobliżu końcowego przystanku, ten, który żyje, także.
- Po kolei, jeżeli można prosić — powiedział Martin Beck.

44

- Więc zacznijmy od kierowcy. Został trafiony dwoma strzałami w kark i jednym w tył głowy, zmarł chyba natychmiast.

Martin Beck nie musiał patrzeć na fotografię, którą Rónn wyciągnął ze stosu leżącego na stole. Aż za dobrze pamiętał, jak wyglądał mężczyzna w szoferce.

- Kierowca nazywał się Gustav Bengtsson, czterdzieści osiem lat, żonaty, dwoje dzieci, mieszkał na Inedalsgatan pod piątym. Rodzina zawiadomiona. To był jego ostatni kurs tego dnia i po wysadzeniu pasażerów na pętli miał odprowadzić autobus do zajezdni na Lindhagensgatan. Kasa nie naruszona, w portfelu miał sto dwadzieścia koron. Spojrzał sponad okularów na pozostałych.

- To by było chwilowo wszystko o nim.
- Dalej - powiedział Melander.
- Następny w kolejności według szkicu jest Ake Stenström. Pięć strzałów w plecy. Jeden w prawe ramię

z boku może być rykoszetem. Miał dwadzieścia dziewięć lat, mieszkał...

Gunvald Larsson przerwał mu:

- To możesz sobie darować, wiemy, gdzie mieszkał.
- Ja nie wiedziałem - rzekł Rónn.
- Dalej - powiedział Melander.

Rónn znowu chrząknął.

- Mieszkał na Tjarhovsgatan z narzeczoną...

Gunvald Larsson znowu mu przerwał:

- Oni nie byli z sobą zaręczeni. Niedawno go pytałem.

Martin Beck z irytacją spojrział na Larssona, potem kiwnął Rónnowi głową, żeby mówił dalej.

45

- Z Asą Torell, dwadzieścia cztery lata, urzędniczką z biura podróży.

Zerknął na Larssona i dodał:

- Żyli w grzechu. Nie wiem, czy ją zawiadomiono.

Melander wyjął fajkę z ust i powiedział:

- Została zawiadomiona.

Żaden z pięciu siedzących wokół stołu mężczyzn nie spojrział na fotografię przedstawiające poszarpane ciało Stenstróma. Już je widzieli i woleli uniknąć ponownego widoku.

- W prawej ręce trzymał służbowy pistolet. Był odbezpieczony, ale nie oddał z niego żadnego strzału. W kieszeniach miał portfel zawierający trzydzieści siedem koron, dowód osobisty, fotografię Asy Torell, list od matki i kilka kwitów. Prócz tego prawo jazdy, notesik, długopisy i klucze na kółku. Dostaniemy to wszystko, kiedy ci w laboratorium skończą robotę. Czy mogę przejść do następnych?

- Proszę bardzo - powiedział Kollberg.

- Obok Stenstróma siedziała Britt Danielsson. Dwa-dziesiąt osiem lat, panna, pracowała w Sabbatsberg. Była wykwalifikowaną pielęgniarką.

- Ciekaw jestem, czy oni byli razem - powiedział Gunvald Larsson. - Mógł miewać skoki w bok.

Rónn spojrzał na niego niechętnie.

- Trzeba się będzie dowiedzieć - zauważył Kollberg.

- Wynajmowała pokój na Karlbergsvagen 27 z drugą pielęgniarką z Sabbatsberg. Według tego, co mówi współlokatorka, która nazywa się Monika Granholm,

46

Britt Danielsson wracała prosto ze szpitala. Została trafiona jednym tylko strzałem. W skroń. Ona jedyna w autobusie dostała tylko jeden strzał. W jej torebce znaleziono różne

drobiazgi, razem trzydzieści osiem sztuk. Czy mam je wyliczyć?

- A po diabła - powiedział Gunvald Larsson.

Numerem czwartym na liście i na szkicu oznaczony jest Alfons Schwerin, ten, który przeżył. Leżał na wznak na podłodze między ustawionymi wzdłuż ławkami, w samym tyle wozu. Już wiecie, jakie odniósł obrażenia. Postrzał w brzuch i kula w okolicy serca. Wiecie już, że jest samotny. Miejsce zamieszkania: Norra Stationsgatan 117.

Ma lat czterdzieści trzy i zatrudniony jest w przedsiębiorstwie naprawy ulic. A jak z nim właściwie jest?

- W dalszym ciągu nieprzytomny. Lekarze powiadają, że istnieje minimalna szansa na przywrócenie mu świadomości. Ale nie wiadomo, czy nawet w tym wypadku będzie mógł mówić i czy będzie coś pamiętać.

- Kula w brzuchu przeszkadza w mówieniu? - spytał Gunvald Larsson.

- Szok - odpowiedział Martin Beck. Odsunął krzesło, przeciągnął się. Potem zapalił papierosa i stanął przed szkicem.

- No, a ten w kącie - powiedział - numer osiem?

Wskazał miejsce w prawym tylnym rogu autobusu.

Rónn zajrzał do swych notatek.

- Ten dostał osiem kul. W piersi i żołądek. To Arab, nazwiskiem Mohammed Boussie, obywatel algierski, trzydzieści sześć lat, żadnych krewnych w Szwecji. Mieszkał 47

w czymś w rodzaju pensjonatu przy Norra Stationsgatan. Wracał najprawdopodobniej z pracy w „Zygzaku”, w tej restauracji na Vasagatan. Chwilowo nic więcej o nim nie można powiedzieć.

- Arab - powiedział Gunvald Larsson - czy to nie tam u nich mają zwyczaj wciąż urządzać strzelaniny?

— Twoja wiedza polityczna jest przytłaczająca — powiedział Kollberg. — Powinieneś starać się o przeniesienie do WB.

- Właściwa nazwa brzmi: Wydział Bezpieczeństwa przy Komendzie Policji — wyjaśnił Larsson.

Rónn wstał, wydobył kilka zdjęć ze stosu i ułożył rzędem na stole.

- Tego chłopca nie mogliśmy zidentyfikować - powiedział. - Numer sześć. Siedział z brzegu, tuż przy środkowym wejściu. Został trafiony sześcioma strzałami. W kieszeniach miał zapalki, pudełko papierosów, bilet autobusowy i tysiąc osiemset dwadzieścia pięć koron, luzem, w banknotach. To wszystko.

— Dużo pieniędzy — stwierdził Larsson.

Pochyleni nad stołem przyglądali się fotografiom nieznanego. Zsunął się z siedzenia i wpół leżał na oparciu, z jedną ręką zwieszoną i z lewą nogą wyciągniętą na środek. Przód jego płaszcza przesiąknięty był krwią. Twarzy nie miał.

— Niech to diabli - powiedział Gunvald Larsson.

- I kto to może być. Rodzona matka by go nie poznała.

Martin Beck powrócił do studiowania planu na ścianie.

Uniósł rękę do twarzy i powiedział:

48

- Zastanawiam się, czy nie mogło ich być jednak dwóch. Spojrzeli na niego.

- Jakich dwóch? — spytał Gunvald Larsson.

- Tych, co strzelali. Zobaczcie, jak potulnie wszyscy siedzą na swoich miejscach, wszyscy prócz tego, który przeżył, a i on mógł dopiero potem spaść z ławki.

- Dwóch wariatów naraz? - powiedział Gunvald Larsson niedowierzająco.

Kollberg podszedł do Martina Becka.

- Chcesz powiedzieć, że gdyby był jeden, to ktoś jednak powinien zdążyć zareagować. Może i tak. Ale przecież on ich formalnie skosił. To stało się tak szybko,

a jeżeli wziąć pod uwagę, jacy musieli być zaskoczeni...

- Sprawdzamy dalej listę? I tak się przecież wkrótce dowiemy, ile było narzędzi mordu: jedno czy dwa.

- Oczywiście - przyznał Martin Beck. - Mów dalej Einar.

- Jako numer siódmy mamy Johana Kallstróma.

Rzemieślnik. Siedział obok tego, który pozostaje nie zidentyfikowany. Pięćdziesiąt dwa lata, żonaty, mieszkał przy Karlbergsvagen 8. Według jego żony wracał z warsztatu na Sibyllegatan, pracował po godzinach. Żadnych sensacji, jeżeli o niego chodzi.

- Prócz tej, że ktoś naładował mu w brzuch ołowiu, kiedy wracał z pracy — zauważył Gunvald Larsson.

- Pod oknem, tuż przy środkowym wejściu, mamy Góste Assarssona, numer ósmy. Czterdzieści dwa lata.

Połowę głowy ma odstrzeloną. Mieszkał na Tegnergatan 40, gdzie miał także biuro i swoje przedsiębiorstwo, firma

49

eksportowo-importowa, prowadził ją razem z bratem.

Jego żona nie wie, dlaczego jechał tym autobusem.

Według niej powinien być na Narvavagen na zebraniu stowarzyszenia.

- Aha - powiedział Gunvald Larsson — zakazana

wyprawa.

- Owszem, pewne ślady na to wskazują. W teczce miał butelkę whisky. Johnnie Walker, Black Label.

- Proszę, proszę — powiedział Kollberg, który był epikurejczykiem.

- Prócz tego był dobrze zaopatrzony w prezerwatywy

- dodał Rónn. - Miał ich siedem w wewnętrznej kieszeni.

A także książeczkę czekową i ponad osiemset koron w gotówce.

- Dlaczego akurat siedem — zastanowił się Gunvald Larsson.

Drzwi otworzyły się i Ek wsunął głowę.

- Hammar prosi, żeby wszyscy stawili się u niego za kwadrans. Przegląd. A więc za kwadrans jedenasta.

Znikł.

- Okay, jedziemy dalej — powiedział Martin Beck.

- A przy czym to byliśmy?

- Przy tym z siedmioma kondomami — wyjaśnił Larsson.

- Masz jeszcze coś do powiedzenia o nim? - spytał Martin Beck.

Rónn zajrzał w swój zabazgrany papiererek.

- Nie wydaje mi się.

- Więc jedźmy dalej - powiedział Martin Beck,

siadając przy biurku Gunvalda Larssona.

50

- O dwa miejsca przed Assarssonem siedział numer dziewięć, pani Hildur Johansson, sześćdziesiąt osiem lat, wdowa zamieszkała przy Norra Stationsgatan 119. Strzał w ramię i na wylot przez szyję. Ma zamężną córkę na Vastmangatan i wracała od niej, pojechała tam, żeby przypilnować dzieci.

Rónn zwinął kartkę i wetknął do kieszeni.

— To wszyscy — powiedział.

Gunvald Larsson westchnął i ułożył fotografie w dziesięć porządných stosików.

Melander odłożył fajkę i mruknąwszy coś wyszedł do toalety.

Kollberg kołysząc się na krześle powiedział:

- No, i co nam z tego wszystkiego? Że jakiegoś zupełnie zwykłego wieczora w zupełnie zwykłym autobusie dziewięć zupełnie zwyczajnych osób bez żadnego rozsądnego powodu zostało skoszonych z pistoletu maszynowego.

Pominąwszy tego chłopca, który nie został zidentyfikowany, nie mogę jakoś dopatrzeć się czegoś niezwykłego w kimkolwiek z nich.

— Owszem — rzekł Martin Beck. — Stenstróm. Co on

robił w tym autobusie?

Nikt nie odpowiedział.

W godzinę później Hammar dokładnie to samo pytanie postawił Martinowi Beckowi.

Hammar zebrał grupę specjalną, która od tej chwili poczynając miała zajmować się wyłącznie autobusowym morderstwem. Grupa składała się z siedemnastu doświadczonych specjalistów od spraw kryminalnych, kierownikiem 51

był Hammar. Martin Beck i Kollberg także należeli do czołówki.

Omówili wszystkie sprawdzalne fakty, spróbowali zanalizować sytuację i podzielili się zadaniami. Gdy odprawa się skończyła i wszyscy prócz Martina Becka i Kollberga opuścili pokój, Hammar powiedział:

- Co Stenström robił w tym autobusie?
- Nie wiadomo - powiedział Martin Beck.
- Nikt zdaje się nie wie nawet, czym on się ostatnio zajmował. Czy może któryś z was wie?

Kollberg rozłożył ręce i wzruszył ramionami.

- Pojęcia nie mam — powiedział. - Wykonywał plan dzienny. Prawdopodobnie nic specjalnego.
- Niewiele mieliśmy ostatnio roboty - powiedział

Martin Beck. - Więc często bywał wolny. Przedtem miał mnóstwo godzin nadliczbowych, więc mu się to słusznie należało.

Hammar zabębnił palcami w kant stołu. Chwilę się zastanawiał, potem powiedział:

- Kto zawiadamiał jego narzeczoną?
- Melander - powiedział Kollberg.
- Powinniście jak najprędzej z nią pomówić. Najprawdopodobniej musiała wiedzieć, po co wychodził.

Urwał i dodał:

- O ile oczywiście...

Umilkł.

- O ile co? - spytał Martin Beck.
- O ile to nie miało nic wspólnego z pielęgniarką z autobusu, chciałeś powiedzieć - rzekł Kollberg.

52

Hammar nie odpowiedział.

- Albo jeżeli nie wyszedł w innej tego rodzaju sprawie
- uzupełnił Kollberg.

Hammar przytaknął.

- Dowiedzcie się.

X

Przed gmachem Głównej Komendy Policji na Kungs-

holmen stały dwie osoby, które zdecydowanie pragnęłyby znajdować się w jakimkolwiek innym miejscu. Dwaj osobnicy ubrani w mundurowe czapki, skórzane kurtki z błyszczącymi guzikami, z bandoletami skrzyżowanymi na piersi, z pistoletami i pałkami za pasem. Nazywali się Kristiansson i Kvant.

Starannie ubrana starsza pani podeszła i spytała:

- Przepraszam, którądy trzeba iść na Hjarnegatan?
- Nie wiem - odpowiedział Kvant. - Proszę spytać policjanta. O, tam stoi.

Pani spojrzała na niego ze zdumieniem.

- My tu jesteśmy zupełnie u siebie - załagodził Kristiansson.

Kobieta wciąż jeszcze gapiała się na nich, gdy wchodzili po schodach zewnętrznych.

- Czego oni od nas chcą, jak myślisz? - lękliwie spytał Kristiansson.

- Oczywiście, żebyśmy świadczyli - powiedział Kvant. - Przecież to my zrobiliśmy to odkrycie.

53

- To prawda - przyznał Kristiansson. - Tak rzeczywiście było, ale...
- Żadnego ale. Właż do windy.

Na drugim piętrze spotkali Kollberga. Posepnie i nieuważnie kiwnął im głową. Potem otworzył jakieś drzwi i powiedział:

- Gunvald, są ci dwaj faceci z Solny.
- Powiedz im, żeby zaczekali - dobiegł głos z wewnątrz.
- Zaczekajcie - powiedział Kollberg i poszedł sobie.

Po dziesięciu minutach czekania Kvant poruszył się i powiedział:

- Co to za sposób do cholery! Przecież my mamy teraz wolne. Obiecałem Siv, że przypilnuję dzieci, bo miała iść do doktora.

- Tak. Już to mówiłeś - powiedział Kristiansson, coraz bardziej onieśmielony.

- Powiada, że coś takiego dziwnego czuje w m...

- Tak. To też mówiłeś.

- Znowu będzie wściekła — powiedział Kvant. - Trudno z nią dojść do ładu. Okropnie zresztą zaczyna wyglądać.

Czy twoja Kerstin też się zrobiła taka szeroka w zadku?

Kristiansson nie odpowiedział.

Kerstin była jego żoną i nie lubił rozprawiać na jej temat.

Kvant nie przejawiał zrozumienia w tej sprawie.

W pięć minut potem Gunvald Larsson otworzył drzwi

i powiedział lakonicznie:

- Wejdźcie.

Weszli, usiedli. Gunvald Larsson przyjrzał się im krytycznie.

54

- Proszę bardzo, siadajcie.

- Przecież już siedzimy - powiedział tępo Kristiansson.

Kvant uciszył go niecierpliwym gestem. Zaczynał przewidywać nieprzyjemności.

Gunvald Larsson stał w milczeniu. W końcu zajął miejsce za biurkiem, westchnął ciężko i spytał:

- Od jak dawna jesteście policjantami?

- Osiem lat — odpowiedział Kvant.

Gunvald Larsson wziął jakiś papier i zagłębił się w nim.

- Czytać umiecie? — spytał.

- Oczywiście - odpowiedział Kristiansson, nim

Kvant zdołał go powstrzymać.

- No, to przeczytajcie — powiedział Gunvald Larsson przesuwając arkusz w ich stronę.

- Rozumiecie to, co tu napisane, czy mam wam bliżej wyjaśnić?

Kristiansson potrząsnął głową.

- Chętnie wam wyjaśnię - zapewnił Gunvald Larsson.

- To jest raport dotyczący wyników wstępnego badania

miejsca zbrodni. Okazuje się z niego, że dwie osoby, mające numer obuwia czterdzieści sześć, pozostawiły w tym cholernym autobusie około stu odcisków stóp, na górze i na dole. Jak wam się zdaje, co to za osoby?

Odpowiedzi nie było.

- By rzecz dokładniej wyjaśnić, dodam, że przed chwilą rozmawiałem z ekspertem z laboratorium, powiedział, że miejsce zbrodni wyglądało tak, jakby całe stado koni morskich kłusowało po nim godzinami tam i z powrotem.

Ekspertowi wydaje się nieprawdopodobne, by gromadka 55

ludzkich istot, i to w dodatku składająca się z dwóch tylko indywidualów, mogła zniszczyć niemal wszystkie ślady tak całkowicie i w tak krótkim czasie.

Kvant zaczynał już tracić cierpliwość. Wpatrywał się w człowieka za biurkiem nieustępliwie i ze złością.

— Tyle tylko, że konie morskie i inne zwierzaki nie bywają uzbrojone — dodał Gunvald Larsson łagodnie.

- Niemniej jednak ktoś strzelał w autobusie z Walthera siedem przecinek sześćdziesiąt pięć milimetrów, a bliżej określając miejsce: z góry, z przednich schodów. Kula odbiła się rykoszetem od dachu i utkwiała w wyściełanym siedzeniu jednego z miejsc na górnym piętrze. Jak wam się

zdaje, któż to strzelał?

— My -powiedział Kristiansson. - To znaczy, chciałem powiedzieć, ja.

- Czyżby? Rzeczywiście? A do czego strzelaliście?

Stropiony Kristiansson podrapał się w kark.

— Do niczego — powiedział.

— To był strzał ostrzegawczy — wyjaśnił Kvant.

— Dla kogo przeznaczony?

— Przypuszczaliśmy, że morderca jest może jeszcze w autobusie i ukrył się na górze — rzekł Kristiansson.

- No i co, był tam?

- Nie - rzekł Kvant.

- A skąd to wiecie? Co zrobiliście po tej kanonadzie?

- Weszliśmy na górę i popatrzyliśmy - wyjaśnił Kristiansson.

- Nikogo tam nie było - uzupełnił Kvant.

Gunvald Larsson przez dobre pół minuty przy-

56

glądał się im badawczo, potem uderzył pięścią w stół i zawołał:

- Wleźliście na górę! Obaj! Do diabła, cóż za beznadziejna tępota!

- Weszliśmy każdy z innej strony — obronnie zastrzegł

się Kvant. - Ja z tyłu, a Kalle przednimi schodami.

- Tak, żeby ten, co był na górze, nie mógł uciec

- poparł go Kristiansson.

- Przecież tam nikogo nie było u diabła! Jedno się wam tylko udało: zniszczyć wszystkie ślady w całym autobusie! Już nie mówiąc o tym, coście zrobili na zewnątrz. I dlaczego łaziliście koło zwłok? Żeby więcej jeszcze tam nabłocić?

- Żeby zobaczyć, czy ktoś jeszcze żyje — powiedział Kristiansson, zbladł przy tym i przełknął głośno.

- Tylko nie zacznij znowu wymiotować, Kalle — upomniał go Kvant zaniepokojony.

Drzwi się otworzyły i wszedł Martin Beck. Kristiansson od razu wstał, Kvant po chwili poszedł za jego przykładem.

Martin Beck kiwnął im głową i spojrzał pytająco na Larssona.

- Czy to ty tak krzyczysz? Nie na wiele się chyba zda wymyślać tym chłopakom.

- Owszem — odparł Gunvald Larsson - to jest konstruktywne.

- Konstruktywne?

- Właśnie, ci dwaj idioci...

Urwał i przerzucił się na inne słownictwo.

- Ci dwaj koledzy są jedynymi świadkami, jakich

57

mamy. Słyszycie, co mówię! O której godzinie przyszlście na miejsce zbrodni?

- Trzynaście po jedenastej. Sprawdziłem czas według chronografu.

- Co do mnie — powiedział Gunvald Larsson — to siedziałem dokładnie tu, gdzie teraz. Zostałem zaalarmowany osiemnaście po jedenastej. Nawet jeżeli przy obliczeniach pozostawimy szeroki margines, przyjmując, że manipulowanie radiem zajęło wam pół minuty i że centrala łączności potrzebowała piętnastu sekund na skontaktowanie się ze mną, pozostaje jeszcze ponad cztery minuty. Co robiliście przez ten czas?

- Jak by to powiedzieć... — rzekł Kvant.

- Właśnie, biegaliście jak kot z pęcherzem, rozdeptując krew i substancję mózgową, przesuwaliście ciała i nie spieszyło się wam.

- Naprawdę nie widzę w tym nic konstruktywnego...

- zaczął Martin Beck, ale Gunvald Larsson natychmiast mu przerwał:

- Owszem, zaczekaj tylko trochę. Pomijając już to, że te typy cztery minuty zmarnowały na zniszczenie miejsca

zbrodni, trzeba przyznać, że rzeczywiście przybyli tam trzynaście po jedenastej. Tylko nie pojechali z własnej inicjatywy, zostali zaalarmowani przez człowieka, który odkrył autobus. Czy nie tak było?

- Owszem - odpowiedział Kvant.

- Facet z psem - dodał Kristiansson.

- O właśnie! Zostali wezwani przez osobę, której nazwiska nie znają, bo nie zatroszczyli się o to, żeby o nie
58

zapytać, i pewnie nie potrafiliby tej osoby zidentyfikować, na szczęście człowiek ten był na tyle uprzejmy, że sam się do nas zgłosił. O której zobaczyliście tego człowieka z psem?

- Jak by to powiedzieć... — rzekł Kvant.

- Mniej więcej dwie minuty przed podjechaniem do autobusu - powiedział Kristiansson patrząc na swoje buty.

- Właśnie! Ponieważ według jego zeznań co najmniej minutę strwoniliście na siedzenie w samochodzie i strzepienie języków na niepotrzebną gadaninę. O psach i czymś tam jeszcze. Mam rację?

- Aha - mruknął Kristiansson.

- Kiedy zostaliście zawiadomieni, było więc mniej więcej dziesięć-jedenaście po jedenastej. Jak daleko od

autobusu zatrzymał was ten człowiek?

- W odległości około trzystu metrów - rzekł Kvant.
- Zgadza się, zgadza — potwierdził Gunvald Larsson.
— A ponieważ człowiek ten miał siedemdziesiąt lat i ciągnął za sobą chorego psa...
- Chorego? - zdziwił się Kvant.
- Właśnie. Psisko miało uszkodzony kręgosłup i tylne nogi prawie zupełnie bezwładne.
- Zaczynam wreszcie pojmować, o co ci chodzi
- rzekł Martin Beck.
- Ach, tak! Kazałem temu staremu na próbę przebiec dziś tą trasą. Z psem, z całą paradą. Trzy razy to robił, potem pies już nie mógł więcej.
- To jest znęcanie się nad zwierzęciem — powiedział Kvant z oburzeniem.

59

Martin Beck spojrzał na niego, zdumiony i pełen zainteresowania.

— W każdym bądź razie ta karawana w żaden sposób nie mogła dobić prędzej niż w trzy minuty. A więc człowiek ten musiał zauważyć unieruchomiony autobus najpóźniej siedem po jedenastej, a wiemy właściwie na pewno, że masakra została popełniona jakieś trzy-cztery

minuty wcześniej.

— Skąd wiecie? - powiedzieli Kvant i Kristiansson jednocześnie.

— Nic wam do tego — odpowiedział Gunvald Larsson.

- Zegarek Stenstróma — wyjaśnił Martin Beck. — Jedna z kul przebiła mu klatkę piersiową i utkwiała w prawym nadgarstku. Rozbiła kopertę zegarka, który miał na ręce, omiga, według ekspertyzy zegarek wtedy stanął. Trzy minuty, trzydzieści siedem sekund po jedenastej.

Gunvald Larsson spojrzał na niego niechętnie.

- My, znając Stenstróma, wiemy, że był bardzo dokładny - smutno powiedział Martin Beck. - Jeśli chodzi o czas, był maniakiem, jak to określają zegarmistrze. To znaczy, że jego zegarek niezwykle dokładnie wskazywał godzinę. Jedź dalej, Gunvald.

- Ten człowiek szedł przez Norrbackagatan w kierunku Karlbergsvagen. Autobus wyminął go na początku ulicy. Doczłapanie do końca Norrbackagatan zajęło mu około pięciu minut. Autobus na przebycie tego odcinka potrzebował mniej więcej czterdzieści pięć sekund.

Przechodzień nikogo po drodze nie spotkał. Doszedłszy do rogu, zobaczył autobus po drugiej stronie ulicy.

- No i co z tego? - powiedział Kvant.
- Milczeć - odpowiedział Gunvald Larsson.

Kvant poruszył się gwałtownie i już otworzył usta, ale spojrzawszy na Martina Becka, powstrzymał się.

- Nie zauważył, że okna są potłuczone, na co nawiasem mówiąc ci dwaj geniusze także nie zwrócili uwagi, kiedy się tam wreszcie dowlekli. Zobaczył natomiast, że przednie drzwi są otwarte. Myślał, że zdarzyła się katastrofa, i chciał sprowadzić pomoc. Zupełnie słusznie wy kalkulował sobie, że prędzej dojdzie do końcowego przystanku niż wdrapie się pod górę przez Norrbackagaten, poszedł więc przez Norra Stationsgatan w kierunku południowo-zachodnim.

- Dlaczego? - spytał Martin Beck.
- Przypuszczał, że na końcowym przystanku będzie jeszcze jeden autobus. Ale go tam nie było. Natknął się natomiast na samochód policyjny, niestety.

Gunvald Larsson obrzucił Kvantę i Kristianssona miażdżącym porcelanowo błękitnym spojrzeniem.

- Samochód patrolowy z Solny, który zboczył ze swego obwodu, znajdującego się o rzut kamieniem. Jak długo staliście na jałowym biegu, mając przednie koła za granicą miasta?

- Trzy minuty - powiedział Kvant.

- Cztery raczej albo pięć - sprostował Kristiansson.

Kvant obdarzył go niewdzięcznym spojrzeniem.

- Nie widzieliście, żeby ktoś przechodził?

- Nie - powiedział Kristiansson. - Nikt, tylko ten z psem.

- Co dowodzi, że sprawca nie mógł oddalić się ani

61

przez Norra Stationsgatan czyli na południo-zachód, ani na południe przez Norrabackagatan. Jeżeli założymy, że nie zbiegł na plac dworca towarowego, pozostaje tylko jedna możliwość: przez Norra Stationsgatan w przeciwnym kierunku.

- A skąd... skąd wiecie, że nie uciekł na ten plac?

- spytał Kristiansson.

- Stąd, że jest to jedyne miejsce, gdzie nie zdeptaliście wszystkiego, co było do zobaczenia. Zapomnieliście przeleźć przez sztachety i tam też wszystko rozdeptać.

- Okay, Gunvald - powiedział Martin Beck - twoja wygrana. Tylko jak zwykle strasznie dużo czasu potrzebowaleś na wyłożenie tego.

Replika ta ośmieliła Kvanta i Kristianssona do wymiany wyrażających ulgę porozumiewawczych spojrzeń. Lecz Gunvald Larsson natychmiast powiedział:

- Gdybyście mieli odrobinę rozumu w tych zakutych łbach, wsiedlibyście do samochodu, dogonili mordercę i ujęli go.

- Albo też zostali zarżnięci - powiedział Kristiansson pesymistycznie.

- Jak złapię tego faceta, ściągnę was tu - powiedział Larsson ze złością.

Kvant zerknął na zegar ścienny i spytał:

- Możemy już iść? Moja żona...

- Możecie - powiedział Gunvald Larsson. - Wynoście się do diabła.

Unikając potępiającego wzroku Martina Becka powiedział:

62

- Dlaczego oni nie myślą?

- Większość ludzi potrzebuje nieco więcej czasu na rozwinięcie rozumowania - powiedział Martin Beck przyjaźnie. - Detektywów to oczywiście nie dotyczy.

XI

— Teraz trzeba się zastanowić — powiedział Gunvald Larsson energicznie, z trzaskiem zamykając za sobą drzwi.

- Odprawa u Hammara dokładnie o trzeciej. Za dziesięć minut.

Martin Beck, który siedział ze słuchawką telefoniczną przy uchu, spojrział na niego z irytacją, a Kollberg warknął ponuro:

— Dobrze sobie! Sam się zastanawiaj na głodny żołądek, a zobaczysz, jak to dobrze.

Konieczność opuszczenia jakiegoś posiłku była jedną z niewielu rzeczy mogących zepsuć humor Kollbergowi. A do tej pory co najmniej trzy posiłki go już ominęły, był więc mocno rozgoryczony. Poza tym z zadowolonej miny Gunvalda Larssona, sądząc, podejrzewał, że on wyskoczył sobie i coś zjadł, a ta myśl wcale go lepiej nie usposabiała.

- Gdzieś ty był? - spytał podejrzliwie.

Gunvald Larsson nie odpowiedział. Kollberg przeprowadził go spojrzeniem, gdy sadowił się za biurkiem.

Martin Beck odłożył słuchawkę.

- A co ty się awanturujesz? - powiedział.

63

Wstał, zabrał swoje zapiski i podszedł do Kollberga.

- Z laboratorium dzwonili - powiedział. - Doliczyli się sześćdziesięciu ośmiu wystrzelonych łusek.

- Jakiego kalibru? - spytał Kollberg.

- Tak jak przypuszczaliśmy. Dziewięć milimetrów.

Nic nie przemawia przeciw temu, że sześćdziesiąt siedem

strzałów padło z jednej broni.

- A sześćdziesiąty ósmy?

- Z Walthera siedem przecinek sześćdziesiąt pięć.

- Strzał w dach, oddany przez Kristianssona — skons-
tatował Kollberg.

- Tak jest.

- To znaczy, że przypuszczalnie był tam tylko jeden
wariat — wtrącił Gunvald Larsson.

- Tak jest - rzekł Martin Beck.

Podszedł do planu i nakreślił łuk w miejscu, gdzie
zaznaczone były najszersze środkowe drzwi.

- Tak - powiedział Kollberg - tam pewnie stał.

- Wyjaśniałoby to...

- Co mianowicie? — spytał Gunvald Larsson.

Martin Beck nie odpowiedział.

- Co chciałeś powiedzieć? — spytał Kollberg. — Co by
to wyjaśniało?

- Dlaczego Stenström nie zdążył strzelić - powiedział
Martin Beck.

Spojrzeli na niego ze zdziwieniem.

- Ee - powiedział Gunvald Larsson.

- Ta, tak, macie rację - rzekł Martin Beck, w zamyśleniu
pocierając nasadę nosa dwoma palcami.

Hammar pchnął drzwi i wszedł w towarzystwie Eka i przedstawiciela prokuratury.

- Rekonstrukcja — powiedział zadzierzyście. — Wyłączyć wszystkie telefony. Gotowi jesteście?

Martin Beck spojrzał na niego ze smutkiem. Zupełnie w taki sam sposób odbywało się zwykle entre Stenstróma, wchodził znienacka i bez pukania. Prawie zawsze. Było to niesłychanie irytujące.

- Co tam masz - rzekł Gunvald Larsson. - Wieczorne gazety?

- Tak — odparł Hammar. — Bardzo zachęcające.

Rozłożył gazety i spojrzał na nie wrogo. Nagłówki były wielkie i tłuste, lecz teksty skąpe w wiadomości.

- Cytuję - powiedział Hammar. - „Zbrodnia stulecia, powiada wytrawny spec od morderstw Gunvald Larsson, ze sztokholmskiego wydziału kryminalnego, i dodaje: najstraszliwszy widok, jaki zdarzył mi się widzieć w życiu!!” Dwa wykrzykniki.

Gunvald Larsson przechylił się w krześle i z niezadowolaniem zmarszczył brwi.

- W dobrym towarzystwie występujesz — dorzucił

Hammar. - Minister sprawiedliwości też się wypowiedział.

„Należy położyć kres wielkiej fali bezprawia i przestępczości. Wszystkie zasoby osobowe i materialne policji rzucone zostaną do walki celem natychmiastowego ujęcia złoczyńcy”.

Rozejrzał się dokoła i dodał:

- A więc to są te zasoby.

Martin Beck wytarł nos.

- „Już teraz setka najzdolniejszych specjalistów od

65

spraw kryminalnych z całego kraju bierze bezpośredni udział w śledztwie - ciągnął dalej Hammar, wskazując na jedną z gazet. - Podobnego startu nie było jeszcze w historii kryminalistyki tego kraju.”

Kollberg westchnął i złapał się za głowę.

- Politycy - mruknął Hammar pod nosem.

Rzucił gazety na stół i spytał:

- Gdzie Melander?

- Rozmawia z psychologami — wyjaśnił Kollberg.

- A Rónn?

- W szpitalu.

- I jakie wiadomości stamtąd? Jest coś nowego?

- Wciąż go operują.

- No więc rekonstrukcja - rzekł Hammar.

Kollberg pogrzebał w swych papierach.

- Autobus wyszedł z Bellmansro mniej więcej o dziewiątej.

- Mniej więcej?

~ Cały rozkład jazdy wziął w łeb z powodu tego bałaganu na Strandvagen. Autobusy stały, bo potworzyły się zatory uliczne albo policja nie przepuszczała, i opóźnienia były tak duże, że kierowcy dostali zarządzenie, żeby nie licząc się z rozkładem jazdy od razu wracali z końcowego przystanku."

- Przez radio dostali?

- Tak. Instrukcja dla kierowców na linii 47 została nadana na falach długich tuż po dziewiątej.

- Proszę dalej.

- Wychodzimy z założenia, że na pewno znajdą się

66

ludzie, którzy przejechali jakiś odcinek tym właśnie autobusem. Chwilowo jednak nie mamy kontaktu z żadnym tego rodzaju świadkiem.

- Zgłoszą się — rzekł Hammar. I wskazując na dzienniki dodał: — Po tym tu.

- Zegarek Stenstróma zatrzymał się na godzinie: dwudziesta trzecia, trzy minuty, trzydzieści siedem sekund — monotonicznie ciągnął dalej Kollberg — mamy powody

przypuszczać, że jest to dokładny czas oddania strzałów.

- Pierwszego czy ostatniego? — spytał Hammar.

- Pierwszego — powiedział Martin Beck. Zwrócił się do wiszącej na ścianie planszy i wskazał palcem na krąg, jaki przed chwilą nakreślił. - Przypuszczamy, że ten, kto strzelał, stał właśnie tu, na otwartej przestrzeni na wprost drzwi wejściowych.

- A na czym oparte jest to przypuszczenie?

- Tor lotu kuli. Położenie wystrzelonych łusek w stosunku do pozycji ciała.

- Tak, proszę dalej.

- Zakładamy także, że sprawca oddał trzy serie strzałów. Pierwszą do przodu, z lewa na prawo, i tą serią trafione zostały wszystkie osoby siedzące w przedniej części autobusu, te, które na szkicu oznaczone są numerami jeden, dwa, trzy, osiem i dziewięć. Numer osiem to kierowca, numer dwa Stenstróm.

- A później?

- Później odwrócił się po prostu, prawdopodobnie na prawo, i oddał następną serię do osób siedzących z tyłu, w dalszym ciągu strzelając od lewej do prawej. Uśmiercił

67

przy tym numer pięć, sześć i siedem i zranił numer cztery,

czyli Schwerina. Schwerin leżał na wznak w środkowym przejściu tylnej części autobusu. Interpretujemy to w ten sposób: siedział na ustawionej wzdłuż autobusu ławce, na lewo od wyjścia, i zdążył się podnieść. Tak więc jego trafił ostatni strzał.

— A trzecia salwa?

— Oddana została do przodu — rzekł Martin Beck

— tym razem — z prawa na lewo.

— A bronią był pistolet maszynowy?

— Tak - powiedział Kollberg - najprawdopodobniej.

Jeżeli był to pistolet pospolicie używany w wojsku...

— Chwileczkę — wtrącił Hammar. — Ile czasu to wszystko mogło zająć? Strzelić do przodu, odwrócić się, oddać serię do tyłu, znowu zwrócić broń do przodu i zmienić magazynek?

— Ponieważ nie wiemy jeszcze, jakiego rodzaju bronią się posługiwał... — zaczął Kollberg, lecz Gunwald Larsson mu przerwał:

— Dziesięć sekund mniej więcej.

— A jak wydostał się z autobusu? — spytał Hammar.

Martin Beck zwracając się do Eka powiedział:

— To twój dział, proszę bardzo.

Ek przegarnął palcami siwe włosy, odchrząknął

i powiedział:

— Otwarte były drugie drzwi wejściowe. Najbardziej prawdopodobne jest więc, że morderca tą właśnie drogą opuścił autobus. Żeby je otworzyć, musiał przedtem przez całe przejście środkowe dostać się do przodu, aż do miejsca 68

kierowcy, sięgnąć ręką nad aibo obok jego ciała i przekręcić włącznik automatu.

Ek zdjął okulary, przetaił je chusteczką i podszedł do ściany.

— Kazałem zrobić powiększenie dwóch rysunków instruktażowych, oto one — powiedział. — Z jednej strony widać całość oinstrumentowania, z drugiej gałkę automatu otwierającego drzwi wejściowe. Na rysunku pierwszym wyłącznik prądu do obwodu drzwi oznaczony jest numerem piętnaście, a gałka automatu otwierającego drzwi numerem osiemnaście. Gałka umieszczona jest na lewo od kierowcy, nieco ukośnie pod bocznym oknem. Gałka, jak to widać na rysunku drugim, może znajdować się w pięciu różnych położeniach.

— Nic z tego nie można zrozumieć, ani w ząb - powiedział Gunvald Larsson.

— W położeniu poziomym, czyli w pozycji pierwszej

— ciągnął Ek niewzruszenie — wszystkie drzwi są zamknięte. W pozycji drugiej, jedno przesunięcie w górę, otwierają się przednie drzwi, w pozycji trzeciej, dwa przesunięcia w górę, otwierają się i jedne, i drugie drzwi. Można też przesunąć o dwa stopnie w dół, pozycja czwarta i piąta. W pierwszej z nich otwierają się przednie drzwi, w drugiej znowu oboje.

— Streszczaj się — powiedział Hammar.

— Streszczając się - rzekł Ek - odnośny osobnik musiał z miejsca, w którym przypuszczalnie się znajdował: koło tylnych wyjściowych drzwi, przedostać się środkowym przejściem do miejsca kierowcy. Pochylił się nad kierowcą,
69

który opadł na kierownicę, i przekręcił gałkę, ustawiając ją w pozycji drugiej. Otworzył w ten sposób drzwi środkowe. To jest te, które były otwarte, gdy nadjechał pierwszy wóz policyjny.

Martin Beck natychmiast podjął wątek.

- Rzeczywiście są oznaki wskazujące na to, że ostatnie strzały oddane zostały w czasie, gdy strzelający wycofywał się przejściem środkowym w kierunku szoferki. Oddane w lewo. Jednym z nich, jak się zdaje, trafiony został Stenström.

- Technika okopowa — wtrącił Gunvald Larsson.
— Seryjna.
- Gunvald zrobił przed chwilą bardzo trafny komentarz
— sucho zauważył Hammar. — Stwierdził, że nic nie rozumie. Wszystko razem wskazuje na to, że strzelający był całkowicie obyty z urządzeniem autobusu, znał się na manipulowaniu.
- A co najmniej, że wzmiankowany osobnik umiał manewrować automatem otwierającym drzwi - pedantycznie uściślił Ek.

W pokoju zapanowała cisza. Hammar zmarszczył czoło. W końcu powiedział:

- Uważacie więc, że ktoś nagle stanął na środku autobusu, wystrzelał wszystkich, którzy się w nim znajdowali, a potem po prostu poszedł sobie? I że nikt nie zdążył zareagować? I kierowca nic nie zobaczył w lusterku?
- No, nie - rzekł Kollberg - niezupełnie tak.
- A więc jak?
- Że ktoś z odbezpieczonym, gotowym do strzału

70

pistoletem maszynowym zszedł tylnymi schodami z górnego piętra autobusu - powiedział Martin Beck.

- Ktoś, kto przez chwilę siedział na górze zupełnie

sam — dodał Kollberg. - Kto miał czas, by wybrać najodpowiedniejszy moment.

- Skąd kierowca wie, czy na górze ktoś jest? — spytał Hammar.

Wszyscy spojrzeli wyczekująco na Eka, który znowu chrząknął i powiedział:

- W schodach jest elektrokomórka. Która z kolei działa na licznik umieszczony na tablicy rozdzielczej. Za każdym razem gdy ktoś wykupiwszy bilet u kierowcy wchodzi na górę przednimi schodami, licznik dodaje jedynekę. Kierowca przez cały czas ma kontrolę nad liczbą osób znajdujących się na górze.

- A gdy autobus został znaleziony, licznik wykazywał zero?

- Tak jest.

Hammar przez parę sekund stał w milczeniu. Potem powiedział:

- Nie. To nie klapuje.

- Co mianowicie? — spytał Martin Beck.

- Rekonstrukcja.

- A dlaczego? — zaproponował Kollberg.

- Zanadto wystudiowane to wszystko. Chory umysłowo popełniający masowe morderstwo nie postępuje według

tak dokładnie obmyślanego planu.

- Czyżby? - rzekł Gunvald Larsson. - Ten wariat, który zeszłego lata w Ameryce zastrzelił z wieży ponad 71 trzydzieści osób, cholernie dokładnie wszystko zaplanował. Nawet jedzenie z sobą zabrał.

- Tak - przyznał Hammar. - Była jednak jedna rzecz, której nie wykalkulował sobie.

- Co mianowicie?

Na to Martin Beck odpowiedział:

- Jak się stamtąd wydostanie.

XII

W siedem godzin później, o dziesiątej wieczorem, Martin Beck i Kollberg wciąż jeszcze byli w komendzie policji przy Kungsholmsgatan.

Ciemno już było i deszcz przestał padać.

Poza tym nie zdarzyło się nic specjalnego. Oficjalnie określano to jako niezmienny stan śledztwa.

Umierający w szpitalu karolińskim w dalszym ciągu "był umierający.

W ciągu popołudnia zgłosiło się dwudziestu świadków, gotowych złożyć zeznania. Dziewiętnastu z nich, jak się okazało, jechało innymi autobusami.

Jedyny pozostały świadek, osiemnastoletnia dziewczyna, która wsiadła przy Nybroplan i przejechała dwa przystanki, do Sergelstorg, gdzie przesiadła się w metro, powiedziała, że kilku pasażerów wysiadło jednocześnie z nią, co wydawało się prawdopodobne. Udało jej się też rozpoznać szofera. I to było wszystko.

72

Kollberg bez przerwy krążył po pokoju i ustawicznie zerkał na drzwi, jakby oczekiwał, że ktoś je wywali i wpadnie do pokoju.

Martin Beck stał przed wiszącymi na ścianie szkicami. Z rękami splecionymi z tyłu kołysał się na piętach, irytujący nawyk, którego nabrał przed wielu laty, kiedy jeszcze chodził na patrole, i którego nie potrafił się wyzbyć.

Marynarki ich wisiały na oparciach krzeseł. Rękawy koszul podwinęli. Krawat Kollberga leżał na stole, a on sam, choć w pokoju wcale nie było gorąco, pocił się.

Martin Beck miał długi atak przeraźliwego kaszlu, potem trzymając się w zamyśleniu za brodę dalej studiował szkice.

Kollberg przystanął, spojrzał na niego krytycznie i skonstatował:

- Kaszlesz, że przykro słuchać.
- A ty z każdym dniem bardziej się robisz podobny do

Ingi.

W tej właśnie chwili wszedł Hammar.

- Gdzie Larsson i Melander?
- Poszli do domu.
- A Rónn?
- W szpitalu.
- Ach, tak. Są jakieś wiadomości stamtąd?

Kollberg potrząsnął głową.

- Jutro dostaniecie uzupełnienie.
- Uzupełnienie?
- Wzmocnienie. Z zewnątrz.

Hammar urwał, a potem dodał wieloznacznie:

- Uznano to za konieczne.

73

Martin Beck długo i starannie wycierał nos.

- Kto - powiedział Kollberg - a może powinienem spytać, ilu ich będzie?

— Z Malmö przyjedzie jutro niejaki Mansson. Znacie go?

- Już się z nim spotykałem - odpowiedział Martin

Beck bez cienia entuzjazmu.

- I ja też — dodał Kollberg.

— Chcą też oddelegować Gunnara Ahlberga z Motali.

— On jest okay — apatycznie powiedział Kollberg.

- Nic więcej nie wiem — rzekł Hammar. — Mówili, że ktoś z Sundsvall. Kto, nie wiem.

- Aha - rzekł Martin Beck.

- Oczywiście, jeżeli sami tego przedtem nie rozgryziecie

- dodał Hammar ponuro.

- Uhum — mruknął Kollberg.

— Fakty zdają się wskazywać na to...

Hammar urwał i badawczo spojrzął na Martina Becka.

— Co tobie właściwie jest?

— Przeziębienie.

' Hammar w dalszym ciągu wpatrywał się w niego.

Kollberg widząc to spojrzenie, podjął dla odwrócenia uwagi:

— Fakty zdają się wskazywać na to, że ktoś zastrzelił dziewięć osób w autobusie wczoraj wieczorem. I że sprawca wykorzystał znany międzynarodowy wzór morderstw sensacyjnych: nie pozostawił żadnych śladów i nie został ujęty. Mógł oczywiście popełnić samobójstwo, ale jeśli tak, to my o tym nie wiemy. Mamy dwa namacalne ślady. Kule i łuski, które mogą nas ewentualnie doprowadzić do broni jakiej użyto, i człowieka w szpitalu, który może

74

odzyskać przytomność i powiedzieć, kto strzelał. Ponieważ siedział na końcu autobusu, musiał widzieć mordercę.

- No cóż — powiedział Hammar.
- Dużo to nie jest - ciągnął dalej Kollberg — zwłaszcza jeżeli ten Schwerin umrze albo okaże się, że utracił pamięć. Jest bardzo ciężko ranny. Nie mamy na przykład motywów. I żadnego wartościowego świadka.
- Może się jeszcze znajdą — pocieszył Hammar. — A motyw to żaden problem. Morderstwa masowe popełniają przeważnie psychopaci i powody ich postępowania stanowią często element ich chorobliwych urojeń.
- Ach tak - rzekł Kollberg. - Melander zapoznaje się ze stroną naukową. Pewnie lada dzień wystąpi z pro memoria.
- Nasza największa szansa... - powiedział Hammar spoglądając na zegarek.
- To» czujność wewnętrzna — dokończył Kollberg.
- O właśnie. W dziewięciu wypadkach na dziesięć doprowadza do wykrycia sprawcy. Nie siedźcie tu za długo, to się na nic nie zda. Lepiej żebyście jutro byli wypoczęci. Dobranoc.

Wszedł, w pokoju, zapanowała cisza. Po kilku sekundach Kollberg westchnął i spytał:

- Co tobie właściwie jest?

Martin Beck nie odpowiedział.

- Stenstróm?

Kollberg sam sobie potwierdzająco kiwnął głową i rzekł filozoficznie:

- Pomyśleć tylko, ile ja się napyskowałem na tego
75

chłopaka w ciągu tych lat. I nagle nie ma go, zastrzelony.

- Tego Manssona — powiedział Martin Beck — przypominasz sobie?

Kollberg przytaknął.

- To ten z wykałaczką - powiedział. - Nie podoba mi się ten masowy start. Lepiej, żebyśmy my sami się tym zajęli. Ty, ja i Melander.

- No, Ahlberg jest jednak dobry.

- Oczywiście - zgodził się Kollberg - ale ile morderstw miał u siebie w Motali w ciągu ostatnich dziesięciu lat?

- Jedno.

- No właśnie. Poza tym nie znoszę sposobu, w jaki Hammar ma zwyczaj ciskać nam w twarz wytarte komunały i rzeczy zupełnie oczywiste. Wewnętrzna czujność, psychopaci, element chorobliwych urojeń. Cały zestaw. Mowa.

Znowu przez chwilę było cicho. Potem Martin Beck spojrział na Kollberga i spytał:

- No?
- Jakże znów no?
- Co Stenström robił w tym autobusie?
- Właśnie. Co on tam miał do roboty u licha. Może to ta dziewczyna. Pielęgniarka.
- I szedłby z bronią na randkę z dziewczyną.
- Może. Żeby bardziej imponująco wyglądać.
- On nie był taki - powiedział Martin Beck. - Wiesz o tym równie dobrze jak ja.
- Cóż, w każdym razie często miewał przy sobie pistolet maszynowy. Częściej niż ty. I o wiele częściej niż ja.

76

- Tak. Jeżeli był na służbie.
- Ja spotykałem go tylko na służbie - sucho stwierdził Kollberg.
- Ja też. Nie ulega jednak wątpliwości, że był jednym z pierwszych trupów w tym przeklętym autobusie. A jednak zdążył odpiąć dwa guziki płaszcza i wyciągnąć pistolet.
- Co wskazuje na to, że płaszcz rozpiął przedtem
- powiedział Kollberg z namysłem. - To jeszcze jedno.
- Właśnie.
- Hammar mówił coś przy dzisiejszej rekonstrukcji.

— Mówił - odparł Martin Beck — mniej więcej tak: „To nie klapuje, chory umysłowo popełniający masowe morderstwo nie postępuje według tak dokładnie obmyślonego planu”.

- Uważasz, że ma rację?

- W zasadzie tak.

— Co znacząłoby...

— Że ten, który strzelał, wcale nie był chory umysłowo. A raczej, że nie był to wcale mord popełniony dla sensacji. Kollberg zwinięta chustką otarł pot z czoła, uważnie przyjrzał się chustce i powiedział:

— Pan Larsson mówi...

— Gunvald?

- Tak jest, on. Zanim poszedł do domu, żeby spryskać się desodoro, raczył z wysokości swej wiedzy powiedzieć, że nic z tego nie pojmuje. Nie rozumie na przykład, dlaczego wariat nie odebrał sobie życia albo nie został na miejscu i nie dał się złapać.

77

— Wydaje mi się, że nie doceniasz Gunwalda — powiedział Martin Beck.

- Tak myślisz? — Kollberg z irytacją wzruszył ramionami. - E, co tam - dodał. - Wszystko razem

bzdury. Co do tego, że jest to morderstwo masowe, nie ma wątpliwości. I oczywiście strzelający był szaleńcem. Z tego, co wiemy, można wnosić, że siedzi teraz w domu przed telewizorem i rozkoszuje się efektem. Zresztą równie dobrze mógł popełnić samobójstwo. To, że Stenström był z bronią, nic nam nie daje, bo nie znamy jego przyzwyczajień. Przypuszczalnie towarzyszył tej pielęgniarce. Albo też był w drodze do jakiegoś lokaliku czy do kolegi. Może pokłócił się ze swoją dziewczyną albo matka go zwymyślała, obraził się i jeździł autobusem, bo było za późno, żeby iść do kina, a jeżeli nie do kina, to nie miał się gdzie podziać.

— To wszystko możemy sprawdzić — powiedział Martin Beck.

- Tak. Jutro. Jest natomiast jedna rzecz, którą powinniśmy zrobić zaraz, zanim to zrobi ktoś inny.

— Przejrzeć jego biurko w Vastberdze - powiedział Martin Beck.

- Twoja umiejętność wyprowadzania wniosków jest podziwu godna - stwierdził Kollberg.

Wetknął krawat do kieszeni i narzucił marynarkę.

Było sucho i mgliście, chwytający nocny przymrozek niby całun leżał na drzewach, ulicach i dachach. Kollberg

miał złą widoczność i ponuro kłął pod nosem, gdy samochód ślizgał się na zakrętach. Przez całą drogę do 78

Komendy Policji Sztokholm-Południe raz tylko się odezwali. Kollberg powiedział:

- Czy tacy masowi mordercy mają zwykle kryminalną przeszłość?

A Martin Beck odpowiedział:

— Najczęściej. Ale nie zawsze.

W Vastberdze było cicho i pusto. Milcząc minęli westybul, weszli po schodach. Na drugim piętrze nacisnęli odpowiednie guziki na okrągłej tarczy cyfrowego zamka, umieszczonej obok oszklonych drzwi, i podążyli do pokoju Stenstróma.

Kollberg po chwili wahania usiadł przy jego biurku i sprawdził szuflady. Nie były zamknięte.

Pokój był czysty, miły i pozbawiony jakiegokolwiek osobistego piękna. Stenstróm nie miał nawet portretu narzeczonej na biurku.

Natomiast na podstawce do piór leżały dwie jego własne fotografie. Martin Beck wiedział dlaczego. Stenstróm po raz pierwszy od wielu lat miał mieć wolne w okresie Bożego Narodzenia i Nowego Roku. Wybierał się na

Wyspy Kanaryjskie. Zarezerwował już sobie miejsca w samolocie czarterowym. Fotografie zrobił dlatego, że miał starać się o nowy paszport.

Szczyście - pomyślał Martin Beck patrząc na fotografie, które były lepsze od zamieszczonych na pierwszych stronach wieczornych gazet.

Stenstróm nie wyglądał na swoje dwadzieścia dziewięć lat, znacznie młodziej. Miał otwarte jasne spojrzenie i szesane do tyłu ciemnobrązowe włosy, które

79

i tu na fotografii tak jak zazwyczaj robiły wrażenie niesfornych.

Z początku uważany był za naiwnego i dość nierozgarniętego przez część kolegów, między innymi przez Kollberga, który często wystawiał go na próby, zbyt daleko posuwając się w sarkazmach i poniżającym sposobie traktowania. Ale to było dawniej. Martin Beck przypomniał sobie, że raz, to było jeszcze w starej komendzie policji w Kristineberg, dyskutował o tym z Kollbergiem.

Powiedział wtedy: „Dlaczego wciąż się czepiasz tego chłopaka?” A Kollberg odpowiedział: „Żeby przełamać jego udawaną pewność siebie, żeby dać mu szansę zbudowania prawdziwej. Żeby powolutku mógł zostać

dobrym policjantem. Żeby nauczył się pukać do drzwi".
Być może Kollberg miał wtedy rację. W każdym razie
Stenström rozwinął się z latami. I choć nigdy nie nauczył
się pukać do drzwi, został dobrym policjantem, pilnym,
pracowitym i dość trafnie oceniającym. Zewnętrznie
biorąc był prawdziwą ozdobą zespołu, przyjemna powierzchowność,
ujmujący sposób bycia, wy trenowany, dobry sportowiec. Można by go niemal używać jako reklamy
w ogłoszeniach rekrutujących, a to dużo, nie można by
tego powiedzieć o wielu innych. O Kollbergu na przykład,
aroganckim, pucołowatym i otyłym. Ani o pełnym stoicyzmu
Melanderze, którego wygląd zewnętrzny wcale nie przeczył
tezie, że najwięksi nudziarze bywają często najlepszymi
policjantami. Ani o czerwono nosym i pod każdym względem
niepozornym Rónnie. Ani o Gunvaldzie Larssonie, którego
olbrzymi wzrost i groźne spojrzenie mogło każdego

80

śmiertelnie wystraszyć i który w dodatku bardzo był
z siebie dumny.

Ani o nim samym, sapiącym i pociągającym nosem
Martinie Becku. Wczoraj wieczorem oglądał się w lustrze
i widział długą tyczkowatą postać o chudej twarzy,
szerokim czole, mocnej szczęce i smętnych szaroniebieskich

oczach.

Poza tym Stenstróm miał pewne specjalne właściwości, które im, pozostałym, bardzo się przydawały.

O tym wszystkim Martin Beck myślał przyglądając się przedmiotom, które Kollberg wyjmował z szuflad i systematycznie układał na blacie biurka.

Tylko że teraz myślał chłodno taksując wszystko, co wiedział o człowieku zwanym się Ake Stenstróm. Uczucia, które omal nim nie zawładnęły, wtedy w pokoju na Kungsholmsgatan, gdy Hammar siał truizmami, pierzchły.

Moment roztkliwienia minął i nigdy nie wróci.

Stenstróm, od chwili gdy odłożył na półkę służbową czapkę i sprzedał mundur dawnemu koledze ze szkoły policyjnej, pracował pod kierownictwem Martina Becka.

Najpierw w Kristineberg w ówczesnym Wydziale Kryminalnym, który wchodził w skład policji państwowej i działał głównie jako rodzaj korpusu ekspedycyjnego, przeznaczonego do wspomagania przeciążonej policji komunalnej na prowincji.

Potem policja została całkowicie upaństwowiona, stało się to na przełomie lat 1964-5 i wkrótce przenieśli się tu, do Vastbergi.

W ciągu minionych lat Kollberg miał często różne

odkomenderowania, Melander został przeniesiony na własne żądanie, ale Stenstróm był przez cały czas. Martin Beck znał go przeszło pięć lat, pracowali razem przy niezliczonych dochodzeniach. Wszystkiego, co wiedział praktycznie o policyjnej robocie, Stenstróm nauczył się przez ten czas, a nauczył się niemało. Dojrzał też, przewyciężył niemal zupełnie niezdecydowanie i nieśmiałość, opuścił swój chłopięcy pokój w domu rodziców, a potem zamieszkał razem z kobietą, z którą, jak twierdził, chciał się związać na całe życie. Przez ten czas jego ojciec zmarł, a matka wróciła do Vastmanlandii.

Martin Beck powinien więc być wiedzieć o nim prawie wszystko.

Dziwne, wiedział jednak niezbyt wiele. Znał oczywiście wszystkie ważniejsze daty i miał ogólny, najprawdopodobniej uzasadniony pogląd na charakter Stenstróma, jego zalety, jego braki, ale ponadto niewiele już było do dodania.

Porządny chłopak. Ambitny, uparty, bystry i pojętny.

A z drugiej strony trochę nieśmiały, wciąż jeszcze nieco dziecinny, daleki od wszelkiej bojowości, miewający humory. Ale kto ich nie miewa?

Może dręczyły go kompleksy niższości.

Wobec Kollberga, który często błyskał cytataми

z literatury i zawiłymi sofizmatami. Wobec Gunvalda Larssona, który kiedyś w ciągu piętnastu sekund wywalił kopnięciem zamknięte drzwi i jednym uderzeniem pozbawił przytomności chorego umysłowo napastnika, uzbrojonego w siekiere. A Stenstróm stał wtedy w odległości dwóch metrów i zastanawiał się, co zrobić. Wobec Melandera, 82

który nigdy nie zmieniał wyrazu twarzy i nigdy nie zapominał tego, co raz zobaczył, usłyszał lub przeczytał. A któż by w takiej sytuacji nie miał kompleksów? Dlaczego wiedział tak mało? Dlatego, że nie dość pilnie obserwował? Czy dlatego, że nic do widzenia nie było? Martin Beck, masując czubkami palców skórę u nasady włosów, studiował to, co Kollberg kładł na biurku. Pewien rys pedanterii cechował Stenstróma, to na przykład, że jego zegarek zawsze musiał być wyregulowany co do sekundy, odbiciem tej pedanterii był również drobiazgowy porządek panujący w jego biurku. Papiery, papiery i jeszcze raz papiery. Kopie raportów, notatki, protokoły sądowe, odbite na powielaczu instrukcje, druki specjalne zawierające przepisy prawne. Wszystko starannie ułożone w paczki. Najbardziej osobiste było pudełko zapalek i nie

rozpieczętowany kartonik gumy do żucia. Ponieważ Stenström nie palił ani też zbytnio nie przepadał za żuciem gumy, miał prawdopodobnie te rzeczy po to, by móc nimi służyć ludziom przychodzącym do niego na przesłuchanie albo też - i to przeważnie - na pogaduszki.

Kollberg westchnął głęboko i powiedział:

- Gdybym to ja siedział w tym autobusie, przekopywałbyś teraz ze Stenströmem moje szuflady. Dużo trudniejsza robota. I prawdopodobnie porobilibyście odkrycia plamiące moją pamięć.

Martin Beck mógł sobie w przybliżeniu wyobrazić, jak wygląda w szufladach Kollberga, ale powstrzymał się od komentarzy.

83

— A tu nie ma nic plamiącego pamięć.

Martin Beck i tym razem nie odpowiedział. W milczeniu przeglądali papiery, szybko i dokładnie. Nie było nic, czego nie mogliby natychmiast zidentyfikować i zaszeregować zgodnie z ich urzędową wartością.

Wszystkie notatki i dokumenty wiązały się z dochodzeniami, w których Stenström brał udział i które dobrze znali.

W końcu została już tylko jedna paczka. Brązowa

koperta dużego formatu, zapieczętowana, dość gruba.

— Jak myślisz, co to może być? — rzekł Kollberg.

- Otwórz i zajrzyj.

Kollberg obracał kopertę w rękach.

— Wygląda na bardzo starannie zaklejoną. Zobacz, ile pasków taśmy samoklejącej.

Wzruszył ramionami i nożem do papieru, leżącym na podstawce, rozciął kopertę.

O powiedział - nie wiedziałem, że Stenström fotografował. - Przejrzał fotografie a potem rozłożył je przed sobą. — I nie podejrzewałbym go o takie zainteresowania.

- To jego narzeczoną - powiedział Martin Beck bezdźwięcznie.

- Tak, oczywiście, ale nigdy bym nie pomyślał, że miał tak daleko, posunięte wymagania.

Martin Beck patrzył na fotografie z obowiązku i z uczuciem odrazy, jakiej doznawał zawsze, gdy musiał w mniejszym lub większym stopniu wkraczać w dziedzinę spraw należących do prywatnego życia innych ludzi.

84

Była to reakcja Spontaniczna i wrodzona, i nawet po dwudziestu trzech latach służby w policji nie potrafił jej

opanować.

Kollberg nie był obciążony podobną wrażliwością.

A po za tym był zmysłowy.

- Bombowa babka - powiedział z uznaniem, uważnie studiując zdjęcia. — Stać na rękach też potrafi. Nie wyobrażałem sobie, że ona tak wygląda.

- Przecież ją już widziałeś.

- Ale ubraną. To zupełnie co innego.

Kollberg miał rację, lecz Martin Beck wolał się w tym przedmiocie nie wypowiadać.

Powiedział natomiast:

- A jutro ją znowu zobaczysz.

- Tak - stwierdził Kollberg ponuro. - Nie będzie to przyjemne. - Zebrał fotografie i włożył je do koperty.

Potem dodał:

- Może lepiej jedźmy już do domu. Podrzucę cię.

Zgasili światło, wyszli. W samochodzie Martin Beck powiedział:

- W jaki sposób wezwano cię wczoraj wieczorem na Norra Stationsgatan? Kiedy zadzwoniłem, Gun nie wiedziała, gdzie jesteś, a byłeś tam na miejscu dużo wcześniej niż ja.

- Zwykły przypadek. Kiedy się rozstaliśmy, polazłem

w kierunku miasta i na SkanstuUbron natknąłem się na dwóch znajomych chłopaków w radiowozie. Właśnie zostali zaalarmowani przez radio i zawieźli mnie prosto na miejsce. Byłem jednym z pierwszych.

85

Długą chwilę siedzieli w milczeniu. Potem Kollberg rzekł z namysłem:

- Jak ci się zdaje, na co mu były te zdjęcia?
- Przyjrzyj się im - powiedział Martin Beck.
- Tak. Oczywiście. Ale jednak...

XIII

W środę rano przed wyjściem z domu Martin Beck zadzwonił do Kollberga. Wymienili trzy zdania.

- Kollberg.
- Cześć, Martin. Wyjeżdżam.
- Okay.

Gdy pociąg kolei podziemnej wtoczył się na stację Skarmarbrink, Kollberg czekał na peronie. Mieli zwyczaj jeździć zawsze w ostatnim wagonie, więc często spotykali się, choć nie byli umówieni.

Wysiedli przy Medborgarplatsen i wyszli na Folkungatan. Było dziesięć po dziewiątej i blade słońce sączyło się zza chmur. Owinęli się ciasniej płaszczami, bo wiatr był

lodowaty i poszli przez Folkungagatan w kierunku wschodnim.

Za rogiem, gdy już skręcili w Ostgóttagatan. Kollberg powiedział:

- Dowiadywałeś się, co z tym facetem w szpitalu, Schwerinem?

- Tak, dzwoniłem rano. Operacja się udała o tyle, że
86

żyje. Ale w dalszym ciągu jest nieprzytomny i lekarze nic nie mogą powiedzieć o wyniku, póki się nie ocknie.

— A czy się ocknie?

Martin Beck wzruszył ramionami.

— Nie wiadomo. Miejmy nadzieję.

— Ciekaw jestem, jak długo potrwa, nim gazety wytropią jego istnienie.

— W Karolińskim solennie obiecali przestrzegać tajemnicy.

— Zgoda. Ale wiesz, jacy ci dziennikarze są. Wszędzie się wkręca.

Doszli do numeru osiemnastego na Tjarhorsgatan.

Na spisie lokatorów w bramie widniało nazwisko

TORELL, ale na drugim piętrze na drzwiach przyczepiony

był biały kartonik z wypisanym drukowanymi literami

nazwiskiem AKE STENSTRÓM.

Dziewczyna, która otworzyła im drzwi, była niewysoka, Martin' Beck wprawnym okiem ocenił jej wzrost na sto sześćdziesiąt centymetrów.

— Proszę wejść i powiesić płaszcze — powiedziała zamykając za nimi drzwi.

Głos miała niski i ochrypły.

Asa Torell ubrana była w wąskie czarne spodnie i jasnoniebieską koszulkę polo. Na nogach miała grube szare skarpetki z kosmatej wełny o parę numerów za duże, były to pewnie skarpetki Stenstróma. Miała ciemnobrązowe oczy i ciemne, bardzo krótko obcięte włosy. Twarz kanciastą, którą trudno byłoby nazwać miłą czy ładną, raczej zabawną i pikantną. Budowę miała wątłą, ramiona i biodra wąskie, piersi małe.

87

Stała cicho, podczas gdy Martin Beck i Kollberg kładli kapelusze na półce obok starej czapki Stenstróma i wieszali płaszcze. Potem poprzedzając ich weszła do pokoju. Pokój miał dwa okna od strony ulicy, był przyjemny i zadbany. Pod jedną ścianą stała potężna biblioteka o rzeźbionych filarkach i nastawie. Prócz biblioteki i krytego skórą klubowego fotela o wysokim oparciu meble były raczej nowe. Prawie całą podłogę pokrywał gruby, soczyście

czerwony dywan pętelkowy, a cienkie wełniane zasłony miały dokładnie ten sam odcień czerwieni.

Pokój miał kształt nieregularny, od jednego rogu krótki korytarzyk prowadził do kuchni. Przez drzwi otwarte na korytarz widać było drugi pokój. Okna kuchni i sypialni wychodziły na podwórze.

Asa Torell usiadła w fotelu i podwinęła nogi. Wskazała im dwa taborety, Martin Beck i Kollberg usiedli. Popielniczka na niskim stoliku była po brzegi wypełniona niedopałkami.

- Mam nadzieję, że pani zrozumie - powiedział

Martin Beck — nie jest nam przyjemnie, nie chcemy być natrętni, ale... to konieczne, musimy z panią pomówić możliwie najprędzej.

Asa Torell nie od razu odpowiedziała. Wzięła z popielniczki zapalonego papierosa i zaciągnęła się głęboko. Ręce jej drżały, miała cienie pod oczami.

— Oczywiście — powiedziała. — Rozumiem. Dobrze, że przyszliście. Siedzę tu od chwili kiedy... od kiedy się dowiedziałam... siedzę i próbuję zrozumieć... próbuję pojąć, że to prawda.

88

— Czy nie ma pani nikogo, kto mógłby tu być z panią?

- spytał Kollberg.

Potrząsnęła głową.

— Nie mam. Zresztą nie chcę, żeby tu ktoś był.

— A pani rodzice?

Znowu potrząsnęła głową.

— Mama umarła w zeszłym roku. A tatuś dwadzieścia lat temu.

Martin Beck pochylił się i spojrzał na nią badawczo.

— A spała pani trochę? - spytał.

— Nie wiem. Ci, co tu byli...wczoraj, dali mi parę tabletek, więc chyba na chwilę zasnąłam. To nie takie ważne. Wytrzymam.

Zgniotła papierosa w popielniczce i mruknęła nie podnosząc spojrzenia:

— Muszę tylko przywyknąć do tego, że on nie żyje. Na to trzeba czasu.

Ani Martin Beck, ani Kollberg nie wiedzieli, co na to powiedzieć, Martin Beck poczuł nagle, że powietrze jest ciężkie i gęste od dymu. Przytłaczająca cisza wypełniła pokój. W końcu Kollberg chrząknął i powiedział grubszym głosem:

— Czy ma pani coś przeciw temu, że spytamy o parę rzeczy dotyczących Sten... Akego?

Asa Torell powoli podniosła spojrzenie. Nagle w oczach jej coś zamigotało i uśmiechnęła się.

— Nie sądzicie chyba, że będę się do was zwracać „panie komisarzu” i panie „starszy asystencie” - powiedziała.

- Wy też mówcie do mnie Asa, bo zamierzam wam mówić
89

„ty”. W pewien sposób jesteśmy przecież dobrymi znajomymi.

Spojrzała na nich filuternie i dodała:

- Przez Akego. Widywaliśmy się tak często on i ja.

Mieszkaliśmy tu razem od wielu lat.

Przedsiębiorcy pogrzebowi Kollberg i Beck - pomyślał Martin. — Śmiało. Dziewczyna jest okay.

- My też o tobie słyszeliśmy - powiedział Kollberg tonem dość swobodnym.

Asa wstała i poszła otworzyć okna. Potem wyniosła do kuchni popielniczkę. Uśmiech znikł, usta ułożyły się w wyraz stanowczości. Wróciła niosąc czystą popielniczkę i usiadła.

- Bądźcie tak dobrzy i powiedzcie mi, jak do tego doszło. Co się właściwie stało. Wczoraj niewiele zrozumiałam, a gazet nie chcę czytać.

Martin Beck zapalił papierosa.

- Dobrze - powiedział.

Przez cały czas, gdy opowiadał, siedziała bez ruchu i nieprzerwanie wpatrywała się w niego. Opuścił niektóre szczegóły, na ogół jednak przedstawił przebieg wydarzeń w takiej mierze, w jakiej udało im się go zrekonstruować. Gdy skończył, Asa powiedziała:

- A dokąd udawał się Ake? Dlaczego jechał tym właśnie autobusem?

Kollberg zerknął na Martina Becka i powiedział:

- Mieliliśmy nadzieję, że się tego od ciebie dowiemy.

Asa Torell potrząsnęła głową.

- Pojęcia nie mam.

90

- A wiesz, co on robił wcześniej tego dnia? - spytał Martin Beck.

Spojrzała na niego ze zdziwieniem.

- Tego nie wiecie? Cały dzień pracował. A jaką miał pracę, to chyba wy powinniście wiedzieć.

Martin Beck wahał się przez moment, potem powiedział:

- Po raz ostatni w życiu widziałem go w piątek.

Wstąpił na chwilę przed południem.

Asa wstała, przeszła kilka kroków. Potem zwróciła się ku niemu. ,

- Ależ on pracował i w sobotę, i w poniedziałek.

Razem wyszliśmy z domu w poniedziałek rano. A ty też nie widziałeś Akego w poniedziałek?

Wpatrywała się w Kollberga, który potrząsnął głową i zaczął się zastanawiać.

- Mówił, że jedzie do Vastbergi - spytał Kollberg

- czy, że jedzie na Kongsholmsgatan?

- Nie - powiedziała Asa po chwili namysłu — nic takiego nie mówił. I to chyba sprawę wyjaśnia. Miał coś do załatwienia w mieście.

- Wspomniałaś, że i w sobotę pracował? - upewnił się Martin Beck.

Skinęła głową.

- Tak, ale nie cały dzień. Rano wyszliśmy razem.

Skończyłam o pierwszej i wróciłam prosto do domu . Ake przyjechał zaraz po mnie. Porobił zakupy. W niedzielę miał wolne. Cały dzień byliśmy razem.

Znowu usiadła w fotelu, splotła ręce na podciągniętych kolanach i zagryzła wargi.

91

- A nie mówił ci, czym się zajmuje? - spytał Kollberg.

Potrząsnęła głową.

- Nie miał w ogóle zwyczaju opowiadać o swojej

pracy? - dorzucił Martin Beck.

- Owszem. Zawsze sobie wszystko mówiliśmy. Ale nie w ostatnich czasach. O tej ostatniej pracy nic mi nie mówił. Dziwne mi się nawet wydawało, że nic nie opowiada. Bo zwykle omawiał różne sprawy, zwłaszcza gdy były trudne i zawikłane. Ale może nie mógł...

Urwała i dodała nieco podniesionym głosem:

- A dlaczego mnie o to wypytujecie? Jesteście jego przełożonymi. Jeżeli próbujecie wybadać, czy zdradzał mi tajemnice policyjne, to mogę zapewnić, że nie. W ciągu ostatnich trzech tygodni słowem o swojej pracy nie wspomniał.

- Rzecz w tym, że nic by nie miał do opowiadania — uspokajająco wtrącił Kollberg. - Ostatnie trzy tygodnie były niezwykle ubogie w wydarzenia, prawdę mówiąc nie tak wiele mieliśmy do roboty.

Asa Torell spojrzała na niego ze zdumieniem.

- Jak możesz tak twierdzić! Ake miał ogromnie dużo roboty. W ostatnich czasach pracował właściwie całą dobę bez przerwy.

XIV

Rónn ziewając spojrzał na zegarek. A potem w kierunku łóżka, na którym leżała osoba całkowicie spowita w bandażu.

Następnie oddał się obserwacji skomplikowanej aparatury,

niezbędnej widać dla utrzymania rannego przy życiu, i impertynenckiej pielęgniarki w średnim wieku, mającej za zadanie kontrolować, czy wszystko działa prawidłowo. Teraz właśnie zmieniała opróżnioną butlę do kroplówki. Ruchy jej były szybkie i precyzyjne, a sposób, w jaki wykonywała różne czynności, świadczył o wprawie i godnej podziwu planowości ruchów.

Rónn westchnął i znowu ziewnął, osłaniając usta dłonią. Pielęgniarka natychmiast to zauważyła i obrzuciła go szybkim, niechętnym spojrzeniem.

Rónn zbyt wiele godzin spędził w tej antyseptycznej izolatce o nagich białych ścianach i zimnym oświetleniu lub też na krążeniu po korytarzu przed salą operacyjną. Przy czym przez znaczną część tego czasu skazany był na towarzystwo osobnika nazwiskiem Ullholm, z którym się nigdy przedtem nie zetknął, jakkolwiek okazał się on być ubranym po cywilnemu asystentem policji.

Rónn z pewnością nie należał do wybitnie uzdolnionych ani też nie żywił specjalnych skłonności do zdobywania wiedzy. Zadowolony był z siebie i ze swej egzystencji i uważał, że, po większej części wszystko jest tak, jak być powinno. I te właśnie cechy sprawiały, że był bardzo

użytecznym, by nie powiedzieć, wzorowym policjantem. Wszelkie sprawy ujmował szczerze i po prostu, bez żadnej skłonności do stwarzania problemów i trudności, w gruncie rzeczy nie istniejących.

Wobec wszystkich prawie był życzliwy i wszyscy prawie jemu okazywali życzliwość.

Ale nawet przy tak nieskomplikowanym sposobie

93

patrzenia na świat, jaki stosował Rónn, UUholm wydawał się niebywałym okazem nudziarza i zacoфанego głupca.

UUholm był niezadowolony ze wszystkiego, poczynając od pensji, która, jak należało oczekiwać, była zbyt niska, kończąc na komendancie policji, który nie umiał rządzić twardą ręką.

Oburzyło go zarówno to, że dzieci w szkole nie znają moresu, jak i to, że zbyt łagodny rygor panuje w policji.

Ze specjalną nienawiścią traktował trzy kategorie ludzi, które Rónnowi nigdy nie przyczyniały żadnego kłopotu ani nie zmuszały do zbyt dużego wysiłku myślowego, nie cierpiał mianowicie cudzoziemców, młodzieży i socjalistów.

UUholm uważał na przykład za skandal, że szeregowym policjantom wolno nosić brody.

- Wąsy ostatecznie tak — mówił. — Ale i to bardzo mi się wydaje wątpliwe. Rozumiesz chyba, co mam na myśli? Zdaniem Ullholma od lat trzydziestych poczynając nie było w społeczeństwie prawdziwego porządku.

Silny wzrost przestępczości i zbrutalizowanie obyczajów przypisywał temu, że policja nie miała solidnego wyszkolenia wojskowego i że nie nosiła już szabel.

Wprowadzenie ruchu prawostronnego było oburzającą krótkowzrocznością, która bardziej jeszcze pogorszyła sytuację i tak już niekarnego i moralnie zgangrenowanego społeczeństwa.

- I bałagan wciąż rośnie — mówił. — Rozumiesz chyba, co mam na myśli?

- Co? - spytał Rónn.

94

- Bałagan. Wszystkie te miejsca postoju i parkingi wzdłuż głównych szlaków komunikacyjnych. Rozumiesz chyba, co mam na myśli?

Ullholm był człowiekiem, który wiedział prawie wszystko, a rozumiał wszystko. Raz tylko zdarzyła się okazja, w której był zmuszony poprosić Rónna o wyjaśnienie. Zaczęło się od tego, że powiedział:

- Patrząc na tę gnuśność i niedbalstwo człowiek

zaczyna tęsknić do natury. Chętnie bym schronił się w góry, gdyby nie to, że cała Laponia zapluskwiona jest przez Lapończyków. Rozumiesz chyba, co mam na myśli?

- Ja sam ożeniony jestem z lapońską autochtonką
- powiedział Rónn.

Ullholm przyjrzał mu się z osobliwą mieszaniną odrazy i ciekawości i znizywszy głos spytał:

- To niezwykle i ogromnie interesujące. Czy to prawda, że Laponki mają to w poprzek?

- Nie - powiedział Rónn, zniechęcony. - To nieprawda.

Ale bardzo szeroko rozpowszechniony przesąd.

Rónn zastanawiał się dlaczego ten człowiek nie został od dawna już przeniesiony do centrali rzeczy znalezionych.

Ullholm mówił właściwie bez przerwy, a każdą wypowiedź kończył słowami: „Rozumiesz chyba, co mam na myśli?”

Rónn tylko dwie rzeczy zrozumiał.

Po pierwsze: to, co się wydarzyło w komendzie wydziału śledczego, gdy postawił zupełnie niewinne pytanie:

- Aha, a kto tam w szpitalu czuwa?

Kollberg obojętnie pogrzebał w swoich papierach i powiedział:

95

- Jakiś UUholm.

Jedynym, który znał widocznie to nazwisko, był
Gunvald Larsson, bo natychmiast wykrzyknął:

- Co? Kto?
- UUholm - powtórzył Kollberg.
- To niedopuszczalne. Musimy tam natychmiast posłać
kogoś do przypilnowania. Kogoś mającego jako tako
dobrze w głowie.

Rónn okazawszy się kimś mającym jako tako dobrze
w głowie, postawił dalsze, równie niewinne pytanie:

- Czy mam go zmienić?
- Zmienić? Nie, to niemożliwe. Uznałby się za
pominiętego. Pisałby setki podań. Zażaleń do komendy
głównej. Dzwoniłby do ministra.

A gdy Rónn już wychodził, Gunvald Larsson udzielił
mu ostatniego pouczenia.

- Einar!
- No?
- I nie pozwól mu słowem odezwać się do świadka,
chyba gdy już zobaczysz świadectwo zgonu.

Po drugie: że w jakiś sposób musi zahamować potop
słów. W końcu osiągnął nawet teoretyczne rozwiązanie tej
trudności. W zastosowaniu praktycznym zadziałało ono
według następującego wzoru. UUholm skończył dłuższą

wypowiedź słowami:

- Zupełnie zrozumiałe oczywiście, że jako osoba prywatna i jako członek partii centrum, jako obywatel wolnego, demokratycznego kraju nie robię najmniejszej różnicy między ludźmi z racji koloru ich skóry, na

96

przykład, rasy, czy sposobu myślenia. Ale pomyśl, co by to było, gdyby w szeregach policji zaroilo się od Żydów i komunistów. Rozumiesz chyba, co mam na myśli?

A Rónn na to, odchrząknawszy skromnie za osłoną ręki:

— Oczywiście. Tylko prawdę mówiąc ja sam jestem tak dalece socjalistą, że właściwie...

— Komunistą?!

— O, właśnie.

Ullholm popadł w grobowe wręcz milczenie i podszedł do okna.

Stał tam już od dwóch godzin gorzko zapatrzony w zły i zdradliwy świat, jaki go otaczał.

Schwerina trzy razy operowano; wyjęto z jego ciała obie kule, ale z zespołu lekarzy, który dokonał tego zabiegu, nikt zbyt pogodnie nie wyglądał, a jedyną odpowiedzią na nieśmiałe pytania Rónna były wzruszenia ramionami.

Lecz przed kwadransem mniej więcej jeden z chirurgów przyszedł do izolatki i powiedział:

- Jeżeli on w ogóle odzyska świadomość, to stanie się to teraz, w ciągu pół godziny.

- Wylize się?

Lekarz długo patrzył na Rónna, a potem powiedział:

- Wydaje się to mało prawdopodobne. Jest odporny fizycznie i ogólny jego stan jest prawie zadowalający.

Rónn zgnębiony spoglądał na pacjenta i zastanawiał się, jak trzeba wyglądać, żeby stan ogólny został określony jako niezbyt dobry albo wręcz zły.

Dokładnie sformułował dwa pytania i dla pewności zapisał je sobie w notesie.

97

Pierwsze brzmiało:

Kto strzelał?

Drugie:

Jak on wyglądał?

Poczynił też szereg innych przygotowań, ustawił na krześle w głowach łóżka przenośny magnetofon, włączył mikrofon i przewiesił przez oparcie krzesła. Ullholm nie uczestniczył w tych przygotowaniach, poprzestał na krytycznym zerkaniu w stronę Rónna ze swego miejsca

przy oknie.

Zegar wskazywał za cztery minuty wpół do trzeciej, kiedy pielęgniarzka nagle pochyliła się nad rannym i szybkim, niecierpliwym gestem przywołała obu policjantów, drugą ręką naciskając jednocześnie dzwonek.

Rónn pośpiesznie chwycił mikrofon.

- Chyba budzi się - powiedziała pielęgniarzka.

Twarz rannego ulegała jakimś zmianom. Powieki i nozdrza drgały.

- Tak - powiedziała pielęgniarzka. - Teraz.

Rónn podsunął mikrofon.

- Kto strzelał? - spytał.

Żadnej reakcji. Po chwili powtórzył pytanie.

- Kto strzelał?

Teraz wargi rannego poruszyły się, coś powiedział.

Rónn odczekał tylko dwie sekundy, potem spytał:

- Jak on wyglądał?

I tym razem ranny poruszył ustami i odpowiedź była bardziej artykułowana.

Do pokoju wszedł lekarz.

98

Rónn już otworzył usta, żeby powtórzyć pytanie numer jeden, gdy leżący na łóżku wykręcił głowę w lewo.

Dolna szczęka mu opadła i krwawy śluz rzucił mu się z ust.

Rónn spojrział na lekarza, który poważnie kiwnął głową.

Ullholm zbliżył się i ze złością powiedział:

— Nic więcej nie potrafisz wydobyć z tego przesłuchania?

Potem głośno i wyraźnie obwieścił:

— Słuchaj no, człowieku, mówi do ciebie starszy

asystent Ullholm...

— Nie żyje — spokojnie stwierdził Rónn.

Ullholm wlepił w niego oczy i wyrzekł jedno słowo:

— Partacz.

Rónn wyjął mikrofon z gniazdka i zaniósł magnetofon

na okno. Ostrożnie kręcąc palcem przewinał taśmę i nacisnął guzik.

— Kto strzelał?

— Dnrk.

— Jak on wyglądał?

— Jakalson.

— I co z tego wydobędziesz - powiedział.

Ullholm co najmniej dziesięć sekund przyglądał się

Rónnowi twardo i nienawistnie. Potem powiedział:

— Wydobędziesz? Oskarżę cię o wykroczenie służbowe.

Trudna rada. Rozumiesz chyba, co mam na myśli.

Odwrócił się i opuścił pokój. Krokiem szybkim

i energicznym. Rónn odprowadził go zatroskanym spojrzeniem.

99

XV

Gdy Martin Beck otworzył drzwi gmachu policji, dech mu zaparło, bo lodowato zimny poryw wiatru cisnął nań garścią ostrych jak igły ziarenek śniegu. Martin pochylił głowę i pospiesznie zapiął płaszcz. Tego właśnie ranka skapitulował wobec uragań Ingi, paru stopni mrozu i własnego przeziębienia i włożył zimowy płaszcz. Wyżej podciągnął wełniany szalik i ruszył w kierunku centrum. Minąwszy Agnegatan stanął bezradnie, próbując wykombinować, czym pojechać. Nie zdążył jeszcze nauczyć się tych nowych linii autobusowych, które pojawiły się wraz ze zniknięciem tramwajów i wprowadzeniem we wrześnie ruchu prawostronnego.

Jakiś samochód zahamował obok. Gunvald Larsson opuścił szybę i zawołał:

- Właż!

Martin Beck z wdzięcznością usadowił się na przednim miejscu.

- Uf- powiedział. - Zaczyna się znowu to utrapienie.

Ledwo się zdąży zauważyć, że było lato, a już z powrotem

zima. Dokąd jedziesz?

- Na Vastmannagatan - odpowiedział Gunvald. —

Pogadać z córką tej starej z autobusu.

- Dobrze — powiedział Martin Beck. - Wsiądę przy Sabbatsberg.

Przejechali przez most, minęli starą halę targową.

Suchy śnieg o drobnych płatkach wirował za szybą.

- Taki śnieg zupełnie nie ma sensu - powiedział

100

Gunvald Larsson. - Nietrwały, nie poleży. Kręci się tylko i psuje widoczność.

W odróżnieniu od Martina Becka Gunvald Larsson lubił prowadzić samochód i był dobrym kierowcą.

Kiedy jechali przez Vasagatan w kierunku Norra Bantorget, koło gimnazjum humanistycznego dzielnicy północnej wyminął ich piętrowy autobus linii 47.

- Brr — powiedział Martin Beck. - Po tym wszystkim niedobrze się robi na sam widok takiego autobusu.

Gunvald Larsson obejrzał się za autobusem.

- To nie taki sam - powiedział. - Ten jest niemiecki.

Biissing.

W chwilę później zapytał:

- Nie pojechałbyś ze mną do baby Assarssona? Tego

z kondomami. Będę tam o trzeciej.

- Nie wiem - odpowiedział Martin Beck.

- Bo myślałem, że jeżeli już jesteś w pobliżu. Parę domów od Sabbatsberg. Później odwiozę cię z powrotem.

- Może. To zależy, kiedy skończę z tą pielęgniarką.

Na rogu Dalagatan i Tegnergatan zostali zatrzymani przez człowieka w żółtym ochronnym hełmie i z czerwoną chorągiewką w ręce. Na terenie szpitala Sabbatsberg trwały prace związane z poważną rozbudową. Najstarsze zabudowania miały ulec rozbiórce, nowe już wystrzelały w górę. Teraz właśnie rozsadzano wysoki cypel skalny od strony Dalagatan. Gdy huk wybuchów rozsadzających jeszcze rozbrzmiewał echem, Gunvald Larsson powiedział:

- Dlaczego od razu całego Sztokholmu nie wysadzą w powietrze, zamiast to robić kawałek za kawałkiem.

101

Powinni zrobić tak, jak Ronald Keagan, czy jak on się tam zwie, mówi o Wietnamie: wyasfaltować całe to gówno, wymalować żółte pasy, porobić parkingi. Nic gorszego już chyba nie ma, jak kiedy planiści dorwą się do realizacji swoich planów.

Martin Beck wysiadł z samochodu przed wjazdem do tej części szpitala, która położona jest najbliżej Instytutu

Eastmana i obejmuje oddział położniczy i klinikę chorób kobiecych. Wyżwirowany placyk przed drzwiami był pusty, ale przez szybę spoglądała na niego kobieta w baranym futerku. Otworzyła drzwi, mówiąc:

- Komisarz Beck? Jestem Monika Granholm.

Ujęła jego rękę żelaznym chwytem i uścisnęła z pasją.

Wydawało mu się, że słyszy niemal chrzęst miażdżonych kosteczek własnej dłoni i zastanowił się, czy mając do czynienia z noworodkami Monika również zużywa tyle siły fizycznej.

Wzrostem dorównywała Martinowi, tylko była znacznie okazalsza. Cerę miała świeżą i różową, mocne białe zęby, włosy jasnobrązowe, gęste i faliste, a tęczęwki wielkich, pięknych oczu miały ten sam brązowy odcień. Wszystko w niej wydawało się duże, zdrowe i mocne.

Zmarła dziewczyna z autobusu była drobna i wątła i musiała niesłychanie krucho wyglądać przy tej współlokatorce.

Poszli razem w kierunku Dalagatan.

- Czy ma pan coś przeciw temu, żebyśmy wstąpili do

„Wasahof” po przeciwnej stronie ulicy? - powiedziała

Monika Granholm. - Muszę coś przełknąć, żeby móc mówić.

Pora lunchu już minęła i w restauracji było wiele wolnych stolików. Martin Beck wybrał stolik przy oknie, ale Monika wolała usiąść w głębi lokalu.

- Nie chcę, żeby nas zobaczył ktoś ze szpitala — powiedziała. — Nie wyobraża pan sobie, jakie tam ploty.

Na potwierdzenie tego uczęstowała Martina potężnym wyborem owych plot, z apetytem wsuwając ogromną porcję klopsików i pure z kartofli. Martin Beck zerkał na nią zazdrośnie. On jak zwykle był niegłodny, natomiast źle się czuł i pił kawę, żeby ostatecznie pogorszyć swój stan. Pozwolił jej nasycić się i zamierzał właśnie skierować rozmowę na zmarłą koleżankę, kiedy Monika odsunęła talerz i powiedziała:

- No więc już. Teraz może pan, komisarzu, pytać, postaram się odpowiedzieć, o ile potrafię. Tylko czy mogę przedtem o jedno spytać?

- Oczywiście — odpowiedział Martin Beck, wyciągając paczkę florid.

Monika potrząsnęła głową.

- Dziękuję, nie palę. Złapaliście już tego szaleńca?

- Nie - powiedział Martin Beck. — Jeszcze nie.

- Bo wie pan, ludzie są okropnie poruszeni. Na naszym oddziale jedna z dziewcząt boi się jeździć do pracy

autobusem. Boi się, że nagle zjawi się wariat z pukawką. Od czasu jak się to stało, przyjeżdża do pracy i wraca taksówką. Postarajcie się go złapać.

Poważnie spojrzała na Martina.

- Staramy się.

Skinęła głową.

103

- To dobrze - powiedziała.

- Dziękuję - powiedział Martin Beck również z powagą.

- Co chce pan wiedzieć o Britt?

- Czy dobrze ją pani znała? Jak długo dzieliliście mieszkanie?

- Znałam ją lepiej niż ktokolwiek inny. Mieszkałyśmy razem trzy lata, od czasu jak zaczęła pracować w Sabb. To była wspaniała koleżanka i bardzo zdolna pielęgniarka.

Umiała ciężko pracować, choć fizycznie była wątła.

Znakomita pielęgniarka. Nigdy nie myślała o sobie.

Wzięła dzbanuszek i dołała kawy Martinowi.

- Dziękuję — powiedział. — A nie miała narzeczonego?

- Owszem, bardzo przyjemnego chłopca. Nie byli jeszcze formalnie zaręczeni, ale już mnie przygotowywała na to, że się wkrótce wyprowadzi. Przypuszczam, że zamierzali pobrać się na Nowy Rok. On ma mieszkanie.

- Długo się znali?

Namyślała się obgryzając paznokiec.

- Co najmniej dziesięć miesięcy. On jest lekarzem.

Mówi się o dziewczętach, że po to zostają pielęgniarzkami, żeby mieć szansę wyjścia za lekarza, ale w wypadku Britt wcale tak nie było. Okropnie była nieśmiała i raczej bała się mężczyzn. Zeszłej zimy miała zwolnienie z powodu niedokrwistości i ogólnego wyczerpania i dość często musiała chodzić na badania kontrolne. Wtedy spotkała Bertila. I od razu płomień. Mówiła zwykle, że to jego miłość ją wyleczyła, a nie jego kuracja.

Martin Beck westchnął zawiedziony.

- Co się panu w tym nie podoba? - spytała podejrzliwie.

104

- Ależ nic. Czy miała wielu znajomych mężczyzn?

Monika Granholm uśmiechnęła się i potrząsnęła głową.

Żadnych, prócz tych, których spotykała w szpitalu.

Była bardzo chłodna. Wydaje mi się, że nigdy nikogo nie miała przed Bertilem.

Wodziła palcem po blacie stołu. Potem zmarszczyła czoło i spojrzała na Martina Becka.

- Czy jej życie miłosne pana interesuje? A cóż to ma wspólnego ze sprawą?

Martin Beck wyjął z wewnętrznej kieszeni portfel i położył na stole.

- W autobusie obok Britt Danielsson siedział mężczyzna. Był to policjant nazwiskiem Ake Stenstróm. Mamy powody, by przypuszczać, że znali się i jechali razem. Interesuje nas, czy panna Danielsson wymieniała kiedyś jego nazwisko.

Wyjął z portfela fotografię Stenstróma i podsunął ją Monice Granholm.

- Widziała pani kiedy tego człowieka?

Przyjrzała się fotografii i potrząsnęła głową. Potem przysunęła ją do oczu i jeszcze raz obejrzała.

- Owszem - powiedziała. W gazetach. Chociaż to zdjęcie jest lepsze.

Oddała fotografię ze słowami:

- Britt nie znała tego człowieka. Na to mogę prawie przysiąc. Absolutnie wykluczone, żeby pozwoliła komuś prócz narzeczonego odwiedzić się do domu. Po prostu to nie było w jej stylu.

Martin Beck wsunął portfel do kieszeni.

105

- Może byli zaprzyjaźnieni i...

Monika energicznie potrząsnęła głową.

- Britt była bardzo poprawna, bardzo nieśmiała i jak już powiedziałam, prawie bała się mężczyzn. Poza tym była po uszy zakochana w Bertilu i na nikogo innego by nie spojrzała. Ani na przyjaciela, ani na żadnego innego. Poza tym byłam jedyną osobą, której się zwierzała, prócz Bertila oczywiście. Opowiadała mi wszystko. Przykro mi, panie komisarzu, ale to chyba pomyłka.

Otworzyła torebkę i wyjęła portmonetkę.

- Muszę wracać do moich osesków. Mam chwilowo siedemnaście sztuk.

Grzebała w portmonetce, ale Martin Beck powstrzymał ją wyciągnięciem ręki.

- Na koszt państwa — powiedział.

Gdy stali przed bramą szpitala, Monika Granholm powiedziała:

- Mogli się oczywiście znać, z dzieciństwa albo ze szkoły na przykład, i spotkać się przypadkiem w autobusie.

Tylko tyle mogę przypuścić. Britt mieszkała w Eslov do dwudziestego roku życia. A skąd pochodził ten policjant?

- Z Hallstahammar - powiedział Martin Beck. - Jak się nazywa ten lekarz, ten Bertil?

- Persson.

- A gdzie mieszka?

- Gillerbacken 22. W Ragsved.

Martin Beck podał jej rękę z wahaniem i dla pewności nie zdjawszy rękawiczki.

- Proszę podziękować państwu za poczęstunek -

106

powiedziała Monika Granholm, długim krokiem schodząc po pochyłości wzgórza.

XVI

Samochód Gunvalda Larssona stał na Tegnergatan przed domem numer 40. Martin Beck spojrzął na zegarek i pchnął bramę.

Było dwadzieścia po trzeciej, co znaczyło, że Gunvald Larsson, który zwykle skrupulatnie dotrzymywał terminów, od dwudziestu minut jest u pani Assarsson. I o tej porze zdążył już pewnie wywiedzieć się, jak wyglądało życie doktora Assarssona od pierwszego roku nauki szkolnej. Technika przesłuchań Gunvalda Larssona oparta była na zasadzie zaczynania od samego początku i dociekania krok za krokiem, metoda, która oczywiście mogła się okazać skuteczna, często jednak była tylko uciążliwa i nudna. Drzwi mieszkania otworzył mężczyzna w średnim wieku, ubrany w ciemny garnitur i srebrzysty krawat. Martin Beck przedstawił się i pokazał znaczek służbowy.

Mężczyzna wyciągnął rękę.

- Ture Assarsson - powiedział. — Jestem bratem...

- zmarłego. Proszę wejść. Pana kolega już jest.

Zaczekał, aż Martin Beck powiesi płaszcz, i poprzędzając go wszedł w szerokie, rozsuwane drzwi.

— To jest, droga Marto, komisarz Beck.

Salon był duży i dość ciemny. Na niskiej, płowozłotej

107

sofie, mającej co najmniej trzy metry długości, siedziała chuda kobieta w czarnym dżersejowym kostiumie, ze szklanką w ręce. Odstawiła szklankę na stojący przed sofą niski czarny stolik o marmurowym blacie i podała Beckowi rękę, wytwornie zginając dłoń, jak gdyby w oczekiwaniu pocałunku. Martin Beck niezgrabnie ujął bezwładnie zwisające palce i wymamrotał niewyraźnie:

— Wyrazy współczucia, szanowna pani.

Po drugiej stronie marmurowego stolika zgrupowane były trzy różowe niskie fotele; w jednym z nich siedział Gunvald Larsson z dość dziwną miną. Martin Beck, dopiero gdy sam na skutek łaskawego skinienia pani domu usadowił się w takimże fotelu, pojął, co tak gnębi Gunvalda.

Ponieważ konstrukcja foteli dopuszczała właściwie

tylko wyciągnięcie się w pozycji horyzontalnej, a dziwnie by to wyglądało: prowadzić przesłuchanie leżąc, Gunvald Larsson złożył się jak scyzoryk, co zdawało się bardzo uciążliwe. Twarz mu czerwieniała i ze złością łypał na Martina spośród sterczących przed nim jak alpejskie szczyty kolan.

Martin Beck najpierw podkurczył nogi w lewo, potem w prawo, potem próbował skrzyżować je i wsunąć pod fotel, ale fotel był za niski. W końcu więc ułożył się w takiej samej pozycji jak Larsson.

Wdowa przez ten czas opróżniła szklanę i podała ją szwagrowi do ponownego napełnienia. Szwagier przyjrzawszy się jej badawczo przyniósł z bocznego stolika karafkę i czystą szklanę.

108

— Pozwoli pan szklaneczkę sherry, komisarzy - powiedział.

Nim Martin Beck zdążył zaprotestować, napełnił szklanę i postawił przed nim.

— Pytałem właśnie panią Assarsson, czy wie, dlaczego jej mąż w poniedziałek wieczorem jechał tym autobusem - powiedział Gunvald Larsson.

— A ja odpowiedziałam panu to samo, co powiedziałam

osobnikowi, który był tak nietaktowny, że przesłuchiwał mnie w sprawie męża w sekundę po zawiadomieniu o jego śmierci: że nie wiem.

Uniosła szklanę w kierunku Martina Becka i opróżniła ją jednym łykiem. Martin Beck próbował sięgnąć po swoją szklanę, ale chybił o kilka decymetrów i znowu zapadł się w fotel.

— A wie pani, gdzie małżonek był wcześniej tego wieczoru? — spytał.

Pani domu odstawiła szklanę, wyjęła ze stojącej na stole zielonej szklanej szkatułki papierosa o pomarańczowej gilzie i złotym ustniku, obmacała go, kilka razy stuknęła nim w pokrycie szkatułki, potem odczekała, aż szwagier poda jej ogień. Martin Beck zauważył, że jest niezupełnie trzeźwa.

— Owszem, wiem - powiedziała. - Był na posiedzeniu. Obiad jedliśmy o szóstej, potem przebrał się i koło siódmej wyszedł.

Gunvald Larsson wyjął kartkę i długopis i dłubiąc w uchu długopisem spytał:

— Posiedzenie? A gdzie i jakie?

109

Assarsson spojrział na szwagierkę, a ponieważ nie

odpowiedziała, wyręczył ją:

- Zebranie kółka koleżeńskiego. Pod nazwą „Wielbłądy”. Kółko składa się z dziewięciu członków, zaprzyjaźnionych od czasu wspólnego pobytu w morskiej szkole kadetów. Spotykali się zwykle u dyrektora Sjóberga na Narvavagen.

- Wielbłądy - powiedział Larsson podejrzliwie.

- Tak - wyjaśnił Assarsson. - Pozdrawiali się zwykle mówiąc „jak się masz, stary wielbłądzie”; stąd wzięła się nazwa Wielbłądy.

Wdowa spojrzała na szwagra krytycznie.

- To stowarzyszenie ideowe — powiedziała. — Uprawiają dobroczynność na wielką skalę.

- Ach tak — powiedział Gunvald Larsson. — Co na przykład uprawiają?

- To tajemnica - powiedziała pani Assarsson. - Nawet my, żony, nie wiemy. Niektóre stowarzyszenia tak postępują. Działają w ukryciu.

Martin Beck, czując na sobie spojrzenie Larssona, powiedział:

- A wie pani, o której dyrektor Assarsson opuścił Narvavagen?

- Wiem, nie mogłam zasnąć i około drugiej wstałam,

żeby pociągnąć łyczek przed snem, wtedy zobaczyłam, że Gósty nie ma w domu, więc zadzwoniłam do Śrubki, tak nazywają dyrektora Sjóberga, a Śrubka powiedział, że Gósta wyszedł około wpół do jedenastej.

Urwała i odłożyła papierosa.

110

- A jak się pani zdaje, dokąd mąż pani jechał autobusem 47? - spytał Martin Beck.

Assarsson spojrzał na niego lękliwie.

- Jechał oczywiście do jakiegoś klienta. Mój mąż był bardzo energiczny i dużo w firmie pracował. Ture zresztą też jest współwłaścicielem. I wcale nierzadko bywało, że załatwiał sprawy firmowe nawet i w nocy. Na przykład gdy ktoś przyjechał z prowincji i miał tylko zanoć w Sztokholmie, i...

Utknęła, podniosła swoją pustą szklanę i obracała ją w palcach.

Gunvald Larsson był zajęty zapisywaniem na kartce.

Martin Beck wyciągnął nogę i roztarł sobie kolano.

- Czy ma pani dzieci? - spytał.

Pani Assarsson podsunęła szklanę szwagrowi, żeby ją napełnił, ale on nie patrząc odstawił szklanę na boczny stół. Obdarzyła go za to urażonym spojrzeniem, podniosła

się z trudem i strzepnęła ze spódnicy popiół z papierosa.

- Nie, komisarzu Peck, nie mam. Mój mąż, niestety, nie mógł obdarzyć mnie dziećmi.

Przez chwilę wpatrywała się błyszczącymi oczami w jakiś punkt za lewym uchem Martina Becka. Mrugnęła parę razy, potem spojrzała na niego samego.

- Czy pana rodzice są Amerykanami, panie Peck?

- spytała.

- Nie - odpowiedział Martin Beck.

Gunvald Larsson wciąż pisał. Martin Beck wyciągnął szyję i zajrzał w kartkę. Była zabazgrana podobiznami wielbłądów.

111

- Panowie wybaczą, komisarzu Peck i Larsson, że się wycofam - powiedziała pani Assarsson i niepewnym krokiem skierowała się ku drzwiom.

- Żegnam, bardzo mi było przyjemnie - powiedziała niewyraźnie, zamykając za sobą drzwi.

Gunvald Larsson schował długopis i kartkę zasmarowaną wielbłądami i wygramolił się z fotela.

- Z kim on sypiał? - spytał nie patrząc na Assarssona.

- Z Eivor Olsson, urzędniczką z biura — odpowiedział Assarsson, obrzuciwszy szybkim spojrzeniem zamknięte

drzwi.

XVII

Nic pozytywnego o tej nieprzyjemnej środzie nie ma do powiedzenia.

Jak można się było spodziewać, gazety wieczorne dogrzebały się historii ze Schwerinem i przedstawiły ją w wyczerpujących reportażach, naszpikowanych szczegółami i pełnymi sarkazmu przytykami pod adresem policji.

„Śledztwo utknęło na martwym punkcie. Policja cichaczem usunęła najważniejszego świadka. Policja bezwstydnie okłamała prasę i społeczeństwo.”

„Jeżeli prasa i Wielki Detektyw Opinia Publiczna nie otrzymają ścisłych informacji, jak policja może liczyć na ich współpracę?”

Jedyną rzeczą, o której gazety nie wspominały, była

112

śmierć Schwerina, ale wynikało to chyba tylko z długo-trwałości procesu składu i druku.

W jakiś sposób udało się im też wywęszyć gorzką prawdę o raczej niezadowolającym stanie miejsca zbrodni, gdy przybyli tam technicy z Laboratorium Kryminologicznego.

„Cenny czas został stracony!”

Na nieszczęście morderstwo masowe zbiegło się z zaplanowanym od kilku tygodni nalotem na kioski i trafiki w poszukiwaniu literatury pornograficznej, godzącej w dobre obyczaje.

Jedna z gazet z uprzejmą skwapliwością na czołowym miejscu wytykała, iż ogarnięty amokiem chory umysłowo morderca biega po mieście, ludność popadła w panikę, świeży ślad stygnie i zaciera się, zaś cała armia duchowych spadkobierców Paulusa Bergstróma krąży z tupotem po mieście, ogląda pornograficzne pocztówki i drapiąc się w głowę usiłuje zrozumieć mętną instrukcję Ministerstwa Sprawiedliwości, co należy uznać za obrazę obyczajności, a co nie.

Około czwartej po południu Kollberg przyszedł na Kungsholmsgatan. Miał kryształki lodu we włosach i na brwiach, ponurą minę i plik gazet pod pachą.

- Gdybyśmy mieli tylu informatorów, co pismaków, można by palcem nie ruszyć — powiedział.
- To sprawa pieniędzy - powiedział Melander.
- Wiem dobrze. Ale czy to by pomogło?
- Nie - odrzekł Melander. - Jednak rzecz przedstawia się prosto.

Wystukał popiół z fajki i zagłębił się w swych papierach.

- Rozmówiłeś się ostatecznie z psychologami? - kwaśno spytał Kollberg.

- Tak — odpowiedział Melander nie podnosząc głowy. — Wyciąg w przepisywaniu.

Nowa twarz pojawiła się w kwaterze głównej śledztwa. Jedna trzecia obiecanego wzmocnienia właśnie przybyła. Mansson z Malmö.

Mansson był prawie tego wzrostu co Gunvald Larsson, ale powierzchowność miał znacznie mniej odstrasżającą. Przyjechał ze Skane w ciągu nocy własnym samochodem. Nie dlatego, żeby móc zainkasować marny ekwiwalent: czterdzieści sześć óre za kilometr, ale dlatego, że całkiem słusznie uważał, iż dobrze będzie mieć do własnego rozporządzenia samochód ze znakiem „M”.

Stał teraz przy oknie i wyglądał na ulicę żując jednocześnie wykałaczkę.

- Czy mógłbym się czymś zająć? — spytał.

- Tak. Jest kilka osób, których nie zdążyliśmy przesłuchać. Pani Ester Kallström na przykład, wdowa po jednej z ofiar.

- Po majstrze Johanie Kallstrómie?

- Właśnie. Mieszka na Karlbergsvagen 89.
- A gdzie jest Karlbergsvagen?
- Tam wisi plan - powiedział Kollberg znużonym głosem.

Mansson położył zżutą wykałaczkę na popielnicze Melandera, wyjął nową z wewnętrznej kieszeni i przyjrzał

114

się jej bez najmniejszego entuzjazmu. Chwilę studiował plan miasta, potem włożył płaszcz. W drzwiach odwrócił się i spojrzał na Kollberga.

- Słuchaj...
- Tak, o co chodzi?
- Jest tu jakiś sklep, gdzie można by kupić wykałaczki mentolowe?
- Nie, faktycznie nie wiem.
- Aha — powiedział Mansson przygnębiony.

Nim wyszedł, dorzucił jeszcze wyjaśnienie:

- Bo mają jakoby być takie. Skończyłem właśnie z paleniem.

Gdy drzwi się za nim zamknęły, Kollberg spojrzał na Melandera i powiedział:

- Jeden jedyny raz widziałem już tego faceta.

W Malmö, zeszłego lata. I wtedy powiedział dokładnie to

samo.

- O wykałaczce?

- Tak.

- Dziwne.

- Co?

- Że w ciągu przeszło roku nie zdołał się upewnić, czy rzeczywiście są.

- Ech. Beznadziejny jesteś — powiedział Kollberg.

Melander zaczął napychać fajkę. Wciąż nie podnosząc wzroku powiedział:

- Jesteś w złym humorze?

- Cholera, pewnie — odparł Kollberg.

- Nie ma sensu złościć się. Wtedy wszystko nie idzie.

115

- Łatwo ci mówić - odpowiedział Kollberg. - Bo ty nie masz temperamentu.

Melander na to nie zareagował i konwersacja się urwała.

Wbrew wszelkim twierdzeniom o przeciwnościach

Wielki Detektyw Opinia Publiczna działała nieprzerwanie w ciągu popołudnia.

Setki osób telefonowały albo przychodziły osobiście,

by powiadomić, że przypuszczalnie jechały tym autobusem, w którym dokonano zbiorowego morderstwa.

Wszystkie te informacje trzeba było przemleć w młynku przesłuchań i w jednym tylko wypadku trud ten nie okazał się daremny.

Pewien mężczyzna, który wsiadł do piętrowego autobusu przy Djurgardsbron w poniedziałek wieczorem około dziesiątej oświadczył, że gotów jest przysiąc, iż widział Stenstróma. Zgłosił to telefonicznie i zameldował się u Melandera, który od razu go wezwał.

Był to człowiek około pięćdziesiątki. Wyglądało na to, że jest zupełnie pewien tego, co mówi.

- A więc pan widział asystenta Stenstróma?
- Tak.
- Gdzie?
- Kiedy wsiadłem przy Djurgardsbron. Siedział po lewej stronie za kierowcą.

Melander przytaknął mu w głębi duszy. Wiadomości o rozmieszczeniu ofiar jeszcze do prasy nie przeciekły.

- Jest pan pewien, że to był on?
- Tak.
- Skąd może pan to wiedzieć?

116

Poznałem go. Pracowałem kiedyś jako strażnik nocny.

Tak powiedział Melander. - Parę lat temu siadywał

pan w westybulu w starym budynku policji przy Agnegatan.

Przypominam sobie pana.

To prawda powiedział przesłuchiwany ze zdziwieniem, Ja pana nie poznaję.

Widziałem pana tylko dwa razy..... rzekł Melander.
i nigdy z sobą nie rozmawialiśmy.

Stenstróma pamiętam jednak doskonale. Dlatego że...
Zawahał się.

- Tak zachęcił Melander przyjaźnie dlatego że?

Wyglądał tak młodo i ubrany był w dzinsy i sportową koszulę, myślałem więc, że nie należy do pracowników i chciałem go wylegitymować. I...

Tak?

W jakiś tydzień później popełniłem tę samą omyłkę.

Irytujące.

- No cóż, zdarza się. A gdy go pan teraz zobaczył, przedwczoraj wieczorem, poznał pana?

Nie. Z całą pewnością nie.

A obok niego ktoś siedział?

Nie, miejsce obok było puste. Pamiętam to wyraźnie, bo z początku chciałem przywitać się i usiąść obok. Ale potem pomyślałem, że to byłoby aroganckie.

Szkoda. I wysiadł pan przy Sergels torg?

Tak. Tam przesiadłem się w metro.

- A Stenstróm został?
- Tak przypuszczam. W każdym razie nie widziałem, żeby wysiadał.

117

- Pozwoli pan filiżankę kawy?
- Chętnie. Dziękuję - powiedział przesłuchiwany.
- Bardzo byłbym zobowiązany, gdyby pan zechciał spojrzeć na kilka zdjęć - powiedział Melander. - Ale są, niestety, dość nieprzyjemne.

- Rozumiem - mruknął przesłuchiwany.

Przejrzał fotografie. Zbladł i parę razy przełknął ślinę.

Jedyną osobą, którą rozpoznał, był Stenstróm.

W chwilę później zjawili się - niemal jednocześnie

- Martin Beck, Gunvald Larsson i Rónn.
- No - powiedział Kollberg - czy Schwerin...
- Tak — rzekł Rónn. - Umarł.
- I?
- Coś powiedział.
- Co?
- Nie wiem — powiedział Rónn stawiając magnetofon na stole.

Stali wokół stołu i słuchali.

- Kto strzelał?
- Dnrk.
- Jak on wyglądał?
- Jakalson.
- Nic więcej nie potrafisz wydobyć z tego przesłuchania?
- Słuchaj no, człowieku, mówi do ciebie starszy asystent Ullholm...
- Nie żyje.
- Do diabła — powiedział Gunvald Larsson. — Rzygać

118

mi się chce, jak usłyszę ten głos. On mnie raz oskarżył o uchybienie służbowe.

- A coś zrobił? — spytał Rónn.
- Powiedziałem kurwa w wartowni na Klara. Paru chłopaków przywlokło gołą dziwkę. Pijana była w sztok, wrzeszczała jak opętana i zdarła z siebie ubranie w samochodzie. Próbowałem im wytłumaczyć, że powinni byli chociaż kocem okryć tę k..., chociaż kocem ją okryć, nim ją przywieźli do kryminalnej. A on oświadczył, że zraniłem moralnie kobietę, i to niepełnoletnią, grubym, ordynarnym słowem. Miał wtedy dyzur. Potem przeniósł się do Solny, żeby być bliżej natury.
- Natury?
- Tak, przypuszczam, że własnej żony.

Martin Beck znowu przegrał taśmę.

- Kto strzelał?
- Dnrk.
- Jak on wyglądał?
- Jak alson.
- Sam wymyśliłeś te pytania? — zagadnął Gunvald Larsson.
- Tak, mam je tu - powiedział Rónn nieśmiało.
- Wspaniale.
- Tylko pół minuty był przytomny — powiedział Rónn, dotknięty. — Potem umarł.

Martin Beck jeszcze raz przegrał taśmę.

Słuchali raz po raz.

- I co on gada u licha - powiedział Kollberg.

Nie zdążył się ogolić i w zamyśleniu skubał szczecinę na brodzie.

119

Martin Beck zwrócił się do Rónna:

- A jak ty uważasz? Byłeś tam przecież.
- Cóż - powiedział Rónn — uważam, że zrozumiał pytania i usiłował odpowiedzieć.
- I?
- I że na pierwsze pytanie odpowiedział przecząco, na

przykład „nie wiem” albo „nie poznałem go”.

- Jak ty u diabła możesz się tego doszukać w tym „Dnrk” - powiedział Gunvald Larsson z najwyższym zdumieniem.

Rónn poczerwieniał i zawiercił się niepewnie.

- Tak - rzekł Martin Beck - w jaki sposób doszedłeś do takiego wniosku?

- Bo ja wiem - odpowiedział Rónn. - Tak mi się wydało, takie miałem wrażenie.

- Aha - powiedział Gunvald Larsson. — I co dalej?

- Na drugie pytanie odpowiedział bardzo wyraźnie „Jakalson”.

- Tak - powiedział Kollberg. - Słyszałem. Ale co on miał na myśli?

Martin Beck koniuszkiem palców pocierał czoło u nasady włosów.

- Jakalsson - powiedział w zamyśleniu - albo może Jakobsson.

- Powiedział „Jakalson” - upierał się Rónn.

- Owszem - stwierdził Kollberg - ale tak się nikt nie nazywa.

- Trzeba sprawdzić - powiedział Melander. - Może i jest takie nazwisko. Przez ten czas...

- Tak?
- Przez ten czas, uważam, powinniśmy posłać taśmę do ekspertyzy, jeżeli nasze laboratorium nie da sobie z tym rady, trzeba będzie skontaktować się z radiem. Radiowi dźwiękowcy mają lepszą aparaturę. Mogą oddzielić dźwięki na taśmie, wypróbować przy różnych szybkościach.
- Zgoda — powiedział Martin Beck - dobry pomysł.
- Tylko skasujcie wpierw tego Ullholma - powiedział Gunvald Larsson. - Inaczej narazimy się na ogólne pośmiewisko.

Rozejrzał się po pokoju.

- A gdzie to kukułcze pisklę Mansson?
- Pewnie zabłądził - rzekł Kollberg. - Trzeba było może objaśnić mu drogę.

Westchnął głęboko.

Wszedł Ek, w zamyśleniu gładząc srebrzyste włosy.

- Co tam znowu? - zapytał Martin Beck.
- Gazety skarżą się, że nie otrzymały portretu tego mężczyzny, który w dalszym ciągu pozostaje nie zidentyfikowany.
- Sam przecież wiesz, jak ten portret wyglądał
- powiedział Kollberg.

- Oczywiście, ale jednak...

- Poczekaj no - rzekł Melander. - Możemy upiększyć rysopis. Od trzydziestu pięciu do czterdziestu lat, wzrost metr siedemdziesiąt jeden, waga sześćdziesiąt dziewięć kilo, czterdziesty drugi numer butów, oczy piwne, szatyn. Blizna po operacji ślepej kiszki. Ciemny zarost na piersi i brzuchu. Stara blizna na podbiciu. Zęby... nie, nie wypada.

121

- Poślę to - powiedział Ek wychodząc.

Przez chwilę stali w milczeniu.

- Fredrik coś ustalił - powiedział wreszcie Kollberg.

- Że Stenstróm już przy Djurgardsbron siedział w autobusie.

A więc jechał z Djurgarden.

- Co tam robił u diabła - zdziwił się Gunvald.

— Wieczorem? Przy takiej pogodzie?

- Ja też coś ustaliłem — powiedział Martin Beck. — Że on prawdopodobnie wcale nie znał tej pielęgniarki.

- Zupełnie pewne? - spytał Kollberg.

- Nie.

- Był sam przy Djurgardsbron - dodał Melander.

- Rónn też coś ustalił — powiedział Gunvald Larsson.

- Co?

- Że „Dnrk” znaczy „nie poznałem go”, nie mówiąc

już o osobniku nazwiskiem Jakalson...

Tyle ustalili w środę piętnastego listopada.

Śnieg padał. Wielkie, mokre płaty. Było już zupełnie ciemno.

Nie ma oczywiście nazwiska Jakalson. Przynajmniej nie w Szwecji.

W czwartek nic w ogóle nie ustalili.

W czwartek wieczorem, gdy Kollberg wrócił do domu, na Palandergatan, było już po jedenastej. Żona czytała w kręgu światła lampy stojącej. Ubrana w krótki, z przodu rozpinany szlafrok, siedziała w fotelu podkurczywszy gołe nogi.

122

- Cześć - powiedział Kollberg. - Jak tam twój kurs hiszpańskiego?

- Nic z tego oczywiście. Śmieszne, wyobrażać sobie, że w ogóle można coś zrobić, jak się jest żoną policjanta.

Kollberg nie odpowiedział. Rozebrał się natomiast i poszedł do łazienki. Ogolił się, wziął prysznic, długo oblewał się wodą, ufny, że zwariowany sąsiad nie zatelefonuje po radiowóz i nie oskarży go o zakłócenie ciszy nocnej puszczaniem wody. Potem owinał się płaszczem kąpielowym, poszedł do pokoju i usiadłszy naprzeciw żony zaczął się jej

przyglądać w zamyśleniu.

- Dawno cię nie widziałam - powiedziała nie odrywając oczu od książki. — Jak wam leci?

- Marnie.

- To przykre. Dziwne się wydaje, że ktoś może w środku miasta, w autobusie zastrzelić mnóstwo ludzi, ot, tak sobie. I że policja nic mądrzejszego nie ma do roboty, tylko urządzać całe serie głupich obław.

- Tak - przyznał Kollberg. — Rzeczywiście dziwne.

- Czy prócz ciebie jest jeszcze ktoś, kto od trzydziestu sześciu godzin nie był w domu?

- Prawdopodobnie.

Czytała dalej. A on siedział w milczeniu, może dziesięć minut, może kwadrans, nie odrywając od niej oczu.

- Co się tak gapisz? — powiedziała wciąż nie patrząc, ale z cieniem rozbawienia w głosie.

Kollberg nie odpowiedział, a ona pozornie całkowicie pogрузyła się w czytaniu. Była ciemnowłosa i piwnooka, o regularnych rysach i mocno zarysowanych brwiach. Była

123

od niego o czternaście lat- młodsza, skończyła właśnie dwadzieścia dziewięć lat, i wciąż wydawała mu się bardzo piękna. W końcu zapytał:

- Gun?

Po raz pierwszy od chwili jego powrotu do domu spojrzała na niego, z lekkim uśmiechem i z błyskiem bezwstydnego zmysłowości w oczach.

- Tak?

- Wstań.

- Proszę bardzo.

Zagięła rozek strony, do której zdążyła doczytać, zamknęła książkę i położyła na poręczy fotela. Podniosła się i stała przed nim - nie odrywając od niego wzroku

- z opuszczonymi rękami, szeroko rozstawiając bosc nogi.

- Brzydki — powiedział.

- Co brzydkie, ja?

- Nie. Robić w książce ośle uszy.

- Moja książka - powiedziała. - Za własne pieniądze kupiona.

- Rozbierz się.

Podniosła rękę do kołnierzyka i zaczęła rozpinać guziki, wolno, jeden po drugim. Wciąż wlepiając w niego spojrzenie, rozsunała lekki szlafroczek i zrzuciła go na podłogę.

- Odwróć się — powiedział.

Odwróciła się plecami.

- Ładna jesteś.
- Dziękuję. Mam tak stać?
- Nie. Przednią stroną masz lepszą.

124

- Co ty mówisz!

Wykonała pełny obrót i spojrzała na niego z tym samym wyzywającym wyrazem twarzy.

- A na rękach umiesz stać?
- Umiałam w każdym razie, zanim ciebie poznałam.

A potem nie było powodu. Czy mam spróbować?

- Nie trzeba.
- Mogę to jednak zrobić.

Podeszła do ściany, wywinęła kozła i stanęła na rękach, głową w dół. Najwidoczniej bez trudu.

Kollberg przyjrzał się z zainteresowaniem.

- Mam tak stać? — spytała.
- Nie, nie trzeba.
- Bo ja bardzo chętnie, jeżeli cię to bawi. Mogę od tego zemdleć, wtedy przykryj mnie czym. Coś narzuć.

- Nie, wstań.

Zręcznie przerzuciła się na nogi i zerknęła na niego przez ramię.

- A gdybym cię tak sfotografował — spytał - co byś na

to powiedziała?

- Co rozumiesz przez „tak”? Nago?

- Tak.

- Do góry nogami?

- Powiedzmy.

- Przecież nie masz aparatu.

- Rzeczywiście nie mam. Ale to nie należy do rzeczy.

- Oczywiście, że możesz, jak masz ochotę. Możesz ze mną robić, co ci się żywnie podoba. Już ci to powiedziałam dwa lata temu.

125

On nie odpowiedział. A ona wciąż stała pod ścianą.

- A co byś z tymi zdjęciami zrobił?

- O, to właśnie jest pytanie.

Podeszła do niego i powiedziała:

- Teraz czas już najwyższy na pytanie: O co ci właściwie chodzi? Bo jeżeli przypadkiem o to, że chciałbyś się ze mną przespać, to mamy przecież wspaniałe łóżko, a jeżeli to ci już nie odpowiada, to dywan jest też znakomity. Miękki i puszysty. Sama go zrobiłam.

- Stenstróm miał w biurku całą pakę takich zdjęć.

- W pracy?

- Tak.

- Czyich?
- Swojej dziewczyny.
- Asy?
- Tak.
- Uczta dla oka to chyba nie była.
- Nie mów tak.

Przyjrzała mu się ze ściągniętymi brwiami.

- Pytanie dlaczego — powiedział Kollberg.
- Czy to ma znaczenie?
- Nie wiem. Nie potrafię tego wytłumaczyć.
- Może chciał sobie popatrzeć.
- Martin też tak mówi.
- Wydaje się oczywiście, że znacznie rozsądniej byłoby pojechać od czasu do czasu do domu i obejrzeć.
- Martin też nie zawsze jest mądry. Niepokoi się na przykład o nas. Można to po nim poznać.
- O nas? A niby dlaczego?

126

- Pewnie dlatego, że wtedy w piątek wieczorem wyszedłem sam.
- A cóż to, on nigdy nie wychodzi bez żony?
- Tu coś nie klapuje - powiedział Kollberg. — Ze Stenstrómem i tymi zdjęciami.

- Dlaczego? Wiadomo, jacy mężczyźni są. Ładna była na tych zdjęciach?
 - Tak.
 - Bardzo?
 - Tak.
 - Wiesz, co powinnam powiedzieć?
 - Tak.
 - Ale nie powiem.
 - Nie powiesz. To też wiem.
 - A jeżeli o Stenstróma chodzi, to może chciał pokazać zdjęcia koleżkom. Pochwalić się.
 - Mało prawdopodobne. On nie był taki.
 - A dlaczego sobie tak nad tym głowę łamiesz?
 - Sam nie wiem. Może dlatego, że nie mamy żadnych motywów.
 - A ty to nazywasz motywami? Myślisz, że ktoś zastrzelił Stenstróma z powodu tych zdjęć? Dlaczego by w takim razie zastrzelił ośmiu innych?
- Kollberg długo się jej przyglądał.
- Właśnie — powiedział. — Słuszne pytanie.
- Pochyliła się i pocałowała go w czoło.
- Może byśmy się położyli - powiedział Kollberg.
 - Wyborny pomysł. Naszykuję tylko butelkę dla

Bodil. Tylko trzydzieści sekund. Zgodnie z przepisem.

127

Zobaczymy się w łóżku. Albo na podłodze czy w wannie, gdzie chcesz.

- W łóżku.

Poszła do kuchni. Kollberg wstał i zgasił lampę.

— Lennart!

- No?

— Ile lat ma Asa?

— Dwadzieścia cztery.

- Ha. Kulminację seksualnej aktywności kobieta osiąga między dwudziestym dziewiątym a trzydziestym drugim rokiem. Tak mówi Kinsey.

- A mężczyzna?

— Około osiemnastego roku.

Słyszał, że roztrzepuje kaszkę w rondelku. Potem dodała:

- Ale u mężczyzn to bywa bardziej zróżnicowane.

Jeżeli to cię może pocieszyć.

Kollberg spoglądał na swoją żonę przez uchylone drzwi kuchni, jego żona była długonogą dziewczyną, o normalnej budowie ciała i zmysłowym usposobieniu.

Była taka właśnie, jakiej zawsze pragnął, ale też szukanie takiej zabrało mu ponad dwadzieścia lat, a zastanawianie

się jeszcze jeden rok dodatkowo.

Teraz już niecierpliwiła się, trudno jej było stać spokojnie.

— Trzydzieści sekund - mruknęła. — Bezczelni kłamcy.

Kollberg uśmiechnął się w ciemności. Wiedział, że za chwilę będzie mógł wreszcie zapomnieć o Stenstrómie i czerwonym piętrowym autobusie. Po raz pierwszy od trzech dni.

128

Martin Beck nie zużył dwudziestu lat na szukanie żony.

Spotkał ją szesnaście lat temu, natychmiast postarał się o dziecko i ożenił się. Szast-prast.

Teraz stała w drzwiach sypialni — niby mane tekel

-w zmiętej koszuli nocnej, ze śladem poduszki odciśniętym na twarzy.

- Kaszlesz i pociągasz nosem, że cały dom się budzi

- powiedziała.

- Wybacz.

- I dlaczego palisz w nocy? Jeżeli i tak gardło cię boli.

Zdusił papierosa i powiedział.

- Przykro mi, że cię obudziłem.

- To nie ma znaczenia. Najważniejsze, żebyś znowu nie dostał zapalenia płuc. Zostań lepiej jutro w domu.

- To będzie trudne.
- Gadanie. Jak jesteś chory, to nie możesz pracować.

Ktoś chyba jest w policji prócz ciebie. A poza tym powinieneś spać, a nie czytać po nocach stare raporty.

Tego morderstwa w taksówce nigdy nie wyjaśnisz. Wpół do drugiej! Odłóż to zeszytisko i zgaś. Dobranoc.

- Dobranoc - powiedział Martin Beck machinalnie do zamkniętych już drzwi sypialni.

Zmarszczył brwi i wolno odłożył zszywkę raportów.

Całkowitą pomyłką było nazywać ją starym zeszytiskiem, gdyż była to kopia orzeczeń wynikłych z sekcji zwłok, dostał ją wieczorem przed pójściem do domu. Prawdą natomiast było, że parę miesięcy temu nie sypiał po nocach, ślęcząc nad materiałami dotyczącymi morderstwa rabunkowego popełnionego na taksówkarzu przed dwunastu laty.

129

Chwilę leżał nieruchomo wpatrując się w sufit.

Usłyszawszy z sypialni pochrapywanie żony wstał szybko i na palcach poszedł do przedpokoju. Chwilę wahał się z ręką na telefonie. Potem wzruszył ramionami, podniósł słuchawkę i nakręcił numer Kollberga.

- Kollberg — usłyszał zadyszany głos Gun.
- Jak się masz. Lennart jest?

- Owszem, bliżej niż sobie wyobrażasz.
- O co chodzi? - powiedział Kollberg.
- Przeszkodziłem ci?
- No, można powiedzieć, że tak. Czego chcesz u diabła, o tej porze?
- Słuchaj, pamiętasz, jak to było zeszłego lata, po zabójstwie w parku?
- Oczywiście.
- Nic wtedy nie mieliśmy właściwie do roboty i Hammar powiedział, żebyśmy wzięli do przejrzenia stare nie wyjaśnione wypadki. Przypominasz sobie?
- O kurcze blade, przypominam sobie. I co z tego?
- Ja przejrzałem morderstwo taksówkarza z Boras, ty się zająłeś staruszką z Ostermalm, który po prostu zaginął siedem lat temu.
- Tak. I dzwonisz, żeby mi to powiedzieć?
- Nie. Czym się zajął Stenström? Akurat wrócił wtedy z urlopu.
- Pojęcia nie mam. Myślałem, że tobie powiedział, czym.
- Nie, nigdy o tym nie wspominał.
- Więc pewnie mówił Hammarowi.

- Tak. Z pewnością. Masz rację. No, cześć. Przepraszam, że cię obudziłem.

- Idź do diabła.

Martin Beck usłyszał stuk odkładanej słuchawki. On swoją jeszcze przez chwilę przyciskał do ucha, potem dopiero poczłapał do rozkładanej kanapy.

Ułożył się i zgasił światło. Leżał w ciemności z poczuciem własnej głupoty.

XVIII

Wbrew wszelkim oczekiwaniom piątkowy ranek zaświtał nowiną budzącą pewne nadzieje.

Martin Beck przyjął nowinę telefonicznie i pozostali usłyszeli jego słowa:

- Co? Macie? Naprawdę?

Wszyscy porzucili pracę i patrzyli na mówiącego.

Odłożył słuchawkę i powiedział:

- Badanie balistyczne zakończone.

- I co?

- Broń została zidentyfikowana.

- Aha - powiedział Kollberg beznamiętnie.

- Pistolet wojskowy - stwierdził Gunvald Larsson.

~ Tysiące ich leżą w nie strzeżonych magazynach. Równie dobre mogliby je darmo rozdać złodziejom, zaoszczędziliby

sobie zakładania co tydzień nowych kłódek. Pół godziny bym potrzebował, żeby pojechać do miasta i kupić cały tuzin.

131

- Jest niezupełnie tak, jak przypuszczacie - powiedział Martin Beck biorąc kartkę, na której porobił notatki.

— Model trzydzieści siedem, typ Suomi.

- Coś takiego - powiedział Melander.

- To stary typ z drewnianą kolbą - zauważył Gunvald Larsson. - Od czterdziestego roku nie widziałem takiego.

- Wykonany w Finlandii czy tu na fińskiej licencji?

— spytał Kollberg.

- W Finlandii - odpowiedział Martin Beck. - Facet, który dzwonił, powiada, że to jest zupełnie pewne.

Amunicja także stara. Wyprodukowana w firmie „Tikkakoski — Maszyny do szycia”.

- M trzydzieści siedem - powtórzył Kollberg.

— Z bębenkiem siedmiostrzałowym. Trudno sobie wyobrazić, kto może dziś mieć taki pistolet.

- Dziś nikt — stwierdził Gunvald Larsson. — Dziś to on już leży na dnie Strømmen. Trzydzieści metrów pod wodą.

- Przypuszczalnie tak - powiedział Martin Beck. — Ale kto go miał cztery dni temu?

- Jakiś oszalały Fin - rzekł Gunvald Larsson.
— Wypuścić sforę psów, zgarnąć wszystkich zwariowanych Finów z całego miasta. Wesoła robótka.

- Prasie o tym powiemy? - spytał Kollberg.

- Nie - zastrzegł Martin Beck. — Ani słowa.

Zapadło milczenie. Pierwsza nić przewodnia. Jak długo potrwa, nim znajdą następną?

Drzwi otwały się gwałtownie, wszedł młody człowiek i rozejrzał się ciekawie dokoła. W ręce miał szarą kopertę.

132

- Do kogo? - spytał Kollberg.

- Do Melandera - odpowiedział młodzik.

- Do starszego asystenta Melandera — poprawił

Kollberg. - Tam siedzi.

Młody człowiek położył kopertę na biurku Melandera.

Miał już opuścić pokój, kiedy Kollberg powiedział:

- Nie słyszałem, żebyś pukał.

Młodzieniec przystanął z ręką na klamce, ale się nie odezwał. W pokoju zapanowała cisza, w której Kollberg wolno i wyraźnie, jak gdyby udzielał wyjaśnień dziecku, powiedział:

- Przed wejściem do pokoju należy pukać do drzwi.

Poczekać, aż powiedzą „proszę”, i dopiero wtedy wejść.

Zrozumiano?

- Tak — powiedział młody człowiek niewyraźnie, patrząc na nogi Kollberga.

- To dobrze - powiedział Kollberg i odwrócił się do niego plecami.

Młody człowiek szybko wymknął się za drzwi i zamknął je za sobą bezgłośnie.

- Kto to taki? - spytał Gunvald Larsson.

Kollberg wzruszył ramionami.

- Przypomina jakoś Stenstróma - dodał Gunvald.

Melander odłożył fajkę, otworzył kopertę i wyciągnął z niej zielono oprawioną zszywkę centymetrowej grubości.

- A to co takiego? - zagadnął Martin Beck.

Melander przekartkował zieloną zszywkę.

- Elaborat psychologów - wyjaśnił. - Kazałem to oprawić.

133

- Aha - rzekł Gunvald Larsson. - I jakież oni mają genialne teorie? Że nasz biedny sprawca morderstwa masowego musiał raz w okresie pokwitania zrezygnować z jazdy autobusem, bo nie miał pieniędzy na bilet, i że to przeżycie pozostawiło tak głęboki ślad w jego wrażliwej duszy...

Martin Beck mu przerwał.

- Nic w tym zabawnego, Gunvald - powiedział gwałtownie.

Kollberg szybko przesunął po nim zdziwionym spojrzeniem i zwrócił się do Melandera:

- No, co tam masz w tej księdze?

Melander wytrząsnął popiół z fajki na kartkę, zwinął ją i wrzucił do kosza.

- W Szwecji nie było wypadków precedensowych - powiedział. — Chyba żeby się cofnąć w przeszłość aż do czasów Norlunda i masakry na parowcu „Prins Carl”.

Musieli się opierać głównie na badaniach amerykańskich z ostatnich dziesiątków lat.

Przedmuchał fajkę i napychając ją ciągnął dalej:

- Psychologom amerykańskim, w przeciwieństwie do naszych, nie brakuje materiału do tego rodzaju opracowań.

W tym kompendium uwzględniono między innymi dusiciela z Bostonu, Specka, który zamordował w Chicago osiem pielęgniarek, Whitmana, który strzelając z wieży zabił szesnaście osób, a zranił dużo więcej, Unruha, który wyszedł na ulicę w New Jersey i w ciągu dwunastu minut zastrzelił trzynaście osób, i wiele innych wypadków, znanych wam zapewne z gazet.

Przerzucił kompendium.

- Morderstwa masowe to zdaje się amerykańska specjalność — zauważył Gunvald Larsson.
 - Tak - przyznał Melander - to opracowanie zawiera kilka dość prawdopodobnych teorii uzasadniających to zjawisko.
 - Gloryfikacja przemocy - rzekł Kollberg. - Społeczeństwo karierowiczów. Sprzedaż broni na zamówienie pocztowe. Okrutna wojna w Wietnamie. Melander pociągnął z fajki i przytaknął.
 - Między innymi - powiedział.
 - Czytałem gdzieś - powiedział Kollberg - że na tysiąc Amerykanów jest jeden czy dwóch potencjalnych morderców masowych. Ciekawe, jak oni to mogli stwierdzić.
 - Sondaż poprzez ankiety — wyjaśnił Gunvald Larsson.
 - To też jedna z amerykańskich specjalności. Obchodzi się domy i wypytuje ludzi, jak im się wydaje: czy mogliby popełnić masowe morderstwo. Dwóch na tysiąc odpowiada: Owszem, to mi się wydaje przyjemne.
- Martin Beck wytarł nos i zaczerwienionymi oczami spojrzał na Gunvalda z irytacją.
- Melander przechylił się do tyłu i wyciągnął nogi.

- A co twoi psychologowie mówią o właściwościach takiego masowego mordercy?

Melander wyszukał odpowiednią stronę i przeczytał:

- Ma prawdopodobnie poniżej lat trzydziestu, często jest nieśmiały i niedorozwinięty, choć przez otoczenie uważany za dobrze wychowanego i zaradnego. Zdarza się, że pije, częściej jednak bywa abstynentem. Przymuszcza 135

niewielkiego wzrostu albo też upośledzony, mający jakąś ułomność czy inny defekt fizyczny, który wyróżnia go spośród innych ludzi. Odgrywa nieznaczną rolę w społeczeństwie, wzrastał w nędznych warunkach. W wielu wypadkach jest dzieckiem rozwiedzionych rodziców albo sierotą i był w dzieciństwie pozbawiony czułości. Najczęściej nie popełnił przedtem żadnego poważniejszego przestępstwa. Podniósł wzrok i wyjaśnił:

- To jest oparte na zestawieniu faktów wynikających z przesłuchań i badań testowych amerykańskich morderców masowych.

- Przecież taki morderca musi być kompletnie szalony

- powiedział Gunvald Larsson. -I nie widać tego, póki nie wypadnie na ulicę i nie uśmierci mnóstwa ludzi?

- Ktoś, kto jest psychopata, może robić wrażenie

zupełnie normalnego, póki nie zdarzy się coś, co wyzwoli w nim nienormalność. Psychopatia polega na tym, że jakaś czy też jakieś cechy charakteru odnośnego osobnika są nienormalnie rozwinięte, poza tym jednak jest zupełnie . normalny, jeśli chodzi o talenty, zdolność do pracy i tak dalej. Ludzie, którzy nagle popełniają morderstwo masowe, bezsensownie i na pozór bez żadnego powodu, bywają najczęściej przedstawiani przez swych najbliższych jako osoby rozsądne, dobrze wychowane i takie, że nikt by się po nich nie spodziewał podobnego czynu. Wielu z przestępców opisywanych w wypadkach amerykańskich twierdzi, że od dłuższego czasu byli świadomi swej choroby i próbowali stłumić swe destruktywne tendencje, aż w końcu ulegali im. Morderca masowy może cierpieć na 136

manię prześladowczą albo na manię wielkości lub też chorobliwe poczucie winy. Nierzadko też taki przestępca uzasadnia swój postępek tym, że chciał zdobyć rozgłos, być bohaterem artykułów w gazetach. Najczęściej za wystąpieniem kryje się żądza wyróżnienia i zemsty. Sprawca czuje się poniżony, niezrozumiany i źle traktowany. W większości wypadków ma poważne zaburzenia seksualne. Po tym odczycie Melandera zapanowała cisza. Martin

Beck patrzył w okno. Był blady i bardziej niż zwykle zgarbiony, oczy miał podkrążone.

Kollberg siedział na biurku Gunvalda Larssona i łączył jego spinacze w długi łańcuch. Gunvald z irytacją odebrał mu pudełko ze spinaczami.

- Whitman, wiecie, ten co zastrzelił mnóstwo ludzi z wieży na uniwersytecie w Austin - powiedział - czytałem książkę o nim, wczoraj. Jakiś austriacki psycholog, profesor, dowodzi w niej, iż problem seksualny Whitmana polegał na tym, że właściwie chciał sypiać z własną matką. Zamiast wbić w nią fallus, pisze ten profesor, przebił ją nożem. Nie mam pamięci Fredrika, ale ostatnie zdanie w tej książce brzmi dokładnie tak: „Potem wstąpił na wieżę - wyraźny symbol falliczny — rozsiał swe śmiercionośne nasienie niby strzały miłosne godzące w Matkę Ziemię”.

Mansson wszedł do pokoju z nieśmiertelną wykałaczką w kąciku ust.

- O czym wy u Boga Ojca mówicie!

- Autobus też może jest swego rodzaju symbolem seksualnym - powiedział z głębokim zastanowieniem Gunvald Larsson - chociaż o pozycji horyzontalnej.

137

Mansson wytrzeszczył na niego oczy.

Martin Beck podszedł do Melandera i zabrał mu zieloną zszywkę.

- Pożyczę to sobie - powiedział - i przeczytam spokojnie. Bez dowcipnych komentarzy.

Skierował się do drzwi, ale powstrzymał go Mansson, który wyjąwszy wykałaczkę z ust spytał:

— Co mam teraz robić?

- Nie wiem. Spytaj Kollberga - odpowiedział Martin krótko i wyszedł.

— Możesz iść i porozmawiać z gospodynią, u której mieszkał ten Arab.

Wypisał nazwisko i adres na kartce i dał Manssonowi.

- Co się dzieje z Martinem? - spytał Gunvald Larsson.

— Co on taki kwaśny.

Kollberg wzruszył ramionami.

— Ma widać swoje powody.

. Mansson dobre pół godziny zużył, żeby dobić na Norra Stationsgatan przy takim ruchu ulicznym. Gdy zaparkował wóz naprzeciw numeru 48, było parę minut po czwartej i już się ściemniało.

W tej kamienicy było dwóch lokatorów nazwiskiem Karlsson, ale Mansson nie miał trudności z wykalkulowaniem, który jest właściwy.

Na drzwiach było osiem kartek przypiętych pineskami. Dwie z nich były drukowane, reszta wypisana ręcznie różnymi charakterami pisma. Wszystkie widniejące na

138

kartkach nazwiska były cudzoziemskie. Nazwiska Mohameda Boussie w tym zbiorze nie było.

Mansson zadzwonił; drzwi otworzył mężczyzna z czarnym wąsikiem w wygniecionych spodniach i podkoszulku.

- Zastałem panią Karlsson? - spytał Mansson.

Mężczyzna pokazał lśniąco białe zęby w uśmiechu i rozłożył ręce.

- Pani Karlsson nie ma w domu - powiedział łamaną szwedczyzną. - Prędko przyjdzie.

- Zaczekam - powiedział Mansson wchodząc do przedpokoju.

Rozpiął płaszcz, spojrział na uśmiechniętego obcokrajowca.

- Znał pan Mohammeda Boussie, który tu mieszkał?

Uśmiech natychmiast znikł z twarzy mężczyzny.

- Tak — powiedział. - To było diabelnie okropne.

Straszne. On być mój przyjaciel, Mohammed.

- Pan też jest Arabem? — spytał Mansson.

- Nie, Turkiem. Pan też cudzoziemiec?
- Nie - powiedział Mansson. - Szwed.
- O, myślałem, pan się trochę zacina.

Mansson spojrział na niego surowo.

- Jestem policjantem — wyjaśnił. - Chciałbym się trochę rozejrzeć, jeżeli można. Jest ktoś w domu prócz pana?
- Nie, tylko ja, jestem na zwolnieniu.

Mansson rozejrzał się. Przedpokój był ciemny, długi i wąski, umeblowanie stanowiło trzcinowe krzesło, stolik i stojący metalowy wieszak. Na stoliku leżały gazety i kilka listów z zagranicznymi znaczkami. Prócz wejściowych, w przedpokoju było pięćdrzwi, w tym jedno podwójne i dwoje małych drzwiczek, pewnie do toalety i do schowka. Mansson podszedł do podwójnych drzwi i otworzył jedno skrzydło.

139

- Pani Karlsson prywatny pokój - powiedział mężczyzna w podkoszulku, przestraszony. — Zabronione wchodzić.

Mansson zajrzał do pokoju zastawionego meblami i najwidoczniej służącego równocześnie za sypialnię i za pokój bawialny.

Następne drzwi wiodły do kuchni. Dużej i zmoderni-

zowanej.

- Zabronione chodzić do kuchni - powiedział stojący za nim Turek.

- Ile tu jest pokoi? - spytał Mansson.

- Pani Karlsson i kuchnia, i dla nas - odpowiedział Turek. — I toaleta, i schowek.

Mansson zmarszczył brwi.

- A więc dwa pokoje z kuchnią - przetłumaczył sobie.

- A teraz popatrzeć na nasz pokój - powiedział Turek otwierając drzwi.

Pokój miał mniej więcej siedem na dziewięć metrów.

Dwa okna od ulicy, w oknach obwisłe, wyblakłe firanki.

Wzdłuż ścian stały łóżka różnego rodzaju, a między oknami tapczan zwrócony wezgiłowiem do ściany.

Mansson doliczył się sześciu łóżek. Dwa były nie zasłane. Wszędzie rozrzucone były buty, części ubrania, książki i gazety. Na środku stał biały lakierowany stół,

140

otoczony pięcioma krzesłami, każde od innego kompletu.

Umeblowanie uzupełniała wysoka komoda z ciemnego wypalonego drzewa, stojąca pod jednym z okien.

W pokoju było prócz wejściowych dwoje drzwi. Na jednym z nich stało łóżko, z pewnością więc wiodły do

pokoju pani Karlsson i były zamknięte. Za drugimi drzwiami krył się schowek, wypełniony odzieżą i walizkami.

- Sześciu was tu mieszka — powiedział Mansson.

- Nie, ośmiu - odpowiedział Turek. Podeszedł do łóżka stojącego na drzwiach i wyciągnął spod niego dolne legowisko, jednocześnie wskazał na inne łóżko. — Dwa rozkładane - powiedział. - Mohammed miał tamto.

- A tamtych siedmiu to kto? - spytał Mansson.

- Turcy jak pan?

- Nie, trzech Turków, dwóch... nie, jeden Arab, dwóch Hiszpanów, jeden Fin i ten nowy, Grek.

- Jadacie tu także?

Turek szybko przeszedł przez cały pokój, żeby poprawić poduszkę na jednym z łóżek. Mansson zdążył zobaczyć rozłożone czasopismo pornograficzne, nim je poduszka przykryła.

- Przepraszam ~ powiedział Turek. - Tu jest trochę... nie tak dobrze sprzątnięte. Czy tu jemy? Nie, gotować jedzenie zabronione. Zabronione chodzić do kuchni, zabroniono mieć kuchenkę w pokoju. Nie wolno gotować jedzenie i kawa.

- A ile płacicie?

- Płacimy trzysta pięćdziesiąt koron od głowy.

- Miesięcznie?

141

- Tak. Każdy miesiąc trzysta pięćdziesiąt koron.

Turek kiwał głową i czochrał ciemne, twarde jak szczecina włosy w wycięciu koszulki.

- Zarabiam bardzo dobrze - mówił. - Sto siedemdziesiąt koron tygodniowo. Prowadzę wagonetkę. Przedtem ja pracuję w restauracja i nie zarabiam tak dobrze.

- Wie pan, czy Mohammed Boussie miał jakichś krewnych? — spytał Mansson. — Rodziców, rodzeństwo?

- Nie, nie wiem. - My byli dobrze kompan, ale Mohammed nie mówić dużo. On się bardzo bał.

Mansson, spoglądający przez okno na gromadkę zmarzniętych ludzi czekających na przystanku autobusowym, odwrócił się.

|- Bał się?

- Nie bał. Jak to się mówi? On był bojący.

- Aha, nieśmiały - powiedział Mansson. - A jak długo on tu mieszkał?

Turek usiadł na tapczanie stojącym między oknami.

- Nie wiem. Ja przyjechać tu zeszły miesiąc, Mohammed już mieszkał.

Mansson poccił się w grubym płaszczu. Powietrze ciężkie było od wyciewów ośmiu mieszkańców pokoju.

Mansson gwałtownie zatęsknił do Malmö i swego schludnego mieszkania przy Regementsgatan.

Wygrzebał z kieszeni ostatnią wykałaczkę i spytał:

- Kiedy wróci pani Karlsson?

Turek wzruszył ramionami.

- Nie wiem. Prędko.

142

Mansson z wykałaczką w zębach zasiadł przy okrągłym stole i czekał.

Po upływie pół godziny wrzucił do popielniczki resztki żółtej wykałaczkii. Dwóch dalszych sublokatorów pani Karlsson się zjawilo. Ale sama gospodyni wciąż była nieobecna.

Nowo przybyłymi byli dwaj Hiszpanie, a ponieważ zapas ich szwedzkich słów był niezwykle skąpy, a zapas hiszpańskich słów Manssona prawie żaden, wkrótce zaniechał próby przesłuchiwania ich. Stwierdził jedynie, że jeden z nich nazywa się Ramon a drugi Juan i że pracują jako pomywacze w barze samoobsługowym.

Turek położył się na tapczanie i apatycznie przeglądał niemiecki tygodnik. Hiszpanie prowadzili ożywioną

rozmowę, przebierając się na wieczorną zabawę, której częścią składową miała być dziewczyna imieniem Kerstin i jej to głównie zdawała się cała dyskusja dotyczyć.

Mansson wciąż spoglądał na zegarek. Postanowił czekać do wpół do szóstej, ani minuty dłużej.

Za dwie wpół do szóstej przyszła pani Karlsson.

Usadowiła go na swej eleganckiej kanapie, poczęstowała winem i rozwiodła jeremiady nad przykrościami życia gospodyni mającej sublokatorów.

- Dla samotnej biednej kobiety - mówiła - nie jest rzeczą przyjemną mieć dom pełen mężczyzn. I to w dodatku cudzoziemców. Lecz cóż ma począć biedna uboga wdowa? Mansson szybko obliczył. Prawie trzy tysiące komornego zgarniała miesięcznie uboga wdowa.

- Ten Mohammed - mówiła - był mi winien za ostatni
143

miesiąc. Nie mógłby pan jakoś załatwić, żebym to dostała? Miał przecież pieniądze w banku.

Na pytanie Manssona, jakie jest jej zdanie o Mohammedzie, odpowiedziała:

— Jak na Araba był rzeczywiście dosyć miły. Bo oni zwykle są tacy brudni i nieodpowiedzialni. A on był uprzejmy, cichy, i wydawał się przyzwoity, nie pił i chyba

nie miał żadnej dziewczyny. Tylko, jak powiedziałam, za ostatni miesiąc nie zapłacił.

Okazało się, że jest dość dobrze zorientowana w życiu prywatnym swych sublokatorów. Ramon bardzo pasuje do fladry imieniem Kerstin, ale o Mohammedzie nic nie umiała powiedzieć.

Miał zamężną siostrę w Paryżu. Pisywała do niego, ale listy jej były zupełnie nieczytelne, bowiem pisane po arabsku.

Pani Karlsson dała Manssonowi całą paczkę listów.

Adres i nazwisko siostry widniały na kopercie.

Wszystkie ziemskie dobra Mohammeda Boussie zapakowane były w walizkę z brezentu. Mansson zabrał z sobą i walizkę.

XIX

Poniedziałek. Śnieg. Wiatr. Pieskie zimno.

- Piękny, świeży śnieg - powiedział Rónn.

Stał przy oknie w rozmarzeniu spoglądając na ulicę

144

i dachy domów, ledwie widoczne w wirującym białym tumanie.

Gunvald Larsson spojrział na niego podejrzliwie i spytał:

- Czy to miała być jakaś dowcipna aluzja?

- Nie. Tak sobie tylko myślę, jak to czułem, kiedy byłem chłopcem.
- W najwyższym stopniu konstruktywne. A nie pomyślałbyś o zrobieniu czegoś bardziej pożytecznego? Z punktu widzenia śledztwa.
- Owszem - powiedział Rönn. - Tylko...
- Tylko co?
- Właśnie... Dokładnie to chciałem powiedzieć. Co?
- Dziewięć osób zostało zamordowanych - powiedział Gunvald Larsson. — A ty stoisz i nie wiesz, czym się masz zająć. Jesteś śledczym, czy nie?
- Jestem.
- No więc usiłuj się czegoś dowiedzieć.
- Gdzie?
- Nie wiem. Zrób coś.
- A co ty sam robisz?
- Widzisz przecież. Czytam tę psychologiczną bzdurę, którą spichcili doktorzy i Melander.
- Po co?
- Tego nie wiem. Skąd mam wszystko wiedzieć! Od krwawej masakry w autobusie minął tydzień. Stopień zaawansowania dochodzeń nie uległ zmianie, a brak wszelkich konstruktywnych pomysłów był widoczny.

Nawet dopływ bezużytecznych informacji ze strony publiczności zaczął wysychać.

145

Społeczeństwo konsumpcyjne i jego ustawicznie ulegający stresowi obywatele co innego teraz mieli do roboty i do myślenia. Wprawdzie do Bożego Narodzenia pozostawał jeszcze miesiąc przeszło, ale zaczęła się już orgia reklamy i histeria zakupów, szybko i niepowstrzymanie niczym dzuma szerzyła się wzdłuż ozdobionych girlandami ulic handlowych. Epidemia była nieustępliwa i nie można było przed nią uciec. Wgryzała się w domy, przenikała do mieszkań, zatruwała i zwyciężała wszystko i wszystkich na swojej drodze. Dzieci już płakały z wyczerpania a ojcowie rodzin zadłużeni byli aż do następnego lata. Zalegalizowane oszustwo grasowało na dobre. Szpitale przeżywały wysoką koniunkturę, jeśli chodzi o ataki serca, rozstrój nerwowy i pęknięte wrzody żołądka.

Na posterunkach policji w śródmieściu częste były wizyty zwiastunów wielkiej czeredy świątecznych klientów, tymczasem w postaci pijanych w sztok krasnoludków*, wyciągniętych z bram i pisuarów publicznych. Na Mariatorget dwaj zmęczeni policjanci upuścili nieprzytomnego krasnoludka do rynsztoka, usiłując go wepchnąć do taksówki.

Podczas awantury, jaka z tego wyniknęła, obaj policjanci zostali ciasno otoczeni przez rozpaczliwie płaczące dzieci i wściekle klnących pijaków. Jeden z policjantów dostał w oko bryłą śniegu, co wprawiło go w zły humor. Wyciągnął pałkę i trzepnąwszy na ślepo trafił w ciekawskiego emeryta. Wypadło to niezbyt pięknie i stanowiło wodę na młyn policjożerców.

- W każdym społeczeństwie istnieje utajona nienawiść

* W Szwecji rolę św. Mikołaja spełniają krasnoludki

146

do policji ~ powiedział Melander. - Trzeba tylko jakiegoś impulsu, żeby została wyzwolona.

- Aha - powiedział Kollberg bez zainteresowania.

- A dlaczego tak się dzieje?

- Dlatego, że policja jest złem koniecznym - oznajmił Melander. - Wszyscy ludzie, nawet zawodowi złoczyńcy, wiedzą, że mogą znaleźć się w sytuacji, w której policja będzie jedynym ratunkiem. Złodziej, gdy zbudzi się w nocy, bo usłyszy, że ktoś w jego piwnicy buszuje, co zrobi? Oczywiście, zadzwoni po policję. Lecz jak długo nie zachodzi taka sytuacja, większość ludzi reaguje strachem lub pogardą, gdy policja wkracza w ich życie lub zakłóca ich spokój.

- Na dodatek do innych przykrości - powiedział Kollberg - trzeba jeszcze uważać się za zło konieczne.
 - Istota problemu - ciągnął dalej Melander nieustępliwie
 - polega rzecz jasna na tej paradoksalnej sytuacji, że zawód policjanta wymaga w założeniu najwyższej inteligencji, zupełnie niezwykłych kwalifikacji psychicznych i moralnych od tych, którzy się go podejmą, a jednocześnie nie oferuje nic, co mogłoby przyciągnąć osoby o takich właściwościach.
 - Okropne - powiedział Kollberg.
- Martin Beck już wielokrotnie słyszał tego rodzaju rozważania i bawiły go w sposób umiarkowany.
- Nie moglibyście gdzie indziej przeprowadzić tej debaty psychologicznej - powiedział niechętnie. - Próbuję myśleć.
 - O czym? - spytał Kollberg.

147

Telefon zadzwonił.

- Beck.
- Tu Hjelm. No, co słychać?
- Zupełnie nic. Między nami mówiąc.
- Czy jeszcze nie zidentyfikowaliście tego bez twarzy?

Martin Beck od dawna znał Hjelma i miał do niego

wielkie zaufanie. I nie był w tym odosobniony, wielu uważało, że Hjelm jest jednym z najzręczniejszych techników w sprawach kryminalnych. Tylko trzeba umieć do niego podejść.

- Nie - powiedział Martin Beck. - Nikt się jakoś nie kwapi, by o niego zapytać, a z tych, co się zgłaszają, też nic nie wyciągnęliśmy.

Głęboko zaczerpnął tchu i dodał:

- Nie chcesz chyba powiedzieć, że wy macie coś nowego?

Hjelmowi trzeba było schlebiać, co stanowiło ogólnie znaną prawdę.

- Tak - powiedział z zadowoleniem. — Przyjrzelismy mu się trochę, zupełnie ekstra. Spróbowaliśmy odtworzyć bardziej szczegółowy obraz. Który dałby wyobrażenie o żywym osobniku. Chyba nam się udało nadać mu pewien charakter.

Mam powiedzieć „Czy to możliwe?” - myślał Martin Beck.

- Czy to możliwe? - powiedział.

- Istotnie, tak — powiedział Hjelm zadowolony.

- Rezultat lepszy, niż oczekiwaliśmy.

Jak daleko ma się teraz posunąć? Powiedzieć: „nieby-

wałe", „wspaniale", czy po prostu „świetnie", a może „znakomicie". Trzeba by się powprawiać na proszonych kawach Ingi, myślał Martin.

- Znakomicie — powiedział.
 - Dziękuję - odpowiedział Hjelm z uznaniem.
 - Nie ma za co. A nie mógłbyś opowiedzieć...
 - Oczywiście. Dlatego właśnie dzwonię. Najpierw obejrzelśmy zęby. Nie było to łatwe. Trudno się dostać. Ale uzupełnienia, jakie znaleźliśmy, były wyjątkowo lichy zrobione. Nie przypuszczam, żeby to mógł zrobić szwedzki dentysta. Więcej nic nie mam do powiedzenia, jeśli o ten punkt chodzi.
 - To już niemało — zauważył Martin Beck.
 - Następnie ubranie. Jego garnitur wskazuje na któryś z hollywoodzkich sklepów w Sztokholmie. O ile mi wiadomo, są trzy takie sklepy. Na Vasagatan, na Gótgatan i jeden przy St. Eriksplan.
 - Dobrze — rzekł Martin Beck lakonicznie.
- Teraz nie będzie mógł dłużej kluczyć.
- Owszem, też. tak uważam — powiedział Hjelm kwaśno. - Garnitur bardzo brudny. Najwidoczniej nigdy nie był prany, a sędzę, że od dość dawna używał go prawie

codziennie.

- Od jak dawna?
- Przypuszczalnie rok.
- Masz coś więcej?

Chwilę trwała cisza. Hjelm zachował co najlepsze na koniec. Pauza była tylko dla zwiększenia efektu.

- Tak - powiedział w końcu. - W marynarce, w kieszeni
- 149

na piersi miał okruchy haszyszu, a w prawej kieszeni spodni kilka ułamków tabletki preludinu. Analiza pewnych prób pobranych przy obdukcji potwierdza, że ten człowiek był narkomanem.

Znowu efektowna pauza. Martin Beck nic nie powiedział.

- Poza tym miał rzeźączkę w dość zaawansowanym stadium. Według obdukcji.

Martin Beck uzupełnił notatki, podziękował i odłożył słuchawkę.

- Z daleka pachnie światem podziemnym — stwierdził Kollberg. Przez całą rozmowę stał za krzesłem Martina i podsłuchiwał.

- Tak - przyznał Martin - ale odcisku jego palca w naszych rejestrach nie ma.

- Może był cudzoziemcem.

- Możliwe - powiedział Martin. - Tylko co zrobimy z tymi informacjami? Nie powinniśmy ich puścić do prasy.

- Nie — przyznał Melander. - Ale możemy pozwolić, żeby ustnie krążyły między konfidentami i dotarły do znanych narkomanów. Przez personel ochrony przed narkomanią w całym okręgu.

- Hm - powiedział Martin Beck. - Zrób to.

Źdźbło słomy - myślał. Ale cóż nam pozostaje?

W ciągu ostatniej doby policja urządziła dwie pokazowe obławy w tak zwanym świecie podziemnym, zakrojone na szeroką skalę. Rezultat był taki, jakiego oczekiwano.

Mizerny. Wszyscy przewidzieli ten nalot prócz najbardziej zagrożonych i zrezygnowanych. Ze stu pięćdziesięciu

150

mniej więcej osób zatrzymanych przez policję większość stanowiła typowe okazy kwalifikujące się do natychmiastowego przekazania zakładom zamkniętym, gdyby była wystarczająca liczba tego rodzaju zakładów.

Cichy wywiad jak dotąd nic nie dał, a ci, którzy czuwali nad kontaktami z „bagnem społecznym”, byli przekonani, że konfidenti mówią prawdę twierdząc, iż nikt nic nie wie.

Wiele przemawiało za tym, że tak jest istotnie. Nikt

prawdopodobnie nie miałyby powodu chronić tego przestępcy.

— Tylko on sam — zauważył Gunvald Larsson, który miał słabość do zbędnych uwag.

Jedno tylko mogli zrobić: zużytkować w pełni materiał, jakim już dysponowali. Ponawiać próby znalezienia broni i przesłuchać wszystkich, którzy mieli jakikolwiek kontakt z ofiarami. Te przesłuchania były udziałem świeżych sił, to jest Manssona i starszego asystenta z Sundsvall, nazwiskiem Nordin. Gunnara Ahlberga nie udało się zwolnić od normalnych obowiązków i przydzielić im. Nie miało to zresztą znaczenia, bo wszyscy byli mniej lub więcej pewni, że te przesłuchania do niczego nie doprowadzą.

Godziny wlokły się bez żadnych wydarzeń. Dzień za dniem mijał. Zrobił się z tych dni cały tydzień, potem zaczął się drugi. Znowu był poniedziałek. Czwarty grudnia, imieniny Barbary. Mroźno i wietrznie; świąteczne podniecenie coraz bardziej przybierało na sile. „Posiłki” nudziły się i zaczynały tęsknić do domu. Mansson do łagodnego klimatu południowej Szwecji, a Nordin do prawdziwej, zdrowej zimy na północy. Żaden z nich nie był przy-

zwyczajony do życia w wielkim mieście, źle się czuli

w Sztokholmie. Różne rzeczy działały im na nerwy, przede wszystkim zgiełk, tłok i nieuprzejmość ludzi. A jako policjantów irytowało ich chuligaństwo i bujnie krzewiąca się drobna przestępczość.

- Nie pojmuję, jak wy tu możecie wytrzymać — mówił Nordin.

Nordin był przysadzisty, łysy, miał krzaczaste brwi i zmrużone brązowe oczy.

- Urodziliśmy się tu — odpowiadał Kollberg. - Nigdy nie żyliśmy inaczej.

- Przyjechałem metrem - mówił Nordin. - Na odcinku od Alvik do Fridhemsplan widziałem co najmniej piętnaście osób, które u nas w Sundsvall policja by natychmiast zatrzymała.

- Brak nam ludzi - stwierdził Martin Beck.

- Wiem, tylko że...

- Tylko co?

- Czy wy nie myślicie o jednym? Ludzie tu są tacy zastraszeni. Zwyczajni przyzwoici ludzie. Jak spytać o drogę albo poprosić o zapalniczkę, każdy ucieka prawie. Boją się po prostu. Nikt nie czuje się pewnie.

- To się zdarza każdemu — powiedział Kollberg.

- Mnie nie - zaprzeczył Nordin. - Na ogół nie. Ale

wkrótce pewnie i ze mną tak będzie. Czy macie coś dla mnie?

- Dostaliśmy dziwną informację - powiedział

Melander.

- O czym?

- O tym nie zidentyfikowanym mężczyźnie z autobusu.

152

Jakaś pani z Hagersten. Zadzwoiła i powiedziała, że mieszka w pobliżu garażu, gdzie się schodzą cudzoziemcy.

- Tak, no i co?

- Bywają tam awantury. Ona oczywiście nie użyła słowa awantury. Hałasują, powiedziała. Jeden z najhałaśliwszych to niski, ciemny mężczyzna około trzydziestu pięciu lat. Ubrany w sposób przypominający nieco opis podany w gazetach; i twierdzi, że ten właśnie od pewnego czasu się nie pokazuje.

- Tysiące ludzi nosi takie ubrania - powiedział Nordin sceptycznie.

- Tak — przyznał Melander. — To prawda. Prawie sto procent pewności, że ta informacja nic nie jest warta. Dane tak niejasne, że właściwie trudno sprawdzić. I tak jakoś niepewnie mówiła. Ale jeżeli nic innego nie masz do roboty...

Nie skończył zdania; nabazgrał nazwisko i adres informatorki w notatniku i wyrwał kartkę. Telefon

zadzwoił, podał kartkę, podnosząc jednocześnie słuchawkę.

- Proszę — powiedział.

- Zupełnie nieczytelne - stwierdził Nordin.

Melander miał pismo zawile i łagodnie mówiąc niewyraźne. Właściwie zupełnie nieczytelne dla osób postronnych. Kollberg przyjrzał się kartce.

- Pismo klinowe - orzekł. Albo raczej starohebrajskie.

Może to Fredrik pisał te teksty znalezione nad Morzem Martwym. Choć taki zmyślny to on nie jest. Ja natomiast jestem jego najznakomitszym interpretatorem.

Szybko przepisał tekst i wręczył Nordinowi mówiąc:

- Masz tu czytelnie napisane.

153

- Okay - powiedział Nordin. - Mogę tam jechać. Jest jakiś samochód?

- Jest. Ale biorąc pod uwagę nasilenie ruchu i stan dróg powinieneś raczej poprzestać na komunikacji miejskiej.

Pojedź 13 albo 23 i wysiądź przy Axelberg.

- Trudno - powiedział Nordin i wyszedł.

- Specjalnie olśniewającego wrażenia to on dziś nie robi - powiedział Kollberg.

- A czy można mieć o to do niego pretensję? — rzekł Martin Beck wycierając nos.

- Pewnie że nie - przyznał Kollberg z westchnieniem.
 - Dlaczego my tych nieboraków nie odeślemy do domu?
 - Bo to nie nasza rzecz - odpowiedział Martin Beck.
 - Są tu po to, żeby uczestniczyć w najintensywniejszym polowaniu na człowieka, jakie się kiedykolwiek w tym kraju zdarzyło.
 - Dobrze by było... - Kollberg urwał. Nie musiał mówić nic więcej. Bezsprzecznie bardzo by to było korzystne: wiedzieć, kogo się tropi i jak to należy robić.
 - Zacytowałem tylko ministra sprawiedliwości - powiedział Martin Beck niewinnie. — Najbystrzejsze umysły, ma pewnie na myśli Manssona i Nordina, pracują bez wytchnienia, aby osaczyć i ująć upośledzonego psychicznie mordercę zbiorowego, którego unieszkodliwienie jest naczelną powinnością tak wobec społeczeństwa, jak wobec każdego pojedynczego obywatela.
 - Kiedy on to mówił?
 - Pierwszy raz siedemnaście dni temu? A ostatni raz wczoraj. Ale wczoraj miał tylko cztery wiersze na dwudziestej
- 154
- drugiej stronie. Musi być rozgoryczony. Wybory przecież w przyszłym roku.
- Melander skończył rozmowę telefoniczną. Czyszcząc

wygiętym spinaczem główkę fajki powiedział potulnie:

- Czy nie pora już odłożyć ad acta tego upośledzonego na umyśle masowego mordercę?

Upłynęło z pół minuty, nim Kollberg odpowiedział:

- Tak. Czas już najwyższy. Pora też zamknąć drzwi i wyłączyć telefon.

- A Gunvald jest? - spytał Martin Beck.

- Pan Larsson siedzi w swoim pokoju i dłubie w zębach nożem do papieru.

- Powiedz, żeby wszystkie rozmowy przełączali na niego. — Melander wyciągnął rękę po słuchawkę.

- Powiedz przy okazji, żeby coś przysłali, dla mnie trzy francuskie ciastka i kapucynka, dziękuję.

Po dziesięciu minutach przyniesiono kawę. Kollberg zamknął drzwi.

Usiedli, Kollberg popijał kawę i jadł.

- Sytuacja przedstawia się więc następująco — powiedział żując. - Wariat żądny sensacji, morderca, tkwi w szafie komendanta policji. W razie potrzeby wyciągamy go stamtąd i odkurzamy. Robocza hipoteza brzmi mniej więcej tak: osobnik wyposażony w pistolet maszynowy model Suomi trzydzieści siedem zabija dziewięć osób w autobusie. Żadnych powiązań między dziewięcioma

osobami nie ma, przypadkiem znalazły się jednocześnie na jednym miejscu.

- Strzelający miał jakiś powód - stwierdził Martin Beck.

155

- Tak - przyznał Kollberg. - Od początku tak sądzę.

Ale nie może istnieć powód, który by usprawiedliwiał zabicie dziewięciu przypadkowo razem się znajdujących osób. A więc właściwym celem było usunięcie jednej z nich.

- Morderstwo było dokładnie zaplanowane - zauważył Martin Beck.

- Jeden z dziewięciu - ciągnął dalej Kollberg. — Ale który z nich? Fredrik, masz listę?

- Nie jest mi potrzebna - odparł Melander.

- Nie, oczywiście. Powiedziałem bez zastanowienia.

Zrobimy przegląd?

Martin Beck skinął głową. I rozmowa przekształciła się w dialog między Kollbergiem i Melanderem.

- Gustav Bengtsson — powiedział Melander — czyli kierowca. Jego obecność w autobusie można uznać za umotywowaną.

- Bez wątplenia.

- Prowadził życie wzorowo unormowane. Udane małżeństwo. Nie karany. Dobrze notowany w pracy.

Lubiany przez kolegów. Przesłuchiwałam także kilku przyjaciół rodziny. Mówią, że był pilny i solidny. Należał do stowarzyszenia abstynentów. Czterdzieści osiem lat. Urodzony tu, w Sztokholmie.

- Wrogowie? Nie miał. Wpływy? Nie miał. Pieniądze? Nie miał. Motyw pozbawienia go życia? Nie ma. Następny.

- Pomijam ustaloną przez Rónna kolejność numeracji
- rzekł Melander. - A więc Hildur Johansson, wdowa sześćdziesiąt dwa lata. Wracała od córki z Vastmannagatan do swego mieszkania przy Norra Stationsgatan. Urodzona 156

w Edsbro. Córka była przesłuchiwana przez Larssona, Manssona i... no, mniejsza o to. Żyła w odosobnieniu z emerytury. Niewiele więcej można o niej powiedzieć.

- Owszem, że wsiadła przypuszczalnie przy Odeongatan i przejechała tylko sześć przystanków. I że nikt prócz córki i zięcia nie wiedział, że będzie jechać tą właśnie trasą o tej porze. Dalej.

- Johan Kallström, pięćdziesiąt dwa lata, urodzony w Vasteras. Majster w warsztacie samochodowym Grena na Sibyllagatan. Pracował dłużej i wracał do domu, to zupełnie jasne. I jego małżeństwo też normalne. Interesowały go przede wszystkim samochody i domek letni. Nie

karany. Zarabiał sporo, ale nie za wiele. Ci, co go znają, mówią, że prawdopodobnie przyjechał metrem z Östermalmstorg do Centralnego i tam przesiadł się w autobus. Czyli że musiał wsiąść przed domem towarowym Ahlena. Jego szef mówi, że był zdolnym fachowcem i dobrym kierownikiem. Personel warsztatu powiada, że...

- ... cisnął podwładnych, a podlizywał się szefom. Ja tam byłem i rozmawiałem z personelem. Następny.

- Alfons Schwerin, czterdzieści trzy lata, urodzony w Minneapolis w USA, z mieszanego małżeństwa szwedzko-amerykańskiego. Przyjechał do Szwecji zaraz po wojnie i został na stałe. Miał małe przedsiębiorstwo trudniące się importem karpackiej sosny na pudła rezonansowe, ale firma ogłosiła upadłość przed dziesięciu laty. Schwerin pił. Siedział dwa razy w Beckomberdze i trzy miesiące w Bogesund za prowadzenie wozu w stanie nietrzeźwym. Trzy lata temu. Kiedy firmę diabli wzięli,

157

został robotnikiem. Ostatnio pracował w zarządzie miasta. Przy naprawie jezdni. Tego wieczoru był w „Strzale” przy Bryggargatan i wracał stamtąd do domu. Nie wypił dużo, pewnie dlatego, że był bez grosza. Mieszkał bardzo nędznie. Prawdopodobnie z restauracji poszedł na przystanek

przy Vasagatan. Nieżonaty i nie miał w Szwecji krewnych, koledzy w pracy lubili go. Mówią, że był wesoły i miły, po kieliszku zabawny, i że nie miał ani jednego wroga.

- I widział tego, który strzelał, i zanim umarł, powiedział do Rónna coś niezrozumiałego. Czy dostaliśmy jakąś wypowiedź ekspertów co do tej taśmy?

- Nie. Mohammed Boussie, Algierczyk, zatrudniony w restauracji, trzydzieści sześć lat, urodzony w jakimś miejscu, którego nazwy, trudnej do wymówienia, nie pamiętam.

- Niedbalstwo.

- Od sześciu lat zamieszkały w Szwecji, przedtem w Paryżu. Bez zainteresowań politycznych, niezaangażowany w tym kierunku. Oszczędzał, miał konto bankowe. Znajomi mówią, że był nieśmiały i zamknięty w sobie. Skończył pracę o wpół do jedenastej i wracał do domu. Solidny, ale skąpy i nudny.

- Tak jakbyś siebie samego opisywał.

- Pielęgniarka Britt Danielsson, urodzona w tysiąc dziewięćset czterdziestym w Eslöv. Siedziała obok Stenstróma, ale nic nie wskazuje na to, że się znali. Lekarz, z którym chodziła, pracował tej nocy w szpitalu na Söder. Wsiadła prawdopodobnie przy Odeongatan, razem z wdową

Johansson, wracała do domu. Prosto z pracy poszła do
158

autobusu. Tu nie ma żadnego marginesu. Nie możemy
oczywiście być zupełnie pewni, że nie była ze Stenstrómem.
Kollberg potrząsnął głową.

- A cóż to za szansa — powiedział. - Dlaczego miałby
zajmować się tą mizerotą? Miał w domu wszystko, czego
mu było trzeba.

Melander spojrział na niego nierozumiejącym wzrokiem,
ale poniechał pytania.

- Teraz mamy Assarssona. Z wierzchu czyściutki, ale
pod spodem nie taki znów ozdobny.

Melander przerwał i zajął się fajką. Potem podjął na
nowo:

- Mocno podejrzana figura ten Assarsson. Dwa razy
skazany za fałszerstwa podatkowe i raz za obrazę obyczajów,
w początku lat pięćdziesiątych. Wykorzystał seksualnie
czternastoletnią dziewczynę, zatrudnioną w charakterze
gońca. Za każdym razem siedział w więzieniu. Pieniądzy
miał pod dostatkiem. W interesach był bezwzględny, we
wszystkich innych sprawach także. Wiele osób miało
powody, by go nie lubić. Nawet żona i brat uważali go za
godnego pogardy. Ale jedno jest jasne: motywy jego

obecności w autobusie. Wracał z czegoś w rodzaju zebrania na Narvavagen, a udawał się do kochanki, która nazywa się Olsson i mieszka przy Karlbergsvagen, pracuje w biurze Assarssona. Dzwonił do niej, zapowiedział się. Przesłuchiwalismy ją kilkakrotnie.

- Kto ją przesłuchiwał?
- Gunvald i Mansson. Każdy oddzielnie. Mówi, że...
- Chwileczkę. Dlaczego jechał autobusem?

159

- Prawdopodobnie dlatego, że wypił trochę i bał się prowadzić samochód. A taksówki nie mógł złapać przy takiej niepogodzie. Centrala taksówek nie przyjmowała zgłoszeń, nie było jednego wolnego wozu w całym śródmieściu.
- Okay. Co mówi ta damulka?
- Że Assarsson budził w niej obrzydzenie. Niewydolny, prawie zupełnie impotent. Że robiła to dla pieniędzy i żeby nie stracić pracy. Gunvald odniósł wrażenie, że to prawie prostytutka, flądra, dość tępa. Mówi też, że ona jest podobna do Zsa-Zsy Gabor, nie wiem, kto to taki.
- Pan Larsson i kobiety. Mógłbym napisać powieść pod takim tytułem.
- Manssonowi zeznała, że wyświadczała również

przysługi, tak to określa, klientom Assarssona. Na jego rozkaz. Assarsson urodził się w Göteborgu, a wsiadł przy Djurgardsbron.

- Dzięki, stary. Tak zaczynałaby się moja książka: „Urodził się w Göteborgu, a wsiadł przy Djurgardsbron”. Wspaniale.

- Każdy początek jest dobry - odpowiedział Melander niewzruszenie.

Martin Beck po raz pierwszy wtrącił się do rozmowy.

- A więc pozostaje tylko Stenstróm i ten nie rozpoznany.

- Tak — rzekł Melander. — O Stenstrómie wiemy tylko, że jechał do Djurgarden, dość dziwne. I że miał przy sobie broń. O nie rozpoznanym wiemy tylko, że był narkomanem w wieku od trzydziestu pięciu do czterdziestu lat. Nic więcej.

160

- Obecność wszystkich pozostałych w autobusie była umotywowana - powiedział Martin.

- Tak.

- Wyjaśniliśmy, dlaczego się tam znajdowali.

- Tak.

- Nadszedł więc moment, by zadać klasyczne już pytanie - rzekł Kollberg. - Co Stenstróm robił w tym

autobusie?

- Trzeba pomówić z dziewczyną — powiedział Martin Beck.

- Z Asą Torell? Przecież sami z nią rozmawialiście.

I potem była jeszcze raz przesłuchiwana.

- Kto ją przesłuchiwał? - spytał Martin Beck.

- Rónn, przeszło tydzień temu.

- Tylko nie Rónn — powiedział Martin do siebie.

- Co masz na myśli? - spytał Melander.

- Rónnowi nic nie można zarzucić — odpowiedział

Martin - tylko on nie bardzo się wyznaje, w czym rzecz

w tym wypadku. A poza tym on nie miał ścisłego kontaktu ze Stenstrómem.

Kollberg i Beck długo spoglądali na siebie w milczeniu,

aż wreszcie Melander przerwał ciszę:

- No? Więc co Stenstróm robił w tym autobusie?

- Miał się tam spotkać z dziewczyną - powiedział

Kollberg niechętnie. — Albo z kapusiem.

Rola Kollberga w tego rodzaju przeglądach polegała

zawsze na przeciwstawianiu się, ale tym razem robił to bez przekonania.

- Zapominasz o jednym — rzekł Melander. — Od

dziesięciu dni obniuchujemy każdy kąt na tym terenie.

I nie znaleźliśmy nikogo, kto by przed wypadkiem słyszał o Stenstrómie.

- To o niczym nie świadczy. W tej części miasta pełno najdziwniejszych melin i podejrzanych lokali, w takich miejscach policjant nie jest popularny.

- Teorię przyjaciółki możemy w każdym razie pominąć, jeżeli chodzi o Stenstróma - powiedział Martin Beck.

- Z jakiego powodu? — natychmiast odparował Kollberg.

- Nie wierzę w nią.

- Przyznasz jednak, że jest prawdopodobna.

- Tak.

- Okay. A więc pomińmy ją. Chwilowo.

- Pytaniem zasadniczym więc byłoby: co Stenstróm robił w tym autobusie? — Powiedziawszy to Martin Beck natychmiast spotkał się z przeciwpytaniem:

- A co tam robił ten nie rozpoznany?

- Tego możemy chwilowo zostawić w spokoju.

- Wcale nie. Jego obecność tam jest równie godna uwagi, jak obecność Stenstróma. Ponadto nie wiemy, kto to był, w jakiej sprawie udawał się i gdzie.

- Po prostu jechał autobusem.

- Po prostu jechał?
- Tak. Wielu nie mających mieszkania tak postępuje.
Za koronę można przejechać dwie trasy. Parę godzin jeździć.
- W metrze cieplej — zauważył Kollberg. - I metrem można jeździć, ile się żywnie podoba, byle nie wychodzić z tunelu, tylko przesiadać się z pociągu na pociąg.

162

- Owszem, ale...
 - Zapominasz o jednej ważnej rzeczy. Ten nie rozpoznany miał nie tylko okruchy haszyszu i innych narkotyków w kieszeniach. Miał też więcej pieniędzy niż wszyscy pozostali pasażerowie razem wzięci.
 - Co wyklucza podejrzenie, że chodziło o rabunek
 - wtrącił Melander.
 - Nie zapominajmy - rzekł Martin Beck - że, jak sam powiedziałaś, ta część miasta jest nafaszerowana melinami i pensjonacikami specjalnego rodzaju. Może mieszkał w której z tych dziur. Nie, wracajmy do zasadniczego pytania. Co Stenstróm robił w autobusie?
- Dobłą minutę siedzieli milcząco. W pokoju obok dzwoniły telefony. Od czasu do czasu słyszeli głosy, Gunvalda Larssona czy Rónna. W końcu Melander spytał:
- A co Stenstróm potrafił?

Wszyscy trzej znali odpowiedź. Melander kiwnął głową i sam sobie odpowiedział:

- Stenstróm potrafił śledzić.
- Tak - powiedział Martin Beck. - To była jego specjalność. W tym był zręczny i uparty. Potrafił tygodniami za kimś chodzić.
- Pamiętam, jak do szaleństwa doprowadził tego mordercę seksualnego z promu na Gota Kanał, cztery lata temu.
- Zaszczuł go - powiedział Martin Beck.

Nikt nie zaprzeczył.

- Już wtedy potrafił to robić. A potem nauczył się to robić znacznie lepiej - stwierdził Martin Beck.

163

— A czyś ty w końcu spytał Hammara - ożywił się nagle Kollberg - czym się Stenstróm zajmował latem, kiedyśmy badali nie wyjaśnione wypadki?

— Tak — powiedział Martin Beck. - Ale nic z tego nie wyszło. Stenstróm był u Hammara, rozmawiali o tym.

Hammar proponował mu parę spraw, jakich, już nie pamięta, ale odpadły ze względu na odległość w czasie. Nie dlatego, że wypadki były za stare, tylko Stenstróm był za młody. Nie chciał czegoś, co zdarzyło się, kiedy miał

dziesięć lat i bawił się jeszcze na ulicach Hallstahammar w złodziei i policjantów. Ostatecznie zdecydował się na rozpracowanie tego zaginionego, którym i ty się zajmowałeś.

— Nigdy o tym nie wspomniał - powiedział Kollberg.

— Widocznie poprzestał na tym, co było na piśmie.

— Przypuszczalnie.

Milczenie, które znowu przerwał Melander. Wstał pytając:

— No, i do czego doszliśmy?

— Prawdę mówiąc nie wiadomo — stwierdził Martin Beck.

— Przepraszam - powiedział Melander i wyszedł do toalety.

Gdy zamknęły się za nim drzwi, Kollberg spojrzał na Martina i powiedział:

— Kto pójdzie do Asy?

— Ty. To jest zajęcie dla jednej osoby i ty się najlepiej do tego nadajesz.

Kollberg nie odpowiedział.

— Nie chcesz? - spytał Martin.

164

- Nie chcę. Ale pójdę.

- Dziś wieczorem?

- Tylko mam dwie rzeczy do załatwienia przedtem.

Jedną w Vastberdze i jedną w domu. Zadzwoń do niej i powiedz, że przyjdę koło wpół do ósmej.

W godzinę później Kollberg był w swoim mieszkaniu przy Palandergatan. Dochodziła piąta, ale ściemniło się już od dawna.

Żona — ubrana w stare dżinsy i kraciatą flanelową koszulę — zajęta była malowaniem kuchennych krzeseł.

Koszula była kiedyś jego, ale dawno ją wyrzucił. Gun podwinęła rękawy i niedbale przewiązała poły. Ręce i nogi, a nawet czoło usmarowane miała farbą.

- Rozbierz się — powiedział.

Znieruchomiła z podniesionym pędzlem w ręce i przyjrzała mu się badawczo.

- Bardzo ci się spieszy — powiedziała drwiąco.

- Tak.

Od razu spoważniała.

- Zaraz musisz wyjść?

- Tak, mam przesłuchanie.

Kiwnęła głową, włożyła pędzel do puszeki z farbą i wytarła ręce.

- Asy, to będzie okropne.

- Potrzebna ci szczepionka?

- Tak.
- Upaćkasz się farbą- powiedziała rozpinając koszulę.

165

XX

Przed jednym z domów na Klubbacken w Hagersten ośnieżony mężczyzna usiłował odczytać coś z kartki. Kartka już zamokła i pismo zaczęło się zamazywać, a niełatwo było dojrzeć tekst przy śnieżycy i słabym świetle latarni ulicznych. Wyglądało jednak na to, że wreszcie trafił. Otrząsnął się jak zmokły pies i wszedł na schodki, zadzwonił, strzepnął śnieg z kapelusza i trzymając go w ręku czekał.

Drzwi się uchyliły i wyjrzała przez nie kobieta w średnim wieku, w fartuchu, z umączonymi rękami.

- Policja - powiedział zachrypniętym głosem. Odchrząknął i dodał: — Starszy asystent Nordin.

Kobieta spojrzała lękliwie.

- Ma pan legitymację? - powiedziała wreszcie. — To znaczy...

Westchnął. Przełożył kapelusz do lewej ręki, rozpiął ulster i marynarkę, wyjął portfel, a z portfela kartę tożsamości.

Kobieta przyglądała się tej procedurze z takim strachem, jakby oczekiwała, że wydobędzie bombę, karabin maszyno-

wy albo coś nieprzyzwoitego.

Nie wypuścił karty z ręki, a ona przyjrzała się jej przez szparę w uchylonych drzwiach.

- A czy taj niacy nie mają takich tabliczek? — powiedziała z wahaniem.

- Owszem, mam tabliczkę - odrzekł melancholijnie.

Znacek służbowy nosił w bocznej kieszeni i zastanawiał się, jak go wydostać, nie wkładając na głowę kapelusza.

166

- Chociaż może być i to - zdecydowała się kobieta.

- Z Sundsvall? To pan aż z Norrlandii przyjechał, żeby ze mną pomówić?

- Mam tu w mieście jeszcze kilka innych spraw do załatwienia.

- Tak, przepraszam, ale rozumie pan, uważam...

Urwała.

- Co pani uważa?

- Że w obecnych czasach trzeba być bardzo ostrożnym.

Nigdy nie wiadomo...

Nordin zastanawiał się, co zrobić z kapeluszem. Śnieg padał mu na głowę, płatki topniały na łysinie. Nie mógł przecież tak stać z kartą tożsamości w jednej ręce i kapeluszem w drugiej. Może trzeba będzie coś zanotować. Włożyć

kapelusz na głowę byłoby najpraktyczniej, ale z drugiej strony wyglądałoby nieuprzejmie. A położyć kapelusz na schodku byłoby wręcz głupio. Może poprosić, żeby go wpuściła. Tylko, że to znaczyłoby zmusić tę kobietę do powzięcia decyzji, a jeżeli ją trafnie ocenił, zdecydowanie się na cokolwiek zajęłoby jej sporo czasu.

Nordin pochodził z okolic, w których każdego obcego wpuszcza się do kuchni, sadza przy piecu, żeby się ogrzał, i częstuje filiżanką kawy, należy to po prostu do obowiązków. Piękny i praktyczny zwyczaj, pomyślał. Choć może nie nadający się do zastosowania w wielkich miastach. Skupił się i powiedział:

- Pani dzwoniła, wspominając coś o jakimś mężczyźnie i o garażu, prawda?

- Bardzo mi przykro, że trudziłam...

167

— Cóż znowu, ogromnie jesteśmy wdzięczni.

Kobieta odwróciła się do wnętrza mieszkania, niemal zupełnie zamykając drzwi. Niepokoiła się pewnie o pierniczki, które piekła, sądząc po zapachu.

— Przemili ludzie - mruknął Nordin do siebie.

- Ujmująco grzeczni. Wytrzymać trudno.

Kobieta uchylła drzwi.

— Pan coś mówił?

— Więc ten garaż...

— Tam.

Spojrzał we wskazanym kierunku.

— Nic nie widzę.

— Ale z piętra widać.

— A ten mężczyzna?

— Tak dziwnie wyglądał. A teraz go nie widuję od paru tygodni. Niski, czarny.

— Czy pani stale ma pod obserwacją ten garaż?

— No, widać go z okna sypialni...

. Zaczerwieniła się. Co ja za błąd popełniłem, pomyślał Nordin.

— Cudzoziemiec ma ten garaż. Mnóstwo podejrzanych typów tam się kręci. I człowiek chciałby wiedzieć...

Trudno byłoby osądzić, czy urwała, czy też mówiła dalej tylko tak cicho, że Nordin nie mógł dosłyszeć ani słowa.

— I co osobliwego było w tym niewysokim, ciemnym mężczyźnie?

— Jak by to... śmiał się.

— Śmiał się?

— Tak, bardzo głośno.

- Nie wie pani, czy teraz jest ktoś w garażu?
- Przed chwilą się tam świeciło. Jak byłam na górze i patrzyłam.

Nordin westchnął i włożył kapelusz.

- Pójdę tam, dowiem się. Dziękuję pani.
- Nie chce pan... wejść?
- Nie, dziękuję.

O jakiś decymetr szerzej otworzyła drzwi, spojrzała na niego badawczo i chciwie spytała:

- Czy jest jakaś zapłata?
- Za co?
- A... bo ja wiem.
- Do widzenia.

Począpiał we wskazanym kierunku. Wydawało mu się, że ma na głowie mokry okład. Kobieta natychmiast zamknęła drzwi, teraz była już pewnie na piętrze, na stanowisku przy oknie w sypialni.

Garaż był budynkiem wolno stojącym o eternitowych ścianach i dachu z blachy falistej. Mały, mógł pomieścić najwyżej dwa samochody. Nad drzwiami paliła się żarówka. Nordin otworzył jedną połowę drzwi i wszedł.

Wewnątrz stała zielona Skoda Oktavia, model z 1959 roku. Jeżeli nie jest zupełnie zajędzona, można by za nią

dostać ze czterysta koron, pomyślał Nordin, który większą część czasu przepracowanego w policji poświęcił pojazdowi motorowemu i mętnym aferom z nimi związanym. Pod podwoziem zupełnie nieruchomo leżał mężczyzna. Widać było tylko nogi w niebieskim kombinezonie.

Trup, pomyślał Nordin. Złodowaciał. Zapomniał o

169

Sundsvall i Hjoggbóle, gdzie się urodził i wyrósł, podszedł do samochodu i trącił leżącego nogą.

Mężczyznę pod samochodem rzuciło, jakby go prąd elektryczny przeniknął, wypełził spod wozu i wstał.

Trzymając w ręku lampę na sznurze, wytrzeszczył oczy na gościa.

- Policja — powiedział Nordin.

- Papiery mam w porządku — odpowiedział tamten od razu.

- Tego jestem pewien - rzekł Nordin.

Właściciel garażu był człowiekiem około trzydziestki, szczupłym, o ciemnych oczach, kędzierzawych włosach i dobrze utrzymanych bokobrodach.

- Włoch? - spytał Nordin, który nie bardzo wyznawał się w cudzoziemskich akcentach, rozróżniał tylko fiński.

- Szwajcar. Z niemieckiej Szwajcarii. Z kantonu

Gryzonia.

- Dobrze mówisz po szwedzku.
- Mieszkam tu sześć lat. O co chodzi?
- Chcielibyśmy mieć kontakt z jednym z twoich przyjaciół.
- Z kim?

Nordin przyglądając mu się powiedział:

- Niższy od ciebie, trochę cięższy. Ciemnowłosy, oczy piwne. Włosy dość długie. Ze trzydzieści lat. Nie wiemy, jak się nazywa.

Tamten potrząsnął głową.

- Nie mam kolegi tak wyglądającego. Nie znam tyle ludzi.

170

- Zbyt wielu ludzi - poprawił Nordin przyjaźnie.
- Tak. Zbyt wielu ludzi.
- Słyszałem jednak, że tu sporo osób bywa.
- Przyjeżdżają samochodami. Chcą, żeby coś zreperować. - Pomyślał chwilę i wyjaśnił: - Jestem od reperacji.

Pracuję w warsztacie na Ringvagen. Teraz tylko do południa. Wszyscy Niemcy i Austriacy wiedzą, że mam ten garaż, więc przyjeżdżają, żebym im coś naprawił gratis. Często wcale ich nie znam. Tylu ich jest w Sztokholmie.

- Ten, z którym chcemy się skontaktować — powiedział Nordin - nosił czarny nylonowy płaszcz i beżowe ubranie.
- Nic mi to nie mówi. Nie przypominam sobie kogoś takiego. Na pewno.
- A jakich masz kolegów?
- Przyjaciół? Paru Niemców i Austriaków.
- A czy któryś z nich był tu dzisiaj?
- Nie. Wiedzą, że jestem zajęty. Robię przy nim dzień i noc. — Ociekającym smarem palcem wskazał samochód i powiedział: - Muszę go wyszykować do Bożego Narodzenia, żeby pojechać do domu, do rodziców.
- Do Szwajcarii?
- Tak.
- To nie będzie łatwe.
- Nie. Zapłaciłem za ten samochód tylko sto koron. Ale ja go doprowadzę do porządku. Dobry ze mnie fachowiec.
- Jak się nazywasz?
- Horst. Horst Dicke.
- A ja Ulf. Ulf Nordin.

171

Szwajcar pokazał w uśmiechu zdrowe, białe zęby.

Robił wrażenie miłego, przyzwoitego młodego człowieka.

- A więc, Horst, nie wiesz, kogo mam na myśli?

Dicke potrząsnął głową.

- Przykro mi, ale nie.

Nordin wcale nie czuł się zawiedziony. Prawdę mówiąc zaklepał tylko puste miejsce, jak tego wszyscy oczekiwali. Gdyby nie było tak źle z wszelkimi poszlakami, wcale by nie wykorzystano tej informacji. Nie spieszył się jednak z zakończeniem, nie było mu pilno do metra z rojowiskiem nieuprzejmych ludzi w wilgotnych ubraniach. Szwajcar najwyraźniej chciał dopomóc. Spytał:

— I nic więcej? No, o tym człowieku?

Nordin po namyśle powiedział:

— Śmiał się. Głośno.

Tamtemu twarz pojaśniała.

— To już chyba wiem. Śmiał się o tak.

Dicke otworzył usta i wydał bekliwy dźwięk, ostry i przenikliwy jak krzyk bekasa.

Było to tak zaskakujące, że Nordin potrzebował dłuższej chwili, by się otrząsnąć. Ze znacznym opóźnieniem powiedział:

- Może.

— Tak, tak - rzekł Dicke. - Już teraz wiem, o kim

myślisz. Niewysoki, ciemny facet.

Nordin nastawił uszu.

- Był tu ze cztery, pięć razy. Może więcej. Ale jego nazwiska nie znam. Przyszedł z Hiszpanem, który chciał

172

mi sprzedać zapasowe części. Tamten wiele razy przychodził.

Ale nie kupiłem.

- Dlaczego?

- Za tanio. Pewnie kradzione.

- A jak się ten Hiszpan nazywał?

Dicke wzruszył ramionami.

- Nie wiem. Paco. Pablo. Paquito. Coś takiego.

- A jaki on miał wóz?

- Dobry. Volvo Amazoni. Biały.

- A ten, co się śmiał?

- Tego nie wiem. On przyjeżdżał z tamtym. Wyglądał na pijanego. Ale nie prowadził przecież wozu.

- To też był Hiszpan?

- Chyba nie. Może Szwed. Nie wiem.

- Kiedy on tu był ostatnio?

- Trzy tygodnie temu. Może dwa. Nie pamiętam dokładnie.

- A tego Hiszpana widziałeś od tego czasu? Tego

Paco, czy jak mu tam?

- Nie. On pewnie wrócił do Hiszpanii. Potrzebował pieniędzy. Dlatego chciał sprzedać. Tak przynajmniej mówił. Nordin znowu się zastanowił.

- Mówisz, że wyglądał na pijanego ten facet. A może on był odurzony? Po narkotyku?

Wzruszył ramionami.

- Nie wiem. Mnie się wydawało, że musiał pić wódkę. Chociaż. Narkoman? Dlaczego nie? Tu prawie wszyscy są. Jak nie kradną, to siedzą w mecie. No nie?

- A nie wiesz, jak on się nazywał albo jak go nazywano?

173

- Nie. Ale parę razy w samochodzie była dziewczyna.

Z nim była. Wysoka. Wielkie blond włosy.

- A ona jak się nazywa...

- Nie wiem. Ale na nią mówią...

- Właśnie. Jak na nią mówią?

- Blond Malin. Tak mi się zdaje.

- A skąd wiesz?

- Ja ją już przedtem widziałem w mieście.

- Gdzie w mieście?

- W lokaliku przy Tegnergatan. Blisko Sveavagen.

Tam chodzą wszyscy cudzoziemcy. Ona jest Szwedka.

- Kto, Blond Malin?

- Tak.

Nordin żadnego pytania więcej nie mógł wymyślić.

Przyjrzał się uważnie zielonemu samochodowi i powiedział:

- Mam nadzieję, że dojedziesz do domu bez trudności.

Dicke uśmiechnął się swym zaraźliwym uśmiechem.

- Tak, chyba będzie dobrze.

- A kiedy wrócisz?

- Nigdy.

- Nigdy?

- Szwecja zły kraj. Sztokholm złe miasto. Tylko gwałt, narkotyki, złodzieje, wódka.

Nordin nie odpowiedział. Bo z tą ostatnią opinią zgadzał się na ogół.

- Marnie - streścił Szwajcar. - Tylko łatwo zarobić tu cudzoziemcowi. Reszta beznadziejne. Mieszkam w jednym pokoju z trzema innymi. Płacę czterysta koron miesięcznie. Czysty rozbój. Świństwo. Dlatego że nie ma mieszkań.

174

Tylko bogaci i przestępcy mogą chodzić do restauracji, jeść. Zaoszczędziłem. Mam pieniądze. Jadę do domu, kupię własny warsztat i ożenię się.

- A tu nie spotkałeś jakiej dziewczyny?

- Szwedzkiej dziewczyny nie można mieć. Student albo ktoś może chodzić z lepszą dziewczyną. A zwyczajny robotnik tylko taki gatunek. Jak ta Blond Malin.

- Co to znaczy, taki gatunek?

- Kurwy.

- Chodzi ci o to, że nie chcesz dziewczynom płacić?

Horst Dicke wydał usta.

- Dużo jest gratis. A kurwy. Gratisowe kurwy.

Nordin potrząsnął głową.

- Widziałeś tylko Sztokholm, Horst. Szkoda.

- A reszta jest lepsza?

Nordin przytaknął z zapalem. Potem powiedział:

- A o tym facecie nic więcej nie pamiętasz?

- Nie. Tylko że się śmiał. O tak.

Dicke otworzył usta i znowu beknął przenikliwie i ostro.

Nordin kiwnął mu głową i odszedł.

Pod najbliższą latarnią przystanął i wyjął notes.

- Blond Malin - mrucał do siebie. - Mety. Gratisowe kurwy. Co ja za zawód wybrałem.

Choć to nie moja wina, myślał. Ojciec mnie zmusił.

Nadchodził jakiś mężczyzna. Nordin uchylił przysypanego śniegiem kapelusza i powiedział:

- Przepraszam, czy mógłby pan...

Przechodzień obrzucił go szybkim nieufnym spojrzeniem, skurczył się i przyspieszył kroku.

175

- ...powiedzieć, w której stronie jest stacja metra
—dokończył Nordin cichutko i nieśmiało do wirującej śnieżycy.
Potem potrząsnął głową i zapisał na kartce kilka słów.
Pablo vel Paco. Biały Volvo. Lokal przy Tegnergatan.
Śmiech. Blond Malin. Gratisowa kurwa.
Schował ołówek i notes i wyszedł z kręgu światła.

XXI

Kollberg stał przed drzwiami mieszkania Asy Torell na drugim piętrze domu przy Tjarhovsgatan. Była już ósma wieczór i mimo wszystko czuł się smutny i niepewny. W prawej ręce trzymał ową kopertę znaną w biurku służbowym.

Biała kartka z nazwiskiem Stenstróma wciąż jeszcze była przypięta nad mosiężną tabliczką.

Dzwonek nie działał, więc swoim zwyczajem załomotał w drzwi pięścią. Asa Torell otworzyła natychmiast.

Spojrzała na niego i powiedziała:

— Jestem przecież. Nie trzeba od razu wywalać drzwi.

— Przepraszam — powiedział Kollberg.

W mieszkaniu było ciemno. Zdjął płaszcz i zapalił

lampę w przedpokoju. Stara policyjna czapka leżała na półce nad wieszakiem, tak jak za poprzednim razem.

Przewód od dzwonka, przecięty, kołysał się nad drzwiami.

Asa Torell idąc za jego wzrokiem mruknęła:

176

- Pchało się tu mnóstwo idiotów. Dziennikarzy, fotografów i kto ich tam wie. Dzwonili do drzwi bez ustanku.

Kollberg nie odpowiedział, wszedł do pokoju, usiadł na jednym z taboretów.

- Nie mogłabyś zapalić światła? Nic nie widać.

- Ja widzę zupełnie dobrze. Ale oczywiście, proszę bardzo, proszę, mogę zapalić.

Przekręciła wyłącznik, ale nie usiadła. Krążyła po pokoju, jak więzień, ogarnięty obsesją wydostania się na swobodę.

Powietrze w mieszkaniu było ciężkie i zatęchłe.

Popielniczka od wielu dni nie opróżniana. W ogóle pokój wyglądał na nie sprzątnięty, a przez otwarte drzwi sypialni widać było nie zasłane łóżko i rozkopaną pościel. Już z przedpokoju zapuścił spojrzenie do kuchni, gdzie piętrzyły się nie pozmywane garnki i talerze.

Potem przyjrzał się kobiecie. Wciąż chodziła od okna na ukos przez cały pokój, do drzwi sypialni. Na parę sekund przystawała wpatrując się w łóżko, i znów szła do okna. Tak raz po raz.

Wciąż musiał odwracać głowę, to w jedną, to w drugą stronę żeby podążyć za nią spojrzeniem. Jak na meczu tenisowym.

W ciągu dziewiętnastu dni, jakie minęły od czasu, gdy ją ostatni raz widział, Asa Torell bardzo się zmieniła. Miała na sobie te same albo takie same szare grube skarpetki i czarne spodnie. Ciemne włosy krótko obcięte, twarz kamienna.

177

Tyle tylko że na spodniach miała plamy i resztki popiołu, a włosy nie uczesane, wręcz zmierzwione. Pod oczyma miała ciemne kręgi, a usta suche i spękane. Ręce jej się trzęsły, a wewnętrzna strona wskazującego i środkowego palca były zupełnie brązowe od nikotyny. Paliła duńskie papierosy cecil. Ake Stenström nigdy nie palił.

- No więc czego chcesz? - powiedziała nieprzyjaźnie.

Podeszła do stołu, wytrząsnęła papierosa z paczki, zapaliła rozdygotanymi rękami, a palącą się jeszcze zapałkę rzuciła na podłogę. Potem sama sobie odpowiedziała:

- Oczywiście nic. Tak samo jak tamci idioci. Jak Rónn, który dwie godziny tu siedział i kiwał głową. Kollberg milczał.
- Telefon też każe zamknąć - powiedziała bez żadnego przejścia.
- Nie pracujesz?
- Mam zwolnienie lekarskie. Głupie to — dodała.
- Firma ma lekarza zakładowego. Powiedział, że powinnam z miesiąc wypocząć na wsi albo nawet wyjechać za granicę. I dał mi zwolnienie.

Zaciągnęła się papierosem i strząsnęła popiół, po większej części obok popielniczki.

- Już trzy tygodnie temu. Dużo lepiej byłoby, gdybym mogła pracować jak zwykle.

Urwała, podeszła do okna i wyjrzała na ulicę, mnąc w palcach firankę.

- Jak zwykle — powiedziała do siebie.

Kollberg niespokojnie kręcił się na stołku. Gorzej to się przedstawiało, niż oczekiwał.

178

- Czego chcesz? - spytała nie odwracając głowy.
- Powiedz wreszcie. Mów coś.

W jakiś sposób musiał przełamać dzielącą ich barierę.

Ale jak?

Kollberg podszedł do półki z książkami i popatrzywszy na grzbiety książek wyjął jeden z tomów. Była to stara książka. Wendela i Svenssona „Poradnik sposobów badania miejsca zbrodni”. Wydana w 1947 roku. Przejrzał tytułowe strony i przeczytał:

Książkę tę wydano w ograniczonej liczbie numerowanych egzemplarzy, z których numer 2080 przeznaczony jest dla posterunkowego 'Lennarta Kollberga. Książka ma służyć policjantom

w trudnej i odpowiedzialnej pracy nad badaniem miejsca zbrodni.

Zawartość jej jest poufna i uprasza się posiadaczy o przestrzeganie,

by książka nie trafiła w niewłaściwe ręce.

Słowa „posterunkowego Lennarta Kollberga” sam wpisał w odpowiednim miejscu przed wielu laty. Była to dobra książka i w czasie gdy się ukazała, miał z niej duży pożytek.

- To moja stara książka — powiedział.
- Więc zabierz ją sobie.
- Nie. Dałem ją Akemu parę lat temu.
- Aha. Więc w każdym razie nie ukradł jej.

Przeglądał dalej książkę zastanawiając się, co by tu

zrobić czy powiedzieć. Tu i ówdzie były podkreślenia a w dwóch miejscach notatki porobione na marginesie długopisem. W obu wypadkach w rozdziale pod tytułem „Morderstwo erotyczne”.

Morderca erotyczny (sadysta) jest często impotentem i czyn 179

przestępczy wynika u niego ze wzmożonego pożądanja, by osiągnąć

Zaspokojenie seksualne.

Ktoś, zapewne Stenström podkreślił to zdanie. Nieco niżej na tej samej stronie, zaczynającej się od słów:

W wypadku morderstwa erotycznego ofiara zostaje Zabita podkreślone były dwa punkty, mianowicie 4) po akcie seksualnym, żeby zapobiec zdemaskowaniu 5) w wyniku szoku.

Na marginesie uwaga: 6) żeby usunąć ofiarę, ale czy to jest morderstwo erotyczne?

- Asa - powiedział Kollberg.
- No, czego chcesz?
- Wiesz, kiedy Ake to napisał?

Podeszła, szybko zerknęła na książkę i powiedziała:

- Pojęcia nie mam.
- Asa — powtórzył.

Wrzuciła na pół wypalonego papierosa do pełnej

popielniczki i stała przy stole z rękami splecionymi na brzuchu.

- Czego ty na litość boską chcesz?

Kollberg przyjrzał się jej. Mała była i mizerna. Dziś miała na sobie zamiast swetra bluzkę bez rękawów wyrzuconą na spodnie. Gołe ramiona pokrywała gęsia skórka, a choć bluzka wisiała na chudym ciele jak draperia, sutki piersi ostro zaznaczały się pod materiałem.

- Usiądź - powiedział.

Wzruszyła ramionami, wyjęła nowego papierosa i manipulując popielniczką podeszła do drzwi sypialni.

- Siadaj - wrzasnął Kollberg.

Drgnęła i popatrzyła na niego. W wielkich ciemnych
180

oczach ukazał się błysk nienawiści. Podeszła jednak i usiadła w fotelu naprzeciw niego. Siedziała sztywno wyprostowana, opierając ręce o uda. W jednej ręce trzymała zapalniczkę, w drugiej nie zapalony papieros.

— Wykładamy karty na stół.

Powiedziawszy to Kollberg z zażenowaniem zerknął na brązową kopertę i zadumał się nad tym, jak niefortunne sformułowanie wybrał.

— Znakomicie — powiedziała krystalicznie wyraźnym

głosem. — Tylko ja żadnych kart do wyłożenia nie mam.

— Ale ja mam.

— No więc?

— Poprzednim razem nie byliśmy z tobą zupełnie szczerzy.

Zmarszczyła gęste ciemne brwi.

— Pod jakim względem?

— Pod różnymi. Przede wszystkim chciałbym ci zadać pytanie, czy wiesz, co Ake robił w tym autobusie.

— Nie, nie i jeszcze raz nie, pojęcia nie mam.

— My też nie - stwierdził Kollberg. Urwał i odetchnąwszy dodał: - Ake cię okłamywał.

Reakcja była gwałtowna. Oczy jej zabłyśły. Zacisnęła ręce. Grudki tytoniu ze zgniecionego papierosa posypały się na spodnie.

— Jak śmiesz mi to mówić.

— Bo to prawda. Ake nie był na służbie ani tego poniedziałku, kiedy został zabity, ani w sobotę poprzedniego tygodnia. W ogóle prawie ciągle miał wolne przez cały październik i dwa pierwsze tygodnie listopada.

181

Wpatrywała się w niego bez słowa.

- To są fakty - mówił Kollberg. - Druga rzecz, którą

chciałbym wiedzieć: czy on miał zwyczaj nosić przy sobie pistolet, kiedy nie był na służbie?

Minęła dobra chwila, nim odpowiedziała.

— Wynoś się do diabła i nie dręcz mnie swoją techniką przesłuchań. Dlaczego nie przyjdzie tu sam prowadzący śledztwo we własnej osobie, Martin Beck?

Kollberg zagryzł wargi.

- Dużo płakałaś.

- Nie. Nie mam w zwyczaju.

- No więc odpowiedz mi. Musimy sobie pomagać.

- W czym?

— W ujęciu tego, kto go zabił. I tych innych.

— Dlaczego?

Chwilę siedziała cicho. A potem powiedziała tak niewyraźnie, że ledwo ją słyszał:

— Zemsta. Owszem, dlaczego nie. Zemścić się.

— Zabierał z sobą pistolet?

— Tak. W każdym razie często.

— Dlaczego?

- A dlaczego nie miał zabierać? W końcu okazało się, że był mu potrzebny. No nie?

Kollberg nie odpowiedział.

— Choć mu to nie pomogło — dodała.

Kollberg znowu nic nie powiedział.

- Kochałam Akego. - Powiedziała to głosem jasnym i pewnym, patrząc w jakiś punkt nad głową Kollberga.

- Asa?

182

- Tak.

- A więc często wychodził. Nie wiesz, czym się zajmował i my też nie wiemy. Czy myślisz, że mógł być z kimś innym? Z jakąś kobietą?

- Nie.

- Nie przypuszczasz?

- Ja wiem.

- Skąd możesz wiedzieć?

- To nikogo prócz mnie nie obchodzi. Wiem.

Nagle spojrzała mu prosto w oczy ze zdumieniem.

- Co wy sobie wyobrażacie? Że miał kochankę?

- Tak. W dalszym ciągu liczymy się z tą możliwością.

- To możecie przestać. Absolutnie wykluczone.

- Dlaczego?

- Już powiedziałam, że to nikogo nie obchodzi.

Kollberg zabębnił palcami w stół.

- Jesteś jednak pewna?

- Tak. Zupełnie pewna.

Znowu zaczerpnął tchu jak przed rozbiegiem.

- Czy Ake interesował się fotografią?

- Tak. Było to jego jedyne hobby od czasu, jak skończył z kopaniem piłki. Miał trzy aparaty. Powiększalnik stoi na sedesie. To znaczy w łazience. Miał tam ciemnię.

Ze zdziwieniem spojrzała na Kollberga.

- Dlaczego o to pytasz?

Posunął ku niej kopertę. Odłożyła zapalniczkę i wyciągnęła zdjęcia drżącymi rękami. Spojrzała na pierwsze z wierzchu i krew jej uderzyła do twarzy.

- Skąd... Skąd tyś to wziął?

183

- Były w jego biurku, w Vastberdze.

- Co? W biurku?

Przymknęła oczy i nieoczekiwanie spytała:

- Ilu was widziało je? Wszyscy?

- Tylko trzy osoby.

- Kto?

- Martin, ja i moja żona.

- Gun?

- Tak.

- A dlaczego jej pokazałeś?

- Dlatego, że miałem tu przyjść. Chciałem, żeby

widziała jak wyglądasz.

- Jak ja wyglądam? I jak my wyglądamy? Ake i ...

- Ake nie żyje - powiedział Kollberg bezdźwięcznie.

Wciąż była czerwona. Nie tylko na twarzy. Również szyja i ramiona jej poczerwieniały. Drobnutkie krople potu wystąpiły jej na czoło.

- Zdjęcia są robione tu w domu - powiedział.

Przytaknęła.

- Kiedy?

Asa Torell nerwowo gryzła usta.

- Ze trzy miesiące temu.

- Zakładam, że to on je robił.

- Oczywiście. On ma... miał wszystko, co trzeba.

Samowyzwalacz i statyw i jak to się tam nazywa.

- I po co je zrobił?

- Wciąż była czerwona i spotniała, ale głos miała pewniejszy.

- Uważaliśmy, że to zabawne.

184

— A dlaczego miał je w biurku? - Kollberg urwał i dodał po chwili: - Bo poza tym nie miał w pokoju żadnego prywatnego drobiazgu. Tylko te fotografie. Długie milczenie. Wreszcie potrząsając głową powie-

działa:

— Tego nie wiem.

Pora zmienić temat, pomyślał Kollberg i powiedział:

— On zawsze chodził z pistoletem?

— Prawie.

— Dlaczego?

— Odpowiadało mu to. Ostatnio. Interesował się bronią palną.

Nad czymś się zastanawiała. Potem szybko wstała i wyszła. Widział przez korytarzyk, jak podchodzi w sypialni do łóżka. U wezłowania leżały dwie złączone z sobą poduszki. Sięgnęła pod jedną z nich i powiedziała z wahaniem:

— Mam tu taką zabawkę... pistolet...

Tusza i flegmatyczny wygląd Kollberga niejednego już w błąd wprowadziły przy różnych okazjach. Był doskonale wytrenowany i miał bardzo szybki refleks.

Asa Torell jeszcze była pochylona nad łóżkiem, kiedy znalazł się przy niej i wyrwał jej broń z ręki.

— To nie jest pistolet - powiedział. - To amerykański rewolwer. Colt czterdziestkapiątka z długą lufą. Nazywają go absurdalnie peacemaker. W dodatku naładowany i odbezpieczony.

— Jak bym nie wiedziała - mruknęła.

Opróżnił magazynek. Wyjął naboje.

185

- W dodatku kule rowkowane. Nawet w Ameryce jest to zabronione. Najgroźniejsza broń ręczna. Można z niej słonia zabić. Jeżeli strzelać do człowieka z odległości pięciu metrów, kula wybijie dziurę wielkości talerza i odrzuci ciało o dziesięć metrów. Skąd to u licha wzięłaś? Wzruszyła ramionami, zmieszana.

- Ake. On to zawsze miał.

- W łóżku?

Potrząsnęła głową i powiedziała cicho:

- Nie. Skąd. To ja... teraz...

Wsunął naboje do kieszeni, skierował lufę w ziemię i nacisnął spust. Odbicie rozbrzmiało echem w mieszkaniu.

- I spust opiłowany - dodał. - Żeby był bardziej czuły i szybciej działał. Śmiertelnie groźny. Bardziej niż odbezpieczony granat. Wystarczyło, żebyś przewracając się we śnie...

Umilkł.

- Mało sypiam w ostatnich czasach — powiedziała.

Hm - pomyślał sobie Kollberg. — Musiał to zabrać cichcem przy jakiejś konfiskacie broni. Po prostu zwędził.

Przyglądał się wielkiemu rewolwerowi, wazył go w ręce. Potem spojrział na rękę dziewczyny, dziecinnie drobną.

- Rozumiem go — mruknął. — Jeżeli ktoś jest tak zafascynowany bronią... - Podniósł głos. - Ale ja nie jestem zafascynowany! — krzyknął. — To jest ohydna rzecz, wcale nie powinna istnieć. Broń palna nie powinna w ogóle istnieć. Że jest fabrykowana, że każdy może ją mieć w szafie, w szufladzie, może ją nosić z sobą, wskazuje

186

tylko na to, że cały system jest zgangrenowany i zwariowany. Rozumiesz? Jakiś rekin zarabia na tym, że fabrykuje broń, tak jak inni zbijają forszę na fabrykowaniu narkotyków i zagrażających życiu pigułek.

Przygląda mu się z nowym wyrazem w oczach, czujności i zrozumienia.

- Siadaj - powiedział. — Pogadamy. Na serio.

Asa Torell nie odpowiedziała, ale przeszła do dużego pokoju i usiadła.

Kollberg położył rewolwer na półce w przedpokoju.

Zdjął marynarkę i krawat. Rozpiął kołnierzyk, podwinął rękawy. Wydobył ze stosu naczyń w kuchni ronderek, wymył i zrobił dwie filiżanki herbaty. Zaniósł je do

pokoju. Wyrzucił niedopałki. Uchylił okno. Dopiero potem usiadł.

- No tak - powiedział. — Przede wszystkim chciałbym wiedzieć, co rozumiesz przez „ostatnio”. Kiedy mówisz, że ostatnio wolał chodzić z bronią.

- Cicho - powiedziała Asa. A po paru sekundach dodała. - Zaczekaj.

Podciągnęła nogi na fotel, oplotła kolana rękami i siedziała nieruchomo. Kollberg czekał. Czekał tak z kwadrans, a ona przez cały ten czas nie spojrzała na niego ani razu.

Wreszcie podniosła oczy.

- No, więc?

- Jak się czujesz?

- Nie lepiej, ale trochę inaczej. Możesz pytać.

Odpowiem na wszystko. Jedno tylko chciałabym wiedzieć.

187

- Czy wszystko mi powiedziałeś?

— Nie — odparł Kollberg. - Ale zrobię to teraz.

Przyszedłem tu w ogóle dlatego, że nie wierzę w oficjalną wersję, iż Stenström przypadkiem stał się jedną z ofiar szaleńca mordercy. I niezależnie od twoich zapewnień, że cię nie zdradzał czy jak to tam nazwać, i od przyczyn, na

których opierasz tę pewność, nie sędzę, że znalazł się w autobusie ot tak, dla przyjemności.

— A co sądzisz?

- Że od początku miałaś rację. Kiedy mówiłaś, że pracował. Że czymś się zajmował, urzędowo, jako policjant, że z takich czy innych powodów nie mówił o tym ani tobie, ani nam. Jest na przykład możliwe, że śledził kogoś od dawna i że prześladowany zabił go w desperacji. Osobiście oczywiście uważam tę teorię za mało prawdopodobną.

— Po krótkiej pauzie dodał: — Ake był bardzo zręczny w śledzeniu. To go bawiło.

- Wiem — powiedziała.

— Śledzić można na dwa różne sposoby — ciągnął dalej Kollberg. - Albo chodzi się za kimś tak, żeby ten ktoś nie zauważył i żeby można było poznać jego zamiary. Albo też robi się to zupełnie jawnie, żeby doprowadzić śledzonego do desperacji, zmusić do wybuchu czy ujawnienia się w jakiś inny sposób. Obie te metody Stenstróm miał opanowane lepiej niż ktokolwiek z nas.

— Czy ktoś prócz ciebie jest tego samego zdania?

- spytała Asa.

- Tak. Martin Beck i Melander, co najmniej oni.

- Potarł kark i dodał: — Ale to rozumowanie ma wiele słabych stron. Nie musimy się nad nim teraz zastanawiać.

— Więc co chcesz wiedzieć?

- Sam dobrze nie wiem. Musimy się uzupełnić. Nie we wszystkim cię rozumiem. Co na przykład miałaś na myśli mówiąc, że ostatnio chętnie nosił pistolet, że go to bawiło? Ostatnio?

— Kiedy spotkałam Akego cztery lata temu, był zupełnym dzieckiem — powiedziała spokojnie.

— Pod jakim względem?

- Był nieśmiały i dziecinny. A trzy tygodnie temu, kiedy go ktoś zabił, był dorosły. I ten rozwój dokonał się głównie nie w pracy, z wami, tylko tu, w domu. Kiedy pierwszy raz byliśmy razem, w tamtym pokoju, w łóżku, ostatnią rzeczą, którą z siebie zjął, był pistolet.

Kollberg uniósł nieco brwi.

- Bo został w koszuli - powiedziała. - A pistolet położył na stoliku nocnym. Zdębiałam. Szczerze mówiąc wcale nie wiedziałam, że jest policjantem, i zastanawiałam się, co za wariata wpuściłam do łóżka. - Spojrzała na Kollberga poważnie. - Wtedy nie byliśmy jeszcze w sobie zakochani. Ale już prawie. Potem zrozumiałam. Miał dwadzieścia pięć lat, a ja właśnie skończyłam dwadzieścia.

Ale jeżeli któreś z nas można było uważać za osobę dorosłą, jako tako dojrzałą, to tylko mnie. Chodził z pistoletem, zdawało mu się, że to takie zuchwałe. Był dziecinny, jak powiedziałam, i bawił go niezwykle widok nagiej kobiety głupio wpatrzonej w mężczyznę w koszuli i z pistoletem. Potem wyrósł z tego, ale do pistoletu się 189 zdążył przyzwyczaić. A poza tym interesowała go broń palna...

Przerwała i zagadnęła znienacka:

- Czy jesteś odważny? Fizycznie odważny?
 - Niespecjalnie.
 - Ake był fizycznie tchórzem, choć robił wszystko, żeby to przezwyciężyć. Pistolet dawał mu uczucie pewności.
 - Mówiłaś, że wydoroślał. Był policjantem, a z zawodowego punktu widzenia nie jest dowodem dojrzałości dać się z tyłu zastrzelić komuś, kogo się śledzi. Toteż zaznaczałem już, że trudno mi w to uwierzyć.
 - Właśnie - powiedziała Asa Torell. - A ja w to zdecydowanie nie wierzę. Coś się tu nie zgadza.
- Kollberg zastanowił się i po chwili powiedział:
- Pozostają fakty. Czymś się zajmował. A czym, nie

wiem, ani ty nie wiesz. Mam rację?

- Tak.

- Czy on się w jakiś sposób zmienił? Zanim to się stało?

Podniosła rękę i przeczesła swe krótko obcięte, ciemne włosy.

- Tak - powiedziała wreszcie.

- Jak?

- Nie tak łatwo to określić.

- A czy te fotografie mają jakiś związek z jego zmianą?

- Tak — odpowiedziała. - Jak najbardziej.

Przerzuciła fotografie. Obejrzała je.

- Żeby o tym mówić z kimś, trzeba najwyższego zaufania, a nie wiem, czy mam je do ciebie. Spróbuję jednak.

190

Kollbergowi ręce się spociły, wytarł je o spodnie.

Zmiana ról. Teraz ona była spokojna, a on się denerwował.

- Kochałam Akego. Od początku. Nie bardzo jednak pasowaliśmy do siebie seksualnie. Różniliśmy się tempem i temperamentem. Mieliśmy niejednakowe wymagania.

- Spojrzała na niego badawczo. - Można jednak być szczęśliwym. Można się nauczyć. Wiesz o tym?

- Nie.

- My jesteśmy dowodem na to. Nauczyliśmy się.

Przypuszczam, że rozumiesz, o co chodzi.

Kollberg potwierdził.

- Beck by mnie nie zrozumiał — powiedziała. — Już nie mówiąc o Rónnie, czy którymś innym. - Wzruszyła ramionami. — W każdym razie nauczyliśmy się. Dopasowaliśmy się i było nam dobrze.

Kollberg na chwilę przestał słuchać. Oto alternatywa, nad której istnieniem nigdy się nie zastanawiał.

- Nie jest to łatwe - mówiła. - Muszę ci to wytłumaczyć. Bo jeżeli tego nie zrobię, nie potrafię wyjaśnić ci, w jaki sposób Ake się zmienił. A nawet jeżeli ci opowiem masę szczegółów należących do mego prywatnego życia, nie wiem, czy zrozumiesz. Ale mam nadzieję, że tak.

Zakaszła i stwierdziła rzeczowo:

- Za dużo paliłam w ostatnich tygodniach.

Kollberg poczuł, że coś się zaczyna zmieniać. Uśmiechnął się. Asa Torell też się uśmiechnęła, trochę gorzko, ale jednak.

- No więc - powiedziała - skończmy z tym, im prędzej, tym lepiej. Jestem, niestety, nieśmiała. Dziwne.

191

- Nie ma w tym nic osobliwego. Ja też jestem straszliwie nieśmiały. Nieśmiałość na ogół łączy się

z wrażliwością.

- Nim spotkałam Akego, uważałam się za nimfomankę prawie czy za wariatkę — powiedziała Asa szybko. — Potem zakochaliśmy się w sobie i dopasowaliśmy. Ja o to bardzo zabiegałam. Ake zresztą też. I udało się. Dobrze nam było, lepiej, niż mi się kiedykolwiek śniło. Zapomniałam, że jestem bardziej niż on zmysłowa, z początku parę razy o tym mówiliśmy, potem już nigdy więcej. Nie było to potrzebne. Sypialiśmy z sobą, gdy on miał ochotę, to znaczy, raz czy dwa, najwyżej trzy razy w tygodniu, dawało nam to zadowolenie i niczego więcej nie pragnęliśmy. Nie zdradzaliśmy się więc, jak to określiłeś. Aż tu...

- ... nagle ostatniego lata — uzupełnił Kollberg, Spojrzała na niego z uznaniem.

- Właśnie. Zeszłego lata pojechaliśmy na Majorkę.

A w tym czasie wy tu mieliście ciężki i bardzo nieprzyjemny wypadek.

- Tak. Morderstwo w parku.

- Właśnie. Kiedy wróciliśmy, już to zostało wyjaśnione.

Ake był rozgoryczony.

Zamilkła, lecz po kilku sekundach znowu zaczęła mówić, równie szybko i płynnie.

- Może to nie robi dobrego wrażenia, ale wiele z tego,

co już powiedziałam i jeszcze powiem, nie robi dobrego wrażenia. Faktem jest, że był rozgoryczony, bo ominęło go śledztwo. Ake był ambitny, prawie żądny chwały. Zawsze marzył o tym, żeby wykryć coś ważnego, co wszyscy inni

192
przeoczyli. Poza tym był dużo młodszy niż wy wszyscy i uważał, przynajmniej dawniej, że nim pomiatano w pracy. O ile wiem, uważał, że ty nim najbardziej pomiataleś.

- I niestety miał rację.

- Nie bardzo cię lubił. Wolał Becka czy Melandera.

Inaczej niż ja teraz, ale to nie należy do rzeczy. Kiedyś w końcu lipca czy na początku sierpnia zmienił się nagle, jak powiedziałam, i to w jakiś taki sposób, który całe nasze życie wywrócił do góry nogami. Wtedy zrobił te zdjęcia. Znacznie więcej ich zrobił, mnóstwo rolek. Mówiłam już, że nasze życie erotyczne było jakoś szczęśliwie unormowane. I nagle wszystko to zostało zburzone, i to nie przeze mnie, to on. Byliśmy... byliśmy razem...

- Sypialiście z sobą - podsunął Kollberg.

- Okay, spaliśmy z sobą w ciągu dnia tyle razy, ile przedtem zwykle bywało w ciągu miesiąca. Czasem nie pozwalał mi przez kilka dni chodzić do pracy. Na nic by się zdało zaprzeczać, że byłam przyjemnie zaskoczona.

I ogromnie zdziwiona. Żyliśmy z sobą już przeszło cztery lata i...

- Co dalej? - spytał Kollberg, gdy urwała.

- Jasne, że bardzo mnie to bawiło. Że wyczynia ze mną najdziwniejsze rzeczy, budzi mnie w nocy, nie pozwala mi zasnąć, ani ubrać się, ani iść do pracy. Że nie zostawia mnie w spokoju nawet w kuchni, brał mnie na blacie zlewozmywaka, w wannie, z przodu i z tyłu, we wszelkich możliwych pozycjach, na każdym krześle po kolei. Ale on sam wcale się przy tym nie zmienił i po pewnym czasie przekonałam się, że jestem dla niego

193

przedmiotem pewnego rodzaju eksperymentu. Pytałam go o to, ale śmiał się tylko.

- Śmiał się?

- Tak, w ogóle przez cały czas był w znakomitym humorze. Aż do... aż do dnia, w którym został zabity.

- Dlaczego?

- Tego właśnie nie wiem. Jedno tylko zrozumiałam od razu, gdy szok minął.

- Co?

- Że byłam dla niego obiektem doświadczalnym.

Wszystko o mnie wiedział. Wiedział, jak nieprawdopodobnie

się podniecam, gdy tylko on się trochę postara. A ja wiedziałam wszystko o nim. Na przykład, że w gruncie rzeczy interesowało go to tylko od czasu do czasu.

- I jak długo to trwało?

- Do połowy września. Wtedy zaczął mieć wiele roboty i wciąż go nie było w domu.

- Co się okazało nieprawdą - powiedział Kollberg.

Przyjrzał się jej. I dodał: — Dziękuję. Dobra z ciebie dziewczyna. Lubię cię.

Wyglądała na zaskoczoną i patrzyła na niego podejrzliwie.

- I nigdy nie mówił, czym się zajmuje?

Potrząsnęła głową.

- Nawet nie napomknął?

Znowu zaprzeczenie.

- I nic niezwykłego nie zauważyłaś?

- Że często przebywał na ulicy. To znaczy nie w lokalu.

To poznawałam. Wracał zziębnięty i przemoczony.

194

Kollberg słuchał.

- Parę razy budziłam się, bardzo późno, bo on kładł się zmarznięty na kość. Ale ostatnim wypadkiem, o jakim ze mną mówił, był ten z pierwszej połowy września.

Mężczyzna, który zabił żonę. Nazywał się chyba Birgersson.

- Przypominam sobie — powiedział Kollberg. — Tragedia rodzinna. Bardzo pospolita historia. Nie wiem nawet, dlaczego myśmy się w to włączyli. Jak z podręcznika. Nieszczęśliwe małżeństwo, nerwice, kłótnie, złe warunki materialne. W końcu mąż zabił żonę mniej lub więcej przez przypadek. Potem chciał odebrać sobie życie, nie starczyło mu odwagi, więc poszedł na policję. Ale to prawda, Stenström się tym zajmował, on prowadził przesłuchania.

- Poczekaj, w czasie tych przesłuchań coś się stało.

- Co mianowicie?

- Nie wiem. Ale pewnego wieczoru Ake wrócił bardzo podniecony.

- Nic w tym podniecającego nie było. Smutna historia.

Typowa zbrodnia w warunkach dobrobytu. Człowiek odizolowany, mający żonę zatrutą pożądaniem coraz wyższego standardu, ustawicznie wypominającą mu, że nie zarabia tyle pieniędzy, ile powinien, że nie mogą kupić sobie motorówki, letniego domku i że ich samochód nie jest taki elegancki jak wóz sąsiadów.

- Ale w czasie przesłuchania ten mężczyzna coś Akemu powiedział.

- Co?

- Nie wiem. W każdym razie Akemu wydawało się to bardzo ważne. Ja oczywiście, tak samo jak ty teraz,
195

spytałam go o to, ale on się tylko roześmiał i powiedział, że wkrótce zobaczę.

- Dokładnie tak powiedział?

- Wkrótce zobaczysz, moja mała. Dokładnie tak.

Wyglądał na bardzo ucieszonego.

- Dziwne.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu, potem Kollberg otrząsnął się, wziął ze stołu otwartą książkę i spytał:

- Czy rozumiesz te komentarze?

Asa Torell wstała, obeszła stół dokoła i pochyliwszy się nad książką, żeby zajrzeć, położyła mu rękę na ramieniu.

- Wendel i Svensson piszą, że morderca erotyczny jest często impotentem i osiąga pożądane zaspokojenie popełniając gwałt. A na marginesie Ake napisał „albo odwrotnie”, - Kollberg wzruszył ramionami i dodał:

- Aha, on miał chyba na myśli, że morderca erotyczny może być także nadmiernie pobudliwy seksualnie.

Asa natychmiast cofnęła rękę i ku swemu zdziwieniu zauważył, że ponownie się zaczerwieniła.

- Nie, on nie to miał na myśli - powiedziała.

- Więc co?
 - Właśnie całkowicie odwrotną sytuację: że kobieta, to znaczy ofiara, może życiem przypłacić to, że jest nadmiernie pobudliwa.
 - Skąd możesz to wiedzieć?
 - Bo raz rozmawialiśmy na ten temat. W związku z tym, że zajmowaliście się wtedy zamordowaną na kanale Gota młodą Amerykanką.
 - Roseanną - powiedział Kollberg. A po chwili
- 196
- namysłu dodał: - Ale wtedy on jeszcze nie miał tej książki. Pamiętam, że znalazłem ją, robiąc porządek w moich szufladach. Kiedy przenosiliśmy się z Kristineberg. To było dużo później.
- A te inne jego zapiski — powiedziała Asa - są zupełnie logiczne.
 - Tak. Czy nie znalazłaś jakiegoś notesu czy kalendarzyka, gdzie wpisywał sprawy?
 - A nie miał notatnika przy sobie?
 - Owszem. Obejrzeliśmy ten notesik. Nic interesującego w nim nie było.
 - Przeszukałam całe mieszkanie.
 - I co znalazłaś?

- Właściwie nic. On nic nie chował. I był bardzo porządny. Miał oczywiście jeszcze jeden notes. Leży tam na biurku.

Kollberg sięgnął po notes. Taki sam jak ten, który znaleziono w kieszeni Stenstróma.

- W tym notesie prawie nic nie ma - powiedziała Asa. Ściągnęła skarpetkę z jednej nogi i podrapała się w piętę. Stopę miała szczupłą i wąską o pięknie sklepionym podbiciu i długich prostych palcach. Kollberg przyjrzał się nodze, a potem przekartkował notes. Miała rację. Nic tam prawie nie było. Na pierwszej stronie podstawowe dane tego nieszczęśliwca nazwiskiem Birgersson, co zabił swoją żonę.

Na drugiej kartce u góry tylko jedno słowo: Morris.

Asa Torell zajrzała do notesu i wzruszyła ramionami.

- To nazwa samochodu - powiedziała.

197

- Albo raczej nazwisko agenta w Nowym Jorku.

Asa stojąca przy stole przyglądała się owym niezwykłym fotografiom. Nagle uderzyła w stół i powiedziała bardzo głośno:

- Żebym przynajmniej miała dziecko! - Zniżywszy głos dodała: - On zawsze mówił, że mamy czas. Że

powinniśmy zaczekać, aż dostanie awans.

Kollberg z wahaniem zmierzał w stronę przedpokoju.

- Mamy czas - mruknęła. A potem spytała: - I co ze mną będzie?

Odwrócił się do niej i powiedział:

- Tak nie można, Asa. Chodź.

Zwróciła się ku niemu szybko z nienawistnym błyskiem w oczach.

- Chodź? Gdzie? Do łóżka? Pewnie.

Kollberg patrzył na nią.

Dziewięćdziesięciu dziewięciu mężczyzn na stu widziałoby wątlą, bladą i małą dziewczynkę, źle się trzymającą, widziałoby chude ciało, cienkie, pociemniałe od nikotyny palce i zniszczoną twarz. Dziewczynę nie uczesaną i ubraną w workowate łachy, z jedną nogą tkwiącą w za dużej o parę numerów wełnianej skarpetce.

Lennart Kollberg widział fizycznie i psychicznie skomplikowaną kobietę o płomiennym spojrzeniu i obiecującym zagłębieniu w okolicy pachy, powabną, interesującą i wartą tego, by ją bliżej poznać.

Czy Stenström też wszystko to dostrzegał, czy też był jednym z dziewięćdziesięciu dziewięciu, tyle tylko, że miał niebывałe szczęście?

198

Szczęście.

- Nie to miałem na myśli - powiedział Kollberg.

- Chodź do nas do domu. Miejsca u nas dość. Już długo byłaś sama.

W samochodzie Asa rozplakała się.

XXII

Wiało przenikliwie, kiedy Nordin wyszedł z tunelu kolei podziemnej na skrzyżowaniu Sveavagen i Radmanskatan. Mając wiatr w plecy, szybko ruszył przez Sveavagen, skręciwszy w Tegnergatan, przestał odczuwać podmuchy i zwolnił kroku. Jakies dwadzieścia metrów od rogu ulicy znajdowała się kawiarnia. Zatrzymał się przed oknem wystawowym i zajrzał do wnętrza.

Za ladą ruda kobieta w pistacjowozielonym kitlu rozmawiała przez telefon, prócz niej w lokalu nie było nikogo.

Nordin poszedł dalej, minął Luntmakargatan i przystanął, by przyjrzeć się olejnemu malowidłu, wiszącemu nad oszklonymi drzwiami antykwariatu. Gdy się zastanawiał, czy w zamierzeniu twórcy przedmioty na obrazie mają przedstawiać dwa łosie czy też łosia i renifera, usłyszał za

sobą głos: - Aber Mensch, bist du doch ganz verrückt?

Nordin odwrócił się i zobaczył dwóch mężczyzn przechodzących przez jezdnię. Jeszcze nim znaleźli się na przeciwległym trotuarze, zobaczył właściwą cukiernię.

199

Gdy do niej wszedł, dwaj mężczyźni schodzili właśnie po krętych schodach, znajdujących się za barem. Poszedł za nimi.

Lokal wypełniała młodzież, ogłuszająca muzyka i gwar. Nordin rozejrzał się za stolikiem, ale chyba nie było ani jednego wolnego miejsca. Przez chwilę rozważał, czy zdjąć kapelusz i płaszcz, ale postanowił nie ryzykować. W Sztokholmie nikomu nie można ufać, takie było jego najgłębsze przekonanie.

Zlustrował gości płci żeńskiej. Blondynek na sali było sporo, ale wygląd żadnej z nich nie zgadzał się z rysopisem Blond Malin.

Przeważał tu język niemiecki. Było wolne krzesło koło szczupłej brunetki, na oko sądząc — Szwedki. Nordin rozpiął płaszcz, usiadł, kapelusz położył na kolanach i pomyślał, że za sprawą myśliwskiego kapelusza i lodenowego płaszcza nie różni się zbyt wiele od większości Niemców. Czekał kwadrans, nim kelnerka podeszła. Przyjaciółka

brunetki, siedząca przy sąsiednim stoliku, obrzucała go od czasu do czasu taksującym spojrzeniem.

Mieszając kawę, gdy ją wreszcie dostał, zerknął na siedzącą obok dziewczynę. I siląc się na sztokholmski akcent w nadziei, że zostanie wzięty za stałego gościa, zagadnął:

- A gdzież to się dziś podziewa Blond Malin?

Brunetka szeroko otworzyła usta. Potem uśmiechnęła się i pochyliwszy się przez stół do przyjaciółki, powiedziała:

- Ten norrländczyk pyta o Blond Malin, nie wiesz, Eva, gdzie ona jest?

200

Przyjaciółka popatrzyła na Nordina a potem zawołała do kogoś przy dalszym stoliku:

- Jest tu jakiś tajniak i pyta o Blond Malin. Wie ktoś, gdzie ona jest?

- Nieee — zabrzmiało unisono.

Siorbiąc kawę Nordin z goryczą zastanawiał się, po czym można poznać, że jest policjantem. Trudno się wyznać w tym Sztokholmie.

Kiedy wychodził, w górnej części lokalu został zatrzymany przez kelnerkę, która podawała mu kawę.

- Słyszałam, że szuka pan Blond Malin. Pan jest

rzeczywiście policjantem?

Po krótkim wahaniu Nordin przytaknął posepnie.

- Jeżeli pan zamierza zamknąć za coś tę małą, nikt się bardziej niż ja nie ucieszy. Wydaje mi się, że mogę panu powiedzieć, gdzie jest. Jak jej tu nie ma, to pewnie siedzi w kawiarni przy Engelbrechtplan.

Nordin podziękował i wyszedł na zimno.

Blond Malin nie było i w drugim lokalu, który zdawał się być przeznaczony tylko dla stałych gości. Nordin postanowił jednak nie ustępować; podszedł do samotnej kobiety, przeglądającej wystrzępiony tygodnik. Nie wiedziała, kto to taki Blond Malin, ale poradziła mu, żeby zajrzał do winiarni na Kungsgatan.

Nordin wlokąc się przez znienawidzone ulice Sztokholmu pragnął być w domu, w Sundsvall.

Tym razem trud się opłacił.

Ruchem głowy odprawiwszy szatniarza, który podszedł, żeby zabrać jego płaszcz, stanął w drzwiach

201

winiarni i zlustrował lokal. Prawie natychmiast ją poznał.

Rosła, ale nie otyła. Srebrzystoblond włosy upięte miała w kunsztowną wysoką fryzurę na czubku głowy.

Nie miał wątpliwości, że to Blond Malin.

Siedziała na kanapce w rogu mając przed sobą kieliszek wina. Obok niej siedziała starsza już kobieta, a długie zwisające na ramiona w niesfornych lokach czarne włosy wcale jej nie odmładzały. Pewnie taka gratisowa, pomyślał Nordin.

Przez chwilę obserwował obie kobiety. Nie rozmawiały z sobą. Blond Malin wpatrywała się w kieliszek obracając go w palcach. Czarnowłosa rozglądała się po lokalu, od czasu do czasu kokieteryjnym ruchem odrzucając długie włosy.

Nordin zwrócił się do szatniarza:

- Przepraszam, wie pan może, jak nazywa się ta pani o jasnoblond włosach, ta, która siedzi na kanapie?

Szatniarz spojrzał.

- Pani — rzekł ironicznie. — Jak się nazywa, to nie wiem, ale mówią na nią Gruba Malin czy tak jakoś.

Nordin oddał mu płaszcz i kapelusz.

Gdy podchodził do stolika, czarna spojrzała na niego z nadzieją.

- Przepraszam, że się narzucam — powiedział Nordin

- ale chciałbym, jeżeli można, pomówić z panną Malin.

- A o co chodzi? - spytała.

- O jednego z pani przyjaciół - odpowiedział Nordin.
- Czy ma pani coś przeciw temu, żebyśmy się przenieśli na 202

chwilę do innego stolika, gdzie będziemy mogli porozmawiać bez przeszkód? — A widząc, że Malin spogląda na przyjaciółkę, dodał pospiesznie: - Jeżeli pani towarzyszka nic nie ma przeciw temu.

Czarna napełniła swój kieliszek i wstała:

- Nie przeszkadzam - powiedziała urażonym tonem.

A że Blond Malin słowem nie zareagowała, dorzuciła:

- Przysiędę się do Tory. Do zobaczenia. — Zabrała swój kieliszek i odeszła w głąb lokalu.

Nordin odsunął krzesło, usiadł, a Blond Malin patrzyła wyczekująco.

- Ulf Nordin, pierwszy asystent policji kryminalnej
- przedstawił się. — Może zechciałaby pani pomóc mi w pewnej sprawie.

- Aha — powiedziała Blond Malin. — I co to ma być?

Coś pan mówił, że o przyjaciela chodzi.

- Tak. O parę informacji dotyczących człowieka, którego pani знаła.

Blond Malin spojrzała na niego pogardliwie.

- Ja nie jestem donosicielka - powiedziała.

Nordin wyjął z kieszeni paczkę papierosów, poczęstował Malin i podał jej ogień.

- Tu nie chodzi o donosicielstwo. Kilka tygodni temu przyjechała pani białym Volvo Amazon w towarzystwie dwóch mężczyzn do garażu w Hagersten. Garaż mieści się przy Klubbacken i należy do pewnego Szwajcara imieniem Horst. Samochód prowadził Hiszpan. Czy pani przypomina to sobie?

- Owszem, bardzo dobrze - odpowiedziała Blond

203

Malin. - Bo co? Nisse i ja pojechaliśmy z tym Paco, żeby pokazać mu drogę do garażu. Zresztą on już wrócił do domu, do Hiszpanii.

- Paco?

- Tak.

Opróżniła kieliszek i wlała do niego resztkę wina z karafki.

- Czy mógłbym panią na coś zaprosić? Może jeszcze wina?

Dziewczyna wyraziła zgodę i Nordin przywoławszy kelnerkę zamówił pół karafki wina i kufel piwa.

- A kto to taki Nisse? — spytał.

- No przecież ten, co był w samochodzie, sam pan

przed chwilą powiedział.

- Tak, ale jak się ten Nisse nazywa, co robi?...

- Nazywa się Góransson. Nils Erik Góransson. A czym się zajmuje, nie wiem. Już go parę tygodni nie widziałam.

- Dlaczego? - spytał Nordin.

- Co?

- Dlaczego go pani od kilku tygodni nie widziała?

Przedtem chyba widywaliście się dość często.

- My wcale nie jesteśmy z jednej paki. To nie kumpel. Czasem połaziliśmy razem. Pewnie się spotykał z jakąś dziewczyną. Skąd mogę wiedzieć. W każdym razie dawno się nie pokazuje.

- A wie pani, gdzie on mieszka?

- Nisse? Nie, on chyba nie miał mieszkania. Jakiś czas mieszkał u mnie, potem u jednego kumpla na Söder, ale 204

zdaje się, że już tam nie mieszka. A gdzie, naprawdę nie wiem. A nawet jakbym wiedziała, nie takie pewne, żebym zaraz powiedziała glinie. Ja na nikogo nie donoszę.

Nordin upił łyk piwa i przyjaźnie spojrzał na potężną blondynkę.

- Tego nie musi pani robić, panno... przepraszam, ale

nie znam pani nazwiska, panno Malin.

- Nie nazywam się Malin, tylko Magdalena Rosen.

Nazywają mnie Blond Malin, bo mam jasne włosy. — Przesunęła ręką po fryzurze. - Czego pan chce od Nissego? Co on zrobił?

Nie chcę odpowiadać na pytania, a pewnie będzie ich mnóstwo, póki się nie dowiem, o co chodzi.

- Tak, rozumiem - powiedział Nordin. - Zaraz wyjaśnię, w jaki sposób może nam pani pomóc, panno Rosen.

Znowu łyknął piwa i wytarł usta.

- Chciałbym tylko przedtem zadać jedno pytanie: Jak ubierał się Nisse?

Marszczyła brwi i chwilę się zastanawiała.

- Przeważnie chodził w garniturze. Taki jasny, beżowy, z obciąganymi guzikami. Miał koszulę, buty, pewnie kalesony, jak każdy mężczyzna.

- A nie nosił płaszcza?

- No, żeby prawdziwy płaszcz, to nie. Taki cienki czarny łach, nylonowy. Wie pan?

Spojrzała na Nordina pytająco.

- Cóż, panno Rosen, on prawdopodobnie nie żyje.

- Nie żyje? Nisse? Ale... dlaczego... dlaczego mówi pan, że prawdopodobnie? I skąd pan wie, że nie żyje?

Ulf Nordin wyciągnął chustkę. Wytarł kark. W lokalu było gorąco, czuł, że ubranie lepi mu się do ciała.

— Rzecz w tym, że mamy w kostnicy mężczyznę, którego nie możemy zidentyfikować. Ale są powody, by podejrzewać, że jest to Nils Erik Góransson.

— I dlaczego miałby umrzeć? — podejrzliwie indagowała Blond Malin.

— Był jednym z pasażerów tego autobusu, o którym pewnie pani czytała w gazetach. Dostał strzał w głowę i umarł natychmiast. Ponieważ pani jest jedyną znaną nam osobą, która mogłaby zidentyfikować Góranssona, bardzo będziemy wdzięczni, jeżeli zechce pani jutro przyjść do kostnicy i zobaczyć, czy to on.

Przyglądała się Nordinowi z przerażeniem.

— Ja? Do kostnicy? Nigdy w życiu!

W środę o dziewiątej rano Nordin i Blond Malin wysiedli z taksówki przed Instytutem Medycyny Sądowej na Tomtebodavagen. Martin Beck od kwadransa już na nich czekał i razem weszli do kostnicy.

Blond Malin była blada pod niedbale zrobionym makijażem. Jasne włosy też nie były tak starannie uczesane jak poprzedniego wieczoru.

Nordin, który czekał w przedpokoju jej mieszkania, gdy kończyła toaletę, skonstatował, gdy wreszcie była gotowa i wyszli na ulicę, że znacznie korzystniej przedstawiała się w przytłumionym świetle winiarni niż przy mglistej porannej pogodzie.

206

Personel kostnicy był przygotowany i kierownik pokazał im drogę do zamrażalni.

Zmiazdżoną twarz nieboszczyka przykryto, ale włosy było widać. Blond Malin chwyciła Nordina za rękę i szepnęła:

- Cholera.

Nordin objął jej szerokie plecy i podprowadził ją bliżej.

- Proszę się dokładnie przyjrzeć — rzekł cicho. — Proszę się przyjrzeć i powiedzieć, czy go pani poznaje.

Zasłoniwszy ręką usta patrzyła na nagie ciało.

- A co z jego twarzą? — spytała. — Nie mogłabym zobaczyć twarzy?

- Lepiej, że może pani tego uniknąć — powiedział Martin Beck. - Powinna go pani i bez tego rozpoznać.

Blond Malin odjęła rękę od ust i potaknęła.

- Tak, to Nisse. Ta blizna i... tak, to on.

- Dziękuję, panno Rosen - powiedział Martin Beck.

- Zapraszamy na kawę do komendy policji.

Siedząc obok Nordina w taksówce, Blond Malin mruzczała od czasu do czasu: — Cholera, coś okropnego.

Martin Beck i Nordin zasiedli z nią do kawy i ciastek, po chwili dołączył Kollberg, Melander i Rónn.

Malin wkrótce wróciła do równowagi i można było zauważyć, że nie tylko kawa, ale i szacunek, jaki jej okazywano, bardzo ożywiająco na nią wpłynął. Usłużnie odpowiadała na pytania a przed wyjściem uścisnęła ich ręce zapewniając:

- Nigdy bym nie przypuszczała, że gli... że policjanci mogą być tacy morowi.

207

Gdy drzwi się za nią zamknęły, przez chwilę rozważali komplement, potem Kollberg powiedział.

— No, morowe chłopaki? Podsumowujemy?

Podsumowali:

Nils Erik Góransson. Wiek: 38-39 lat. Od 1965 roku bez stałego zatrudnienia. Od marca do sierpnia 1967 mieszkał z Magdaleną Rosen (Blond Malin) na Arbetargatan 3 w dzielnicy Kungsholmen. Później do października mniej więcej u Sune Bjórka na Söder. Miejsce pobytu w ostatnim tygodniu przed śmiercią nieznane. Narkoman, palił, żuł

i wstrzykiwał sobie taki narkotyk, jaki udało mu się zdobyć. Być może również handlował narkotykami. Miał rzeźączkę.

Magdalena Rosen widziała go po raz ostatni trzeciego albo czwartego listopada przed restauracją Damberga.

Ubrany był wtedy w ten sam garnitur i płaszcz, co w dniu trzynastego.

Pieniądzy miewał zawsze pod dostatkiem.

XXIII

Tak więc z całego zespołu zajmującego się morderstwem w autobusie, Nordin pierwszy osiągnął coś, co przy dobrej woli można było nazwać rezultatem pozytywnym. Ale nawet i co do tego opinie były podzielone.

- No więc - powiedział Gunvald Larsson - teraz już znacie nazwisko tego podejrzanego typa. I co z tego?

208

- Tak, tak — przyznał Melander w zamyśleniu.

- Co ty tam mruczysz?

- Ten Góransson nigdy na niczym nie wpadł, a mnie się jednak zdaje, że pamiętam to nazwisko.

- Ach tak.

- Że on gdzieś w związku z jakimś śledztwem występował. Ja z nim nie rozmawiałem i z całą pewnością

nie widziałem go. Ale nazwisko Nils Erik Góransson.

Kiedyś się na nie natknąłem.

Melander pykając fajkę z roztargnieniem patrzył przed siebie.

Gunvald Larsson wymachiwał rękami przed twarzą.

Nie znosił nikotyny, dym go irytował.

- Bardziej interesuje mnie ten świntuch Assarsson

- powiedział.

- Przypomnę sobie - mruknął Melander.

- Na pewno. Jeżeli przedtem nie umrzesz na raka płuc.

Gunvald Larsson wstał i poszedł do Martina Becka.

- Skąd ten Assarsson brał pieniądze?

- Nie wiem.

- A czym się ta jego firma zajmuje?

- Importuje najróżniejsze rzeczy. Prawdopodobnie

wszystko, co tylko się opłaca. Od dźwigów do choinek ze sztucznego tworzywa.

- Sztuczne choinki?

- Tak, ten artykuł ma obecnie duży zbyt.

- Zadałem sobie trud dowiedzenia się, ile ci panowie i ich firma płacili podatku w ostatnich latach.

I?

- Mniej więcej trzecią część tego, co ty czy ja musimy wysupłać. A jak pomyślę, jak wygląda mieszkanie wdowy...

- To?

- To mam cholerną ochotę zażądać rewizji ich biura.

- A jak byś to umotywował?

- Nie wiem.

Martin Beck wzruszył ramionami. Gunvald Larsson szedł ku drzwiom. Na progu powiedział:

- Szczwany lis z tego Assarssona. A jego braciszek z pewnością nie lepszy.

Zaraz potem w drzwiach ukazał się Kollberg. Wyglądał na zmęczonego i osowiałego, oczy miał nabiegłe krwią.

- Czym ty się zajmujesz? — zagadnął Martin Beck.

- Puszczalem sobie taśmę z przesłuchania, które prowadził Stenström. Przesłuchiwał Birgerssona, tego, co zabił żonę. Całą noc mi to zajęło.

- No i co?

- Nic. Absolutnie nic. Jeżeli czegoś nie przeoczyłem.

- To zawsze możliwe.

- Bardzo życzliwa wskazówka — stwierdził Kollberg zamykając drzwi.

Martin Beck oparł łokcie o stół, a głowę na rękach.

Był już piątek osiemnasty grudnia. Dwadzieścia pięć dni już minęło, a śledztwo właściwie nie ruszyło z miejsca. A nawet były pewne oznaki, że wszystko się rozpada. Każdy czepiał się jakiegoś drobiazgu niby źdźbła słomy. Melander zastanawiał się, gdzie i kiedy słyszał nazwisko Nils Erik Góransson.

210

Gunvald Larsson łamał sobie głowę nad tym, na czym zarabiają bracia Assarsson.

Kollberg starał się dociec, w jaki sposób zachwiany umysłowo zabójca żony, nazwiskiem Birgersson, mógł pchnąć w jakimś kierunku Stenstróma.

Nordin próbował ustalić związek między Góranssonem, masowym morderstwem a garażem na Hagersten.

Ek pogłębił techniczną wiedzę o czerwonym piętrowym autobusie do tego stopnia, że właściwie nie można było teraz mówić o czymś innym jak o zakresach prądu i położeniu wycieraczek na przedniej szybie.

Mansson systematycznie poddawał przesłuchaniom całą kolonię arabską w Sztokholmie, bo przejął od Gunvalda Larssona przekonanie, że Mohammed Boussie musiał grać w tej sprawie rolę kluczową, gdyż był Algierczykiem.

Sam Martin Beck myślał o Stenstrómie, czy on kogoś śledził i czy ten ktoś go zastrzelił. Rozumowanie to wcale nie wypadło przekonująco. Czy jako tako doświadczony policjant rzeczywiście dałby się zastrzelić śledzonemu? I to w autobusie?

Rónn nie mógł oderwać myśli od tego, co Schwerin powiedział w szpitalu na kilka sekund przed śmiercią. Tego właśnie piątkowego popołudnia miał rozmowę z ekspertem od spraw dźwięków z Radia Szwedzkiego, ekspert próbował zanalizować nagrane dźwięki. Dużo czasu to mu zajęło, ale teraz był wreszcie gotów z wykonaniem zlecenia.

- Niezbyt obfity materiał, nie było na czym pracować.

211

Doszedłem jednak do pewnych rezultatów. Chce pan posłuchać?

- Tak — powiedział Rónn.

Przełożył słuchawkę do lewej ręki i sięgnął po bloczek do notatek.

- Pan jest norrländczykiem, nieprawdaż?

- Tak.

- No, ale nie pytania są interesujące, tylko odpowiedzi.

Przede wszystkim starałem się wyeliminować z taśmy

wszystkie dźwięki uboczne, szmery, zgrzyty i tak dalej.

Rónn czekał z długopisem w pogotowiu.

- Jeśli chodzi o pierwszą odpowiedź, odnoszącą się do pytania, kto strzelał, można wyraźnie odróżnić cztery spółgłoski: d, n, r i k.

- Tak — przyznał Rónn.

- Przy bliższej analizie słyhać jednak pewne dźwięki samogłoskowe i dyftongi między tymi spółgłoskami. Na przykład dźwięk e albo też i między d i n.

- Dinrk - powiedział Rónn.

- Tak, mniej więcej tak to brzmi dla niewprawnego ucha. Zdaje mi się jednak, że on wymówił bardzo słabe aj po spółgłosce k.

- Dinrkaj — powiedział Rónn.

- Coś koło tego, choć nie tak mocne aj.

Po pauzie ekspert dodał domyślnie:

- Ten człowiek był chyba w bardzo złej kondycji.

- Tak.

- I można przypuszczać, że miał bóle.

- Najprawdopodobniej.

212

- No - rzekł ekspert z ulgą - wobec tego mogę wyjaśnić, dlaczego powiedział aj.

Rónn notował. Drapał się długopisem w czubek nosa.
Słuchał.

- Teraz jednakże jestem pewien, że te dźwięki tworzą całe zdanie, składające się z wielu słów.

- I jak brzmi to zdanie? - spytał Rónn, gotów do zanotowania.

- Bardzo trudno powiedzieć. Naprawdę bardzo trudno. Na przykład mogło to być drań aj.

- Drań — powtórzył Rónn ze zdumieniem.

- To tylko przykładowo oczywiście. A jeżeli chodzi o drugą odpowiedź...

- Jak alson?

- Ach, więc panu się wydaje, że to tak brzmiało? Interesujące. Ja tak nie uważam obecnie. Doszedłem natomiast do wniosku, że on wymówił dwa słowa, najpierw jak, a potem alson.

- Cóż by to mogło znaczyć?

- No, można przypuszczać, że to nazwisko. Alson albo ewentualnie Alson.

- Jak Alson? Jak Alson?

- Właśnie! Zupełnie tak to brzmiało. Pan tak samo wymawia i Może on mówił tym samym dialektem.

Po kilku sekundach milczenia technik powiedział:

- Choć chyba mało prawdopodobne, żeby istniał ktoś nazywający się Jak Alson albo Jak Alson, nieprawdaż?

- Mało prawdopodobne - przyznał Rónn.

- To na razie wszystko. Przyślę oczywiście pisemną

213

opinię, razem z tekstem. Myślałem, że lepiej jednak od razu zadzwonić, bo może wypadek jest pilny.

- Dziękuję — powiedział Rónn.

Odłożył słuchawkę i zadumał się nad swymi zapiskami.

Po dojrzałym rozważeniu postanowił nie przedkładać tego wyniku kierownictwu dochodzenia. W każdym razie nie w obecnym stadium.

Mimo że zegarek wskazywał dopiero kwadrans po trzeciej, było zupełnie ciemno, kiedy Kollberg dojechał do Langholmen. Był zmarznięty, zniechęcony, a atmosfera więzienia nie nastrajała go radośnie. Zimny pokój widzeń był odrapany i niegościnnie i czekając na nadejście tego, z kim miał się spotkać, Kollberg smętnie krążył od ściany do ściany. Birgersson, człowiek, który zabił żonę, przeszedł długie badania psychiatryczne w Klinice Medycyny Sądowej. We właściwym czasie zostanie pewnie zwolniony od kary i przeniesiony do jakiegoś zakładu.

Po kwadransie mniej więcej drzwi się otworzyły

i strażnik w granatowym mundurze wpuścił drobnego, łysawego mężczyznę koło sześćdziesiątki. Mężczyzna zatrzymał się tuż za progiem i ukłonił się grzecznie z uśmiechem. Kollberg podszedł. Podali sobie ręce. Przedstawili się.

Birgersson okazał się przyjemny i łatwy w rozmowie.

- Asystent Stenström? Oczywiście przypominam go sobie. Bardzo sympatyczny. Mogę prosić, by go pan pozdrowił?

- Nie żyje.

214

- Nie żyje? To niepojęte. Taki młody chłopiec... Jak to się stało?

- O tym właśnie chciałbym z panem pomówić.

Kollberg wyjaśnił wstępnie, o co mu chodzi.

- Przesłuchiwałem wszystko, co nagrane zostało na taśmę — powiedział na zakończenie. — Przypuszczam jednak, że nie zawsze mieliście magnetofon, na przykład przy jedzeniu, przy kawie.

- To prawda.

- A przecież i w takich chwilach rozmawialiście z sobą.

- Oczywiście. A w każdym razie często się to zdarzało.

- O czym?
 - O wszystkim właściwie.
 - A może natknęliście się na jakiś temat, który Stenstróma zdawał się specjalnie interesować?
- Birgersson zastanowił się i potrząsnął głową.
- Przeważnie tak sobie tylko pogadywaliśmy. O tym i owym. Coś specjalnego? Co by to mogło być?
 - Właśnie chciałbym wiedzieć.

Kollberg wyjął notes znaleziony w domu Asy, pokazał.

- Czy to panu coś mówi? Dlaczego napisał Morris?

Twarz rozmówcy rozjaśniła się.

- Widocznie gadaliśmy o samochodach. Miałem Morrisa osiem, ten wielki model, wie pan. Pewnie wspomniałem o tym przy jakiejś okazji.

- Aha, w ten sposób. Gdyby panu coś się przypomniało, proszę do mnie zadzwonić. W każdej chwili.

- Stary był mój Morris i nie prezentował się dobrze,

215

ale jak chodził. Moja... żona wstydziła się go. Mówiła, że taki grat, a inni mają nowe samochody...

Zamrugnął oczami i umilkł.

Kollberg szybko skończył rozmowę. Gdy strażnik wyprowadził mordercę, do pokoju wszedł młody lekarz

w białym kitlu.

— I co pan myśli o Birgerssonie? — spytał.

— Robi przyjemne wrażenie.

— Tak - powiedział lekarz. - On jest okay. Jedyna rzecz jakiej mu było trzeba, to pozbyć się jędzy, z którą się ożenił

Kollberg spojrział uważnie na lekarza, schował notatki i wyszedł.

W sobotę wieczorem — było już wpół do dwunastej

— Gunvald Larsson marzył, choć miał na sobie najcieplejsze palto, futrzaną czapkę, narciarskie spodnie i buty. Stał w bramie posesji przy Tegbergatan 5 3 tak cicho i nieruchomo, jak tylko policjant potrafi. Stał tu nie przez przypadek i niełatwo byłoby odkryć go w ciemności.

Tkwił tak już od czterech godzin i to nie pierwszy wieczór, tylko dziesiąty czy jedenasty.

Zamierzał pojechać do domu, gdy zgaśnie światło w pewnych oknach, które miał pod obserwacją. Kwadrans przed północą szary Mercedes z zagraniczną tablicą rejestracyjną zatrzymał się przed bramą domu po przeciwnej stronie ulicy. Jakiś mężczyzna wysiadł, otworzył bagażnik i wyjął z niego walizkę. Potem wszedł na trotuar, otworzył

bramę. W dwie minuty później zapaliło się światło za zapuszczonymi roletami w dwóch oknach na parterze. Gunvald Larsson długim szybkim krokiem przeciął ulicę. Odpowiedni klucz wypróbował już dwa tygodnie temu. Wewnątrz domu zdjął palto i starannie je złożywszy przewiesił przez poręcz marmurowych schodów, a futrzaną czapkę ułożył na palcie. Rozpiął marynarkę i położył rękę na rewolwerze przypiętym do paska.

Od dawna wiedział, że drzwi otwierają się do wewnątrz. Przez pięć sekund przyglądał się tym drzwiom myśląc: Jeżeli włamię się bez żadnej podstawy prawnej, będzie to przestępstwo służbowe i prawdopodobnie zostanę zawieszony albo nawet zwolniony.

Potem kopnięciem wyłamał drzwi.

Ture Assarsson i mężczyzna, który wysiadł z zagranicznego samochodu, stali rozdzieleni biurkiem. Banalnie rzecz określając wyglądali jak gromem rażeni. Otworzyli właśnie walizkę, leżącą między nimi.

Gunvald Larsson grożąc im pistoletem kończył jednocześnie myśl zaczęta na schodach: A cóż mi to szkodzi, zawsze mogę znowu zgłosić się na morze. Podniósł słuchawkę i nakręcił numer 90 000. Zrobił to lewą ręką, nie opuszczając broni. Nic nie mówił. Tamci dwaj także się nie odezwali.

Cóż tu mogło być do powiedzenia.

W walizce znajdowało się dwieście pięćdziesiąt tysięcy tabletek ze znakiem Ritalina. Na nielegalnym rynku narkotykami przedstawiały wartość miliona szwedzkich koron mniej więcej.

217

Gunvald Larsson powrócił do swego mieszkania w Bollmora o trzeciej nad ranem w niedzielę. Był kawalerem, mieszkał samotnie. Jak zwykle dwadzieścia minut spędził w łazience przed włożeniem piżamy i pójściem do łóżka.

Otworzył książkę, którą od kilku dni czytał, ale po paru minutach przerwał lekturę i sięgnął po telefon.

Zasadą Gunvalda Larssona było nie myśleć o pracy, gdy był w domu, nie mógł też sobie przypomnieć, by kiedykolwiek dzwonił służbowo już po położeniu się do łóżka.

Po drugim sygnale usłyszał głos Martina Becka.

- Cześć. Wiesz już o Assarssonie?

- Tak.

- Coś mi właśnie przyszło do głowy.

- Co?

- Że może źle rozumowaliśmy. Stenström śledził oczywiście Góstkę Assarssona. A ten, kto strzelał, ubił dwie muchy za jednym zamachem. Zabił Assarssona i tego, kto

go śledził.

- Tak — powiedział Beck. — Coś w tym, co mówisz, może i jest.

Gunvald Larssen mylił się. Ale właśnie skierowywał śledztwo na właściwy tor.

XXIV

- Przez trzy wieczory z rzędu Ulf Nordin łąził po Sztokholmie w swym myśliwskim kapelusiku i lodenowym płaszczu i usiłował nawiązać kontakt ze światem podziem-

218

nym. Wstępował do kawiarenek, cukierni, restauracji i sal tańca, gdzie wedle wskazówek Blond Malin bywał Góransson.

Czasem jeździł samochodem, w piątek wieczorem siedział w samochodzie i wpatrywał się w Mariatorget, nie widząc nic interesującego prócz dwóch innych mężczyzn, którzy też siedzieli w samochodzie i wpatrywali się. Nie znał ich, ale domyślał się, że to patrol z tego okręgu policyjnego albo ktoś z wydziału narkotyków.

Wyprawy te nie wzbogaciły jego wiedzy o człowieku nazwiskiem Nils Góransson. We dnie jednak zdołał uzupełnić informacje o Blond Malin, sprawdzając dane w spisach ludności, w księgach parafialnych, w pośrednictwie

pracy dla marynarzy i u byłej żony Góranssona, która mieszkała w Boras i stwierdziła, że prawie nie pamięta swego byłego męża. Nie widziała go od dwudziestu lat. W sobotę rano złożył Martinowi Beckowi raport o swych mizernych rezultatach. Potem usiadł i zaczął pisać do żony w Sundsvall długi, smutny list. Pisząc zerkał od czasu do czasu z poczuciem winy na Rónna i Kollberga, stukających gorliwie na maszynach. Nie skończył jeszcze, kiedy Martin Beck wszedł do pokoju.

- Co to za idiota wysłał ciebie na miasto? - spytał.

Nordin szybko przykrył list kopią raportu, bo właśnie napisał: „A Martin Beck robi się z każdym dniem kwaśniejszy i bardziej zdziwaczały”.

Kollberg wykręcił papier z wałka i powiedział:

- Ty sam.

219

- Co? Ja?

- Właśnie. W środę, jak Blond Malin tu była.

Martin Beck patrzył na Kollberga niedowierzająco.

- Dziwne — powiedział. — Nie przypominam sobie.

W każdym razie niedorzecznością jest wysłać z takim poleceniem Norrlandczyka, który z trudem trafia na

Stureplan.

Nordin miał obrażoną minę, ale w głębi duszy przyznał rację Martinowi Beckowi.

- Rónn — powiedział Martin - ty się wywiedz, gdzie Góransson bywał, z kim przestawał, czym się zajmował. I spróbuj złapać tego Bjórka, u którego mieszkał.

- Dobrze - powiedział Rónn.

Był zajęty sporządzaniem listy wszelkich możliwych znaczeń ostatnich słów Schwerina. Zaczął od *din raka aj*. A najnowsza interpretacja brzmiała *den inre kaj*.

Każdy był zajęty swoim odcinkiem.

W poniedziałek Martin Beck wstał o wpół do siódmej po bezsennej właściwie nocy. Źle się czuł, a czekolada, wypita w kuchni w towarzystwie córki, nie zrobiła mu dobrze. Pozostali członkowie rodziny nie zjawili się jeszcze. Żona miewała rano znakomity sen, a chłopak widać po niej odziedziczył tę cechę, bo zawsze miał trudności ze wstawaniem. Tylko Ingrid wstawała o wpół do siódmej a za kwadrans ósma drzwi się za nią zamykały. Zawsze. Inga uważała, że można by zegarki według niej regulować.

Inga miała wyraźną słabość do utartych zwrotów.

Można by sporządzić zbioręk frazesów używanych przez

nią potocznie i sprzedać go jako kompendium dla wyjąłowanych z pomysłowości dziennikarzy. Rodzaj bryka. Książka powinna mieć tytuł „Umiesz mówić, umiesz pisać”. - Takim rozmyślaniom oddawał się Martin Beck.

- O czym myślisz, tatusiu? - spytała Ingrid.
- O niczym - odpowiedział machinalnie.
- Od wiosny nie widziałam, żebyś się śmiał.

Martin Beck oderwał wzrok od ceraty w tańczące krasnoludki i usiłował się uśmiechnąć patrząc na córkę. Ingrid była wspaniałą dziewczyną, ale to też nie był właściwie powód do śmiechu. Ingrid wstała i poszła po książki. Gdy ojciec włożył kapelusz, płaszcz i kalosze, czekała już na niego z ręką na klamce. Wziął od niej teczkę. Była to stara, wytarta skórzana teczka, oblepiona kolorowymi znaczkami organizacji ONZ.

To też było przyzwyczajenie. Niósł teczkę Ingrid tak samo jak przed dziewięciu laty, gdy pierwszy raz szła do szkoły. Tylko wtedy trzymał ją za rękę. Małą, gorącą i spoconą rączkę, drżącą z podniecenia i niepokoju. Kiedy przestał prowadzić ją za rękę? Nie pamiętał.

- W Wigilię będziesz się w każdym razie śmiał

powiedziała.

- Czyżby?
- Tak. Jak zobaczysz prezent gwiazdkowy ode mnie.
- Zmarszczyła brwi i dodała: - Nie wyobrażam sobie, żeby się można było nie śmiać.
- A co ty byś chciała dostać, przy okazji?
- Konia.

221

- A gdzie go postawisz?
- Nie wiem. W każdym razie chciałabym mieć konia.
- Wiesz, ile koń kosztuje?
- Niestety, wiem.

Rozstali się.

Na Kungsholmsgatan czekał Gunvald Larsson i dochodzenie, które nie zasługiwało nawet na miano zawodów w zgadywaniu. Hammar był tak uprzejmy, że podkreślał to nie dalej jak wczoraj.

- A co z alibi Turego Assarssona? - spytał Gunvald Larsson.

- Alibi Turego Assarssona należy do najpewniejszych w historii kryminalistyki — powiedział Martin Beck. — Bo w krytycznym momencie wygłaszał mowę do dwudziestu pięciu osób. I znajdował się w Hotelu Miejskim w Södertal-

je.

- Aha - markotnie przyjął do wiadomości Gunvald Larsson.

- A poza tym, jeśli pozwolisz, nie wydaje się specjalnie logiczne przypuszczenie, że Gósta Assarsson nie zauważył własnego brata, wsiadającego do autobusu z pistoletem maszynowym pod płaszczem.

- Co do płaszcza — powiedział Gunvald Larsson — to musiał być dość obszerny, jeżeli mógł pod nim ukryć trzydziestkęsiódemkę. Raczej miał pistolet w walizce.

- W tym wypadku masz rację.

- Zdarza się rzeczywiście, że miewam rację.

- Całe szczęście - rzekł Martin Beck. - Gdybyś nie miał racji przedwczoraj wieczorem, ładnie byśmy teraz

222

wyglądali. - I wskazując na rozmówcę papierosem dodał:

- Ale pewnego dnia wpadniesz, Gunvald.

- Nie sędzę - powiedział Gunvald i ciężko tupiąc wyszedł z pokoju. W drzwiach spotkał Kollberga, który szybko ustąpił mu z drogi i z ukosa patrząc na szerokie plecy Larssona spytał:

- No, jak tam żywy taran? Rozgoryczony?

Martin Beck przytaknął. Kollberg podszedł do okna.

- Niech to diabli — powiedział.
- Asa wciąż u was mieszka?
- Tak - odpowiedział Kollberg - ale nie mów: „Cóż to, harem sobie urządziłeś”, bo to już pan Larsson powiedział.

Martin Beck kichnął.

- Na zdrowie — powiedział Kollberg. - Mało brakowało, żebym go oknem wyrzucił.

Martin Beck pomyślał, że Kollberg jest jednym z nielicznych, zdolnych do czegoś podobnego.

- Dziękuję - powiedział.
- Za co dziękujesz?
- Że powiedziałeś na zdrowie.
- Słusznie. Mało kto wie, że trzeba dziękować. Miałem raz taki przypadek. Pewien fotoreporter zbił swoją żonę na kwaśne jabłko i wyrzucił ją nago na śnieg, bo mu nie podziękowała, kiedy powiedział na zdrowie. W Sylwestra. Był oczywiście zalany.

Przez chwilę milczał, a potem dodał z wahaniem:

- Nic więcej z niej nie można wydobyć, mam na myśli Asę.

223

- Wiemy już, czym się Stenström zajmował—powiedział

Martin Beck.

Kollberg spojrział ze zdumieniem.

- Wiemy?

— Tak. Morderstwem popełnionym na Teresie. Jasne jak słońce.

- Teresie?

— Tak. Nie wpadłeś na to?

- Nie - powiedział Kollberg. — Na to nie wpadłem, choć zrobiłem przegląd wszystkich wypadków z ostatnich dziesięciu lat. Dlaczego nic nie powiedziałeś?

Martin Beck przyglądał mu się w milczeniu, obgryzając długopis jednocześnie. Myśli ich biegły wspólnym torem, Kollberg wyraził je w słowach:

— Widać nie wszystko można przekazać drogą telepatii.

— Istotnie - powiedział Martin Beck. — A poza tym wypadek z Teresą miał miejsce przed szesnastu laty. I ty nie miałeś nigdy do czynienia z tym dochodzeniem. Wydaje mi się, że jedynym, jaki pozostał z tamtych czasów, jest Ek.

- A ty już przestudiowałaś akta?

— Skądże. Przejrzałem tylko. Parę tysięcy stron protokołów. Wszystkie dokumenty znajdują się w Vastberdze. Pojedziemy tam?

— Tak. Trzeba to odświeżyć w pamięci.

W samochodzie Martin Beck powiedział:

- Tyle chyba pamiętasz, żeby rozumieć, dlaczego

Stenström zajął się właśnie Teresą?

Kollberg kiwnął głową.

224

- Tak. Dlatego, że to było najtrudniejsze ze wszystkiego, czym się mógł zająć.

- Właśnie. Najniemożliwsze z niemożliwego. Chciał raz wszystkim pokazać, na co go stać.

- I dał się zastrzelić - powiedział Kollberg. - Do diabła. Gdzie tu jest jakiś związek?

Martin Beck nie odpowiedział i nic już nie mówili; dopiero gdy po wielu rozważaniach dobili do Vasbergi, zaparkowali przed gmachem komendy i wyszli na śnieg z deszczem, Kollberg powiedział:

- Czy wypadek Teresy mógłby zostać wyjaśniony? Teraz?

- Trudno mi to sobie wyobrazić - powiedział Martin Beck.

XXV

Kollberg ciężko wzdychając, apatycznie i bezładnie przeglądał skoroszyty z raportami.

- Tygodnia chyba trzeba, żeby przez to wszystko przebrnąć - powiedział.
- Co najmniej. Czy znasz zasadnicze okoliczności?
- Nie. Nawet w najogólniejszym zarysie nie.
- Jest tu gdzieś streszczenie. Albo mogę ci je w skrócie przedstawić.

Kollberg wyraził zgodę. Martin Beck szperając w papierach powiedział:

225

- Dane są jasne i jednoznaczne. Bardzo proste. Na tym właśnie polega trudność.
- Zaczynaj — ponaglił Kollberg.
- Rano dziesiątego czerwca tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego pierwszego roku, a więc przeszło szesnaście lat temu, pewien człowiek, szukając kota, który mu uciekł, znalazł w zaroślach koło boiska sportowego Stadshagen na Kungsholmen zwłoki kobiety. Była naga, leżała na brzuchu, z rękami wyciągniętymi wzdłuż boków. Badanie lekarskie wykazało, że została uduszona i że nie żyła już od pięciu mniej więcej dni. Ciało było dobrze zachowane, prawdopodobnie leżało w chłodni czy czymś podobnym. Cały obraz zbrodni wskazywał niezbicie na morderstwo na tle erotycznym, ale wobec tego, że wiele czasu minęło,

obdukcja nie mogła ustalić zupełnie pewnych oznak, że została zgwałcona.

- Co przeważnie towarzyszy morderstwu na tle erotycznym — stwierdził Kollberg.

- Właśnie. Z drugiej strony badanie miejsca zbrodni wskazywało na to, że ciało mogło tam leżeć najwyżej dwanaście godzin, zostało to potem potwierdzone przez świadka, który poprzedniego wieczoru przechodził obok tych zarośli i nie mógłby nie zauważyć złok, gdyby tam leżały. Następnie znaleziono nitki i strzępki materiału wskazujące na to, że zwłoki przetransportowano zawinięte w szary koc. Jasne więc, że miejsce znalezienia nie było identyczne z miejscem zbrodni, że zwłoki wyrzucono w krzaki. Nie zadając sobie trudu przykrycia ich mchem czy gałęziami. Tak, to by było wszystko... chociaż nie,
226

jeszcze dwie rzeczy. Przez wiele godzin przed śmiercią nie jadła. Żadnych śladów mordercy, jak odciski palców i tym podobne, nie znaleziono.

Martin Beck przewrócił kartkę i przeglądał maszynopis.

- Zabita kobieta jeszcze tego samego dnia została zidentyfikowana. Była to Teresa Camarao. Dwadzieścia sześć lat, urodzona w Portugalii. Przyjechała do Szwecji

w tysiąc dziewięćset czterdziestym piątym i w tymże roku wyszła za swego rodaka, Henrique Camarao. Był o dwa lata starszy od niej i pracował jako telegrafista we flocie handlowej, po zejściu na ląd został radiotechnikiem.

Teresa Camarao urodziła się w Lizbonie i według policji portugalskiej pochodziła z dobrego domu, z ogólnie szanowanej rodziny. Górne warstwy klasy średniej.

Przyjechała na studia, nieco spóźnione z powodu wojny.

Studiów nie podjęła. Spotkała natomiast tego Henrique Camarao i wyszła za niego. Dzieci nie mieli. Dobrze sytuowani. Mieszkali przy Torsgatan.

- Kto ją zidentyfikował?

- Policja. To znaczy personel obyczajówki. Już im była znana, i to od dwóch lat. W czterdziestym dziewiątym roku, piętnastego maja - towarzyszyły temu takie okoliczności, że można dokładnie ustalić datę - życie Teresy uległo zupełnej zmianie. Uciekła z domu — tak tu napisano — i od tego czasu obracała się w podziemnym świecie. Krótko mówiąc została dziwką. Okazała się nimfomanką i w ciągu dwóch lat żyła z setkami mężczyzn.

- Tak, przypominam sobie - powiedział Kollberg.

- A teraz dochodzimy do sedna. W ciągu trzech dni

policji udało się znaleźć trzech świadków, którzy o wpół do dwunastej wieczorem w dniu dziewiętnastego czerwca widzieli samochód zaparkowany przy Kungsholshagatan, u wylotu tej ścieżki, koło której znaleziono zwłoki. Trzej mężczyźni. Dwóch przejeżdżało tamtędy samochodem, jeden przechodził. Ci, co przejeżdżali, widzieli mężczyznę stojącego przy samochodzie. Obok na ziemi leżał jakiś przedmiot wielkości ludzkiego ciała, owinięty w coś, co mogło być szarym kocem. Trzeci świadek przechodził kilka minut później i widział tylko samochód. Opis owego mężczyzny był mętny. Padał deszcz, było mroczno i o osobniku tym z całą pewnością można było powiedzieć, że był dość wysoki. Przy bliższym ustaleniu, co należy rozumieć przez dość wysoki, były wahania od metr siedemdziesiąt pięć do metr osiemdziesiąt trzy, granica obejmująca dziewięćdziesiąt procent męskiej ludności kraju. Ale...

- Ale co?

- Ale jeśli o pojazd chodzi, wszyscy świadkowie byli zgodni. Każdy z osobna twierdził, że był to wóz produkcji francuskiej, marki Renault, typ CV-4, model wypuszczony w tysiąc dziewięćset czterdziestym siódmym a potem ukazujący się z roku na rok z nieznacznymi zmianami.

- Renault CV-4 - powiedział Kollberg. - Porsche go

narysował, kiedy Francuzi trzymali go w więzieniu jako przestępcę wojennego. Zamknęli go w fabrycznej wartowni. Siedział i rysował. Potem został oczywiście zwolniony, a Francuzi miliony zarobili na tym samochodzie.

- Twoje wiadomości w bardzo różnych dziedzinach są zdumiewające - sucho powiedział Martin Beck. - Może

228

więc mógłbyś mi teraz powiedzieć, jaki związek zachodzi między sprawą Teresy a tym, że Stenström został zastrzelony przez masowego mordercę w autobusie cztery tygodnie temu?

- Poczekaj no — powiedział Kollberg. — Co się stało potem?

- Co następuje: policja sztokholmska przeprowadziła śledztwo zakrojone na niespotykaną w naszym kraju skalę. Protokoły urosły do gigantycznych rozmiarów. Sam możesz zobaczyć. Przesłuchano setki osób, które znały Teresę Camarao i miały z nią kontakt, ale nie udało się ustalić, kto widział ją ostatni. Ślad jej urywał się dokładnie na tydzień przed znalezieniem trupa. Spędziła noc z pewnym facetem w hotelu na Nybrogatan, rozstała się z nim w południe przed winiarnią na Master Samuelsgatan. Kropka. Potem wytropiono wszystkie wozy marki CV-4.

Najpierw w Sztokholmie, bo świadkowie twierdzili, że pojazd miał znak A. Potem sprawdzano wszystkie takie wozy w całym kraju, bo tablica rejestracyjna mogła być fałszywa. Zajęło to prawie cały rok. I w końcu okazało się, rzeczowo zostało udowodnione, że żaden z tych wozów nie mógł stać przy Stadshagen o wpół do dwunastej wieczorem dziesiątego czerwca tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego pierwszego roku.

- No i co wtedy? - spytał Kollberg.

- A właśnie. Wtedy całe śledztwo stanęło na martwym punkcie. Po prostu skończyło się. Doprowadzone do kropki, zamknięte. Tylko jednego w nim brakowało: kto zamordował Teresę Camarao. Ostatnie podrygi dochodzeń

229

w sprawie Teresy datuje się z pięćdziesiątego drugiego roku, kiedy duńska, norweska i fińska policja zakomunikowały, że ten nieszczęsny wóz nie mógł pochodzić ze Skandynawii. A jednocześnie szwedzka służba celna stwierdziła, że nie mógł też przybyć z żadnego innego kraju. Pamiętasz może, że w owych czasach nie tak wiele było samochodów i przepuszczenie jakiegokolwiek pojazdu przez granicę wymagało mnóstwa formalności.

- Tak, pamiętam. A ci świadkowie?

- Świadkowie z samochodu pracowali razem. Jeden był majstrem w warsztatach samochodowych, drugi mechanikiem samochodowym. A ten trzeci też był dobrze zorientowany, jeżeli chodzi o samochody. Bo to był z zawodu... no, zgadnij.

- Dyrektor wytwórni Renaulta?

- Nie. Posterunkowy policji. Specjalista od ruchu drogowego. Carlberg się nazywał. Już nie żyje. Ale i w tym punkcie niczego nie zaniedbano. Wtedy już trochę zaczęto się zajmować psychologią świadków. Tak więc ci trzej poddani zostali całemu szeregowi testów. Każdy z osobna musiał identyfikować sylwetki samochodów różnych typów, rzutowane przez epidiaskop. Wszyscy trzej rozpoznali wszystkie będące w obiegu samochody, a majster dawał sobie radę z najbardziej apokryficznymi modelami jak Hispano-Suiza i Pegaso. Nie można go było nabrać rysując samochód nie istniejący. Od razu mówił, że przednia część to Fiat pięćset, a tylna Dyna Panhard.

- Dobrze - powiedział Kollberg. - A co na to, tak prywatnie, chłopcy prowadzący śledztwo?

230

- Na wewnętrzny użytek mówiło się: Morderca jest w naszych papierach, to któryś z tych, co sypiali z Teresą

Camarao, w napadzie takiego czy innego rodzaju szaleństwa, jakie ogarnia erotomanów, zdarzyło mu się ją udusić.

Śledztwo utknęło, bo ktoś tam nawalił przy kontroli wozów Renault. Sprawdźmy jeszcze raz. A potem nie bez racji pomyśleli, że za wiele czasu minęło, ślad już zupełnie wystygł. W dalszym ciągu uważali, że kontrola samochodów zawiodła i że za późno już, żeby temu zaradzić. Jestem pewien, że na przykład Ek, który brał wtedy w tym udział do dziś tak myśli. Ja sam w to raczej nie wierzę. Nie widzę innego wyjaśnienia.

Kollberg przez chwilę milczał, a potem spytał:

- Co się stało z Teresą tego dnia, o którym wspomniałeś?
W maju czterdziestego dziewiątego?

Martin Beck przerzuciwszy papiery powiedział:

- Doznała wstrząsu, który doprowadził do fenomenu psychologicznego i wywołał stan psychiczny i fizyczny względnie rzadki, ale bynajmniej nie wyjątkowy. Teresa Camarao wzrosła w lepszej sferze. Jej rodzice, tak jak i ona byli katolikami. Wychodząc za mąż w wieku lat dwudziestu była niewinna. Przez cztery lata żyła z mężem w sposób typowo szwedzki, choć oboje byli cudzoziemcami.

W środowisku typowym dla dobrze sytuowanych warstw klasy średniej. Była opanowana, dość rozsądna, usposobienie

miała spokojne. Jej mąż uważał, że są szczęśliwym małżeństwem. Była, jak to określił jakiś lekarz, starannie wyhodowanym produktem obu tych środowisk, ortodoksyjnie katolickiej wyższej sfery i szwedzkiego mieszczaństwa,
231

ze wszystkimi tabu, jakich każde z tych środowisk ściśle przestrzega. Piętnastego maja czterdziestego dziewiątego mąż jej wyjechał służbowo do Norrlandii. A ona poszła na odczyt z przyjaciółką. Spotkały tam mężczyznę, którego przyjaciółka od dawna znała. Odprowadził je do mieszkania państwa Camarao na Torsgatan, gdzie przyjaciółka miała nocować, bo też była słomianą wdową. Pili herbatę, wino, rozmawiali o odczycie. Ten facet poszedł tam dlatego, że pokłócił się ze swoją dziewczyną, z którą zresztą wkrótce potem się ożenił. Nie miał co z sobą robić. Teresa wydawała mu się ładna, bo też była ładna, więc zaczął się do niej przystawiać. Przyjaciółka wiedząc, że trudno sobie wyobrazić osobę bardziej niż Teresa moralną, położyła się na sofie w hallu, w zasięgu głosu. Facet z dziesięć razy namawiał Teresę, żeby też się położyła, a ona odmawiała. Wtedy chwycił ją na ręce, zaniósł do sypialni, rozebrał i położył się z nią. Teresa Camarao, o ile wiadomo, nigdy przedtem jako osoba dorosła nie pokazała się nikomu

nago, nawet żadnej kobiecie. Nigdy też nie doznała orgazmu. Tej nocy doznała go dwadzieścia razy, czy coś koło tego. Nad ranem facet sobie poszedł. Przez najbliższy tydzień dzwoniła do niego po dziesięć razy dziennie, a potem już nigdy o niej nie słyszał. Przestał się ze swoją dziewczyną gniewać, pobrali się i byli szczęśliwi. W tym stosie skoroszytów jest dziesięć jego przesłuchań. Był w opałach, ale miał alibi, nie posiadał samochodu i poza tym przyzwoity człowiek, dobry mąż, szczęśliwy w małżeństwie, nigdy nie zdradzający żony.

- A Teresa zaczęła szaleć?

232

- Tak. Dosłownie. Uciekła z domu. Mąż się jej wyrzekł, została usunięta z kręgów, w których się dotychczas obracała. W ciągu dwóch lat przez dłuższe lub krótsze okresy mieszkała z dwudziestoma różnymi mężczyznami a miała stosunki z dziesięciokrotnie większą liczbą.

Nimfomanka, chciała spróbować wszystkiego, zaczynała darmo, w końcu jednak od czasu do czasu przynajmniej przyjmowała pieniądze. Nigdy nie spotkała kogoś, kto by z nią dłużej wytrzymał. Zaprzyjaźnionych kobiet nie miała. W ciągu niespełna pół roku porobiła znajomości we względnie nieszkodliwych kręgach świata zwanego

podziemnym. Zaczęła też pić. Policja obyczajowa знаła ją, ale jeszcze nie podpadła na dobre. Ktoś zamierzał przymknąć ją za włóczęgostwo, ale nim to się stało, nie żyła.

Martin Beck wskazał na stosy raportów.

- Wśród tych papierów jest wiele przesłuchań mężczyzn, którzy się z nią zetknęli. Mówili, że była natrętna i nie sposób ją było zaspokoić. Większość z nich już przy pierwszym razie ogarniało przerażenie, zwłaszcza gdy byli żonaci i tylko przypadkowo skoczyli sobie w bok. Znała sporo mętnych typów, półgangsterów, złodziejasków, cwaniaków samochodowych, waluciarzy i różnych takich. Pamiętasz przecież ówczesną klientelę.

- A co się stało z jej mężem?

- Nie bez racji uznał się za skompromitowanego, zmienił nazwisko, przyjął obywatelstwo szwedzkie. Spotkał dobrze wychowaną dziewczynę ze Stocksund, ożenił się, mają dwoje dzieci i żyją szczęśliwie we własnej willi na Lidingó. Alibi ma pewne. Jak flota kapitana Cassela.

233

— Jak co?

- O flocie to jakoś nic nie wiesz - stwierdził Martin Beck.

— Zajrzyj do tej teczki, to zrozumiesz, skąd Stenstróm wziął niektóre ze swych pomysłów.

Kollberg zajrzał do teczki.

- O rety - powiedział — ale dziewczyna. Jeszcze takiej nie widziałem. Kto te zdjęcia robił?

— Pewien interesujący się fotografią osobnik mający doskonałe alibi i nie posiadający samochodu marki Renault. Tylko w przeciwieństwie do Stenstróma on swoje fotografie sprzedawał i dobrze na nich zarabiał. Nie zapominaj, że wtedy nie mieliśmy jeszcze takiego zalewu bardzo zaawansowanej pornografii jak obecnie.

Przez chwilę milczeli. Wreszcie Kollberg powiedział:

— A co to wszystko ma za związek z tym, że Stenstróm i osiem innych osób zostało zastrzelonych w autobusie po szesnastu latach?

- Żadnego - odparł Martin Beck. - Po prostu wrócimy teraz do upośledzonego na umyśle mordercy, żadnego rozgłosu.

— Dlaczego on nie powiedział... — zaczął Kollberg i urwał.

- Właśnie - powiedział Martin Beck. - Wszystko to można wyjaśnić w sposób zupełnie naturalny. Stenstróm przejrzał nie wyjaśnione wypadki. A ponieważ był chciwy chwały, ambitny i wciąż jeszcze trochę naiwny, wybrał najbardziej beznadziejny. Jeżeli rozgryzie morderstwo

Teresy, będzie to wyczyn nie mający sobie równego. Nam nic nie powiedział, bo podejrzewał, że niektórzy by go

234

wyśmieli. Gdy powiedział Hammarowi, że nie chce brać się do czegoś, co jest dla niego za stare, już się na tę sprawę zdecydował. Gdy Teresa Camarao leżała na marach, Stenström miał dwanaście lat i z pewnością nie czytywał gazet. Sądził więc, że będzie mógł mieć na to zupełnie nieuprzedzone spojrzenie. Przekopał się przez wszystkie te przesłuchania.

— I co znalazł?

— Nic. Bo nic do znalezienia nie było. Tu nie ma żadnej nici do uchwycenia się.

— Skąd możesz wiedzieć?

— Wiem, bo sam dokładnie to samo robiłem jedenaście lat temu. I nic nie znalazłem. Nie miałem tylko Asy Torell do przeprowadzenia psychologicznych eksperymentów. Kiedy mi powiedziałaś, co z nią wyczyniał, od razu zrozumiałem, jakim wypadkiem się zajął. Zapomniałem tylko, że ty nie wiesz o Teresie Camarao tyle co ja. Powinienem był zresztą domyślić się od razu, kiedy znaleźliśmy te zdjęcia w jego szufladzie.

— Próbował więc swego rodzaju psychometody.

— Tak. Jedyne, co pozostało. Znaleźć kogoś przypominającego pod pewnymi względami Teresę i badać jego reakcje. Jest w tym pewien sens, zwłaszcza jeśli osobę o podobnych właściwościach ma się we własnym domu. W przeciwnym razie trzeba by się zwrócić do jasnowidza. Była już taka mądra głowa, co na to wpadła. To jest w tych dokumentach.

— Ale wszystko to nie mówi nam, co Stenstróm robił w autobusie.

235

- Nic. Zupełnie nic.

- W każdym razie parę rzeczy sprawdzę - powiedział Kollberg.

- Zrób to - odpowiedział Martin Beck.

Kollberg odszukał Henrique Camarao, który nazywał się teraz Henrik Caam; otyły mężczyzna w średnim wieku, z westchnieniem, zerkając w kierunku swej jasnowłosej żony z lepszej sfery i trzynastoletniego syna w aksamitnej marynareczce i z fryzurą beatlesa, powiedział:

- Czy ja nigdy nie będę mieć spokoju? Latem był tu młody detektyw...

Kollberg sprawdził alibi dyrektora Caama na wieczór trzynastego listopada. Było bez zarzutu.

Odszukał także mężczyznę, który osiemnaście lat temu robił zdjęcia Teresy. Znalazł zapijaczzonego, bezzębnego starego złodzieja w celi oddziału recydywistów na Langholmen. Stary wydał wargi i powiedział:

- Teresa. Czy pamiętam. Miała brodawki na piersiach jak kapsle na butelkach z wódką. Tu zresztą parę miesięcy temu był już jakiś tajniak...

Kollberg uważnie przeczytał wszystkie raporty do ostatniego słowa. Zajęło mu to dokładnie tydzień.

Wieczorem w czwartek osiemnastego grudnia przeczytał ostatnią stronę. Potem popatrzył na żonę, od paru już godzin śpiącą. Leżała na brzuchu, z głową wciśniętą w poduszkę, z podciągniętą prawą nogą; kołdrę zsunęła aż do pasa. Usłyszał trzeszczenie kanapy w bawialnym

236

pokoju, to Asa Torell wstała, na palcach poszła do kuchni i piła wodę. Wciąż źle sypiała.

Nie ma w tym żadnej luki, myślał Kollberg. Żadnej nici przewodniej. Zrobię jednak jutro listę osób, które były przesłuchiwane lub którym udowodniono, że przestawały z Teresą Camarao. A potem zobaczymy, kto z nich jeszcze żyje i czym się trudni.

XXVI

Miesiąc minął od czasu oddania sześćdziesięciu siedmiu strzałów w autobusie na Norra Stationsgatan, a dziewięciokrotny morderca wciąż był wolny.

Komenda główna policji, prasa i wysyłająca memoriały społeczność nie były jedynymi czynnikami wykazującymi zniecierpliwienie. Jeszcze jednej kategorii ogromnie zależało na tym, żeby policja możliwie jak najszybciej ujęła winnego. Kategorię tę stanowili ludzie potocznie określani mianem świata podziemnego.

Większość tych, którzy normalnie trudnili się działalnością kryminalną, przez ostatnie miesiące zmuszona była do zupełnej bezczynności. Jak długo policja była w stanie alarmowym, należało zachować ostrożność. Nie było więc w całym Sztokholmie złodzieja, oszusta, włamywacza, pasera, pokątnego sprzedawcy i sutenera, który nie pragnąłby, żeby morderca masowy wreszcie został ujęty i że bby policja znowu zajęła się demonstracjami przeciw

237

wojnie w Wietnamie i mandatami za nieprawidłowe parkowanie, a oni mogli przejść do normalnej działalności. W rezultacie więc w tym jednym wypadku przestępcy solidaryzowali się z policją i większość nie miała nic przeciw temu, żeby przyczynić się jakoś do znalezienia

poszukiwanego.

Rónn zajmował się odnalezieniem części składowych łamigłówki zwanej się Nils Erik Góransson i owa usłużność znacznie mu pracę ułatwiała. Orientował się oczywiście doskonale w motywach niezwyklej gorliwości, z jaką się spotykał, co nie przeszkadzało, że był za nią wdzięczny.

Ostatnie noce wypełniło mu szukanie kontaktów z ludźmi, którzy znali Góranssona. Odnajdywał ich w domach przeznaczonych na zburzenie, w knajpach, piwiarniach, salach bilardowych i hotelach dla samotnych. Nie wszyscy mieli chęć informowania, ale wielu informowało.

W wigilię świętej Łucji na barce przy nabrzeżu południowym spotkał dziewczynę, która obiecała, że następnego wieczora pozna go z Sunem Bjórkiem, który przez kilka tygodni dzielił z Góranssonem mieszkanie.

Następnego dnia wypadał czwartek. Rónn, który przez ostatnie doby sypiał tylko po parę godzin, spał do południa. Wstał około pierwszej i pomógł się żonie zapakować. Namówił ją, żeby razem z synem pojechała na święta do swych rodziców w Arjeplog, bo podejrzewał, że w tym roku niewiele będzie mieć czasu na świętowanie Bożego Narodzenia.

Gdy pociąg uwożący żonę odjechał, wrócił do domu,

238

zasiadł przy kuchennym stole, ułożył przed sobą raport Nordina i swój własny notatnik, włożył okulary i wziął się do pisania:

Nils Erik Goransson.

Urodzony w parafii fińskiej, w Sztokholmie, 4.10.1929.

Rodzice: Algot Erik Goransson, elektryk, matka Benita Rantanen.

Rodzice rozwiedli się w 1936, matka przeniosła się do Helsinek, dziecko zostało przy ojcu.

Do roku 1946 G. mieszkał z ojcem w Sundbyberg.

Ukończył szkołę podstawową, potem dwa lata spędził na nauce u malarza.

W 1947 przeniósł się do Góteborga, gdzie pracował jako czeladnik malarski.

Ożenił się 1.12.1948 w Góteborgu z Gudrun Spensson.

Rozwiedli się 16.6.1949.

Od czerwca 1949 do marca 1960 był jungą na statkach linii Svea. Do listopada 1960 pracował w firmie malarskiej Amandusa Gustapssona, skąd go zwolniono, bo pił w czasie pracy. Potem nie miał stałego zajęcia, tylko dorywczo był zatrudniony jako strażnik nocny, posłaniec, tragarz w składach i tym podobne; utrzymywał

się

przypuszczalnie z drobnych kradzieży i innego rodzaju lżejszych czynów przestępczych. Nigdy jednak nie został przyłapany jako podejrzany o zbrodnię, tylko w różnych okolicznościach za awantury

po pijanemu. Czasami używał panińskiego nazwiska matki, Rantanen. Ojciec umarł w 1962 i od tego roku do 1964 syn mieszkał

w jego dawnym mieszkaniu w Sundbyberg. W 1964 został eksmitowany, bo przez trzy niiesiące nie płacił komornego.

Prawdopodobnie w 1964 zaczął używać narkotyków. Od tegoż rou

239

aż do śmierci nie miał stałego miejsca zamieszkania. W styczniu 1965 sprowadził się do Gurli Uófgren, przy Skeppar Karls grandj, i mieszkał z nią aż do wiosny 1966. Ani on, ani ona nie mieli w tym

czasie stałej pracy. Uófgren jest zareJstrowana w wydziale obyczajowym, ale ze względu na wiek i wygląd zewnętrzny nie mogła

wiele zdobyć prostytutką. Uófgren także używała narkotyków.

Gurli Uófgren umarła na raka w 1966 roku w wieku 40 lat.

Na początku marca 1966 Góransson zetknął się z Magdaleną

Rosen (Blond Malin) i mieszkał u niej przy Arbetargatan 3 do 29.8.1966. Od początku września do połowy października tegoż roku korzystał z mieszkania Sunego Bjórka.

W październiku—listopadzie dwukrotnie był na kuracji w szpitalu św. Gorana z powodu choroby wenerycznej (rzeżączki)

•

Matka, ponownie zamężna, od 1946 roku mieszka w Helsinkach. Została listownie zawiadomiona o śmierci syna.

Rosen twierdzi, że Góransson zawsze miał pieniądze, nie wie, skąd je brał. Według niej nie handlował narkotykami ani w ogóle. Żadnej podobnej działalności nie uprawiał.

Rónn odczytywał swe dzieło. Pisał tak drobnymi literkami, że wszystko to zmieściło się na ćwiartce papieru.

Złożył arkusz, schował do teczki, wsunął notatnik do kieszeni i poszedł na spotkanie z Sunem Bjórkiem.

Dziewczyna z barki czekała na niego na Mariatorget przy kiosku z gazetami.

- Ja tam nie pójdę - zastrzegła się. - Ale pogadałam z Sunem. Wie, że przyjdiesz. Mam nadzieję, że nie zrobiłam głupstwa. Nie jestem plociuch.

Dała mu adres na Tavastgatan i odeszła w kierunku Slussen.

Sune Bjórk był młodszy, niż Rónn oczekiwał, mógł mieć dwadzieścia pięć lat. Wyglądał dość przyjemnie, nosił blond brodę. Nic nie zdradzało narkomana. Rónn zastanawiał się, co go mogło łączyć z o wiele starszym i złajdaczonym Góranssonem.

Mieszkanie składało się z pokoju i kuchni i było skąpo umeblowane. Okno wychodziło na zaśmiecone podwórze. Rónn usiadł na jedynym w pokoju krześle, Bjór na łóżku.

- Słyszałem, że pan chce się dowiedzieć czegoś o Nissem. Muszę powiedzieć, że sam nie tak dużo wiem. Ale pomyślałem, że mógłby pan chociaż jego rzeczy zabrać.

- Schylił się i wyciągnął stojące w nogach łóżka kartonowe pudło. - Zostawił. Trochę rzeczy zabrał, jak się stąd wyniósł, a tu jest przeważnie ubranie. Łachy bez wartości. Rónn wziął pudło, ustawił obok krzesła.

- Mógłby mi pan powiedzieć, jak długo znał pan Góranssona, gdzie i kiedy się zetknęliście i jak doszło do tego, że pozwolił mu pan u siebie zamieszkać.

Bjórk usadowił się głębiej, skrzyżował nogi.

- Oczywiście, że mógłbym - powiedział. - Papierosa dostanę?

Rónn wyjął paczkę. Bjórk oderwał filtr i zapalił.

- To było zwyczajnie. Siedziałem przy piwie „Koło Franciszkanów”, a obok siedział Nisse. Nigdy go przedtem nie widziałem, ale zaczęliśmy gadkę i postawił wino.

Uważałem, że równy z niego chłop, więc gdy zamknęli a on powiedział, że nie ma mety, zabrałem go z sobą.

Skumaliśmy się tego wieczoru, a następnego dnia szarpnął

241

się na parę głębszych z zagrychą, w „Podmiejskiej”. To musiało być trzeciego lub czwartego września.

- Zauważył pan, że jest narkomanem? — spytał Rónn.

Bjórkk potrząsnął głową.

- Nie od razu. Ale po paru dniach wyciągnął rano strzykawkę i wtedy zrozumiałem. Pytał mnie zresztą, czy też chcę, ale ja nie używam.

Bjórkk podwinął rękawy koszuli powyżej łokci. Rónn wprawnym spojrzeniem stwierdził, że chyba mówi prawdę.

- Zbyt wiele miejsca pan tu nie ma. Dlaczego więc pozwolił mu pan mieszkać tu tak długo? I czy płacił za mieszkanie?

- Uważałem, że jest okay. Tak wprost nie bulił za spanie, ale forsy miał dość i zawsze kupował żarło i napitek i w ogóle.

- A skąd brał pieniądze?

- Tego nie wiem. I nie obchodziło mnie. W każdym razie nie pracował.

Rónn przyjrzał się rękom Bjórka, czarnym od wżartego w nie brudu.

- A pan gdzie pracuje?

- W samochodach - powiedział Bjórk. - Może by się pan trochę pospieszył, bo mam się za chwilę spotkać z babką. Co pan chce jeszcze wiedzieć?

- O czym mówił? Opowiadał coś o sobie?

- Mówił, że był na morzu, ale to musiało być dawno.

I o babkach. Zwłaszcza o jednej takiej, co z nią żył, ale jakoś się to niedawno rozlało. Powiadał, że była jak

matka, tylko lepsza. — Urwał. — Trudno matkę obszczekiwać,

242

chyba pan rozumie - dodał poważnie. - A tak w ogóle to nie był wyrywny do mówienia o sobie.

— A kiedy się stąd wyprowadził?

- Osiemnastego października. Pamiętam, bo to była niedziela i jego imieniny. Zabrał swój majdan, wszystko prócz tego tu. Dużo nie miał, w bagażniku by się zmieściło.

Powiedział, że trafia mu się mieszkanie, ale że za parę dni wpadnie. — Zgniół papierosa w filizance stojącej na

podłodze. - A potem go już nie widziałem. Sivan mówiła, że

nie żyje. To on naprawdę był jednym z tych w autobusie?

Rónn kiwnął głową.

— I nie wie pan, gdzie się potem obracał?

- Pojęcia nie mam. Już się nie odezwał i nie wiem, gdzie się obracał. On tu u mnie poznał wielu moich kumpli, ale ja nikogo z jego strony nie poznałem.

I właściwie mało o nim wiem.

Bjórkk wstał, podszedł do wiszącego na ścianie lusterka i uczesał się.

- Wiecie już, kto to był? - Mam na myśli tego z autobusu.

— Nie. Jeszcze nie wiemy.

Bjórkk zaczął się przebierać.

- Muszę się ogarnąć - powiedział. - Cizia czeka.

Rónn zabrał pudło i szedł ku drzwiom.

— Więc nie ma pan zupełnie pojęcia, gdzie się podziewał po osiemnastym października?

- Już powiedziałem, że nie. - Wyjął z komody czystą koszulę, rozerwał opaskę z pralni. - Jedno tylko wiem - dodał.

— Co takiego?

243

— Że okropnie się denerwował w ostatnich tygodniach, nim wybył. Taki był zaszczuty.

— Ale dlaczego, nie wie pan?

— Nie wiem.

Wróciwszy do pustego mieszkania, Rónn poszedł do kuchni i wyrzucił zawartość pudła na stół. Potem ostrożnie podnosił jeden przedmiot po drugim i oglądał je, po czym jeden za drugim wrzucał z powrotem do pudła.

Spękana, stara czapka, para kalesonów, niegdyś białych, skręcony krawat w czerwone i zielone prążki, pleciony pasek z mosiężną klamrą, fajka z obgryzionym ustnikiem, skórzana rękawiczka na ciepłej podszewce, para grubych żółtych skarpetek, dwie brudne chustki do nosa i zmięta niebieska koszula popelinowa.

Rónn miał właśnie odłożyć koszulę, gdy dostrzegł papier wystający z kieszeni. Rozwinął papier. Był to rachunek na 78 koron i 2 5 óre z restauracji „Strzała”. Datowany siedemnastego października, z wybitymi na maszynie pozycjami: jedna za jedzenie, sześć za wódkę i trzy za wodę.

Rónn odwrócił rachunek. Na marginesie lewej strony ktoś napisał:

8-X bf	3000
moffe	5 00
dług ga	100
dług mb	50

dr P.	650
razem	1300
zostaje	1700
244	

Rónn widział próbki pisma Góranssona u Blond Malin i wydało mu się, że je poznaje. Zapis ten tłumaczył sobie w ten sposób, że osiemnastego października, a więc w dniu wyprowadzenia się od Bjórka, Góransson otrzymał trzy tysiące koron, może od osoby mającej inicjały B.F., z tych pieniędzy za pięćset kupił morfiny, sto pięćdziesiąt zwrócił za długi, a sześćset pięćdziesiąt dał jakiemuś doktorowi P., może także za narkotyki. Zostało mu tysiąc siedemset.

A w miesiąc później, kiedy go znaleziono martwego w autobusie, miał przy sobie ponad tysiąc osiemset, musiał więc dostać jakieś pieniądze po osiemnastym października.

Rónn zastanawiał się, czy z tego samego źródła. Od jakiegoś B.F. Chociaż to nie musiała być osoba. Litery bf mogły oznaczać co innego.

Bankowe konto? To niepodobne do Góranssona.

Najprawdopodobniej jednak to człowiek. Rónn zajrzał do notatnika, ale nikt z tych, z którymi mówił albo których wymieniano w związku z Góranssonem, nie miał takich

inicjałów.

Rónn wyniósł karton i rachunek do przedpokoju.

Rachunek schował do teczki. Potem położył się i oddał rozmyślaniom, skąd też Góransson brał pieniądze.

XXVII

W czwartek rano dwudziestego pierwszego grudnia niezbyt przyjemnie było być policjantem. Poprzedniego wieczoru cała armia mundurowych i tajnych w środku

245

miasta, w szczycie świątecznej hysterii wdała się w skandaliczną zupełnie bezładną walkę z ciżbą robotników i intelektualistów wysypujących się z Domu Ludowego, gdzie odbył się wiec. Opinie dotyczące tego, co się właściwie stało, były podzielone i takie miały pozostać, ale trudno było o roześmianego policjanta w ten żalony i przenikliwie chłodny ranek.

Jedynym, któremu ten incydent przyczynił nieco radości, był Mansson. Nieopatrznie powiedział, że nie ma nic do roboty, i natychmiast został wysłany dla podtrzymania porządku. Zaczął od ukrycia się w cieniu kościoła Adolfa Fredrika na Sveavagen w nadziei, że rozruchy tu nie sięgną. Ale policja nacierała ze wszystkich stron, bezładnie i w sposób nieprzemyślany, a demonstranci, którzy gdzieś

przecież musieli pójść, zaczęli zbliżać się w stronę Manssona. Wycofał się możliwie szybko w kierunku północnym i idąc przez Sveavagen dotarł do jakiejś restauracji, gdzie wszedł, by ogrzać się i coś wyniuchać. Wychodząc wziął ze stolika wykałaczkę. Była owinięta w bibułkową tutkę i miała smak mentolowy.

Przypuszczalnie on jeden z całego zespołu policji był zadowolony tego żalosego rana. Bo już zadzwonił do intendenta restauracji i miał adres dostawcy.

Rónn nie był zadowolony. Wiało, a on stał na Ringvagen i przyglądał się dziurze w ziemi, brezentowej płachcie i kilku barierom drogowym rozstawionym dokoła. Dziura była najwyraźniej niezaludniona. Czego nie można
246

by powiedzieć o wozie roboczym ustawionym w odległości pięćdziesięciu metrów. Rónn znał cztery osoby siedzące wewnątrz wozu i cichcem manipulujące termosami.

Poprzestał więc na powiedzeniu:

— Cześć.

— Cześć i zamknij drzwi za sobą. Ale jeżeli to ty zdziesiąłeś mego chłopaka pałką w głowę wczoraj wieczorem na Barnhusgatan, to wcale nie chcę z tobą gadać.

— Nie — powiedział Rónn. — To nie mogłem być ja. Ja

siedziałem w domu przy telewizji. Żona pojechała do Norrlandii.

— Więc siadaj. Kawy chcesz?

— Owszem. Napiłbym się.

Po chwili padło pytanie:

— A o co ci właściwie chodzi?

— O Schwerina. On się przecież urodził w Ameryce.

Czy to można było poznać po jego wymowie?

— Ba! Zacinał się jak Anita Ekberg. A jak się upił, mówił po angielsku.

— Kiedy się upił?

— Tak. I kiedy był zły. Albo w ogóle, jak się zapomniał.

Rónn autobusem 54 wrócił na Kungsholmen. Był to czerwony piętrowy autobus typu Leyland Atlantean, z górnym piętrem pomalowanym na kremowo, i z lakierowanym szarym dachem. Wbrew twierdzeniu Eka, że piętrowce zabierają tylko tylu pasażerów, ile miejsc siedzących, autobus był przepełniony ludźmi dźwiagającymi paczki i siatki.

Przez całą drogę zastanawiał się. Potem na chwilę

247

usiadł przy biurku, następnie wszedł do sąsiedniego pokoju i spytał:

- Chłopcy, jak to będzie po angielsku „nie poznałem go”?
- Didn't recognize him — powiedział Kollberg nie podnosząc głowy znad swoich papierów.
- Wiedziałem, że mam rację - powiedział Rónn i wyszedł.
- Ten już zwariował — stwierdził Gunvald Larsson.
- Poczekaj no — powiedział Martin Beck. - Myślę, że on na coś wpadł.

Poszedł do Rónna. Pokój był pusty. Płaszcz i kapelusz zniknęły.

W pół godziny później Rónn znowu otworzył drzwi roboczego wozu na Ringvagen. Mężczyźni, będący towarzyszami pracy Schwerina, siedzieli na tych samych miejscach co przedtem. Dziura w ziemi wciąż wydawała się ręką ludzką nie tknięta.

- Cholera, ale się przestraszyłem - powiedział jeden z nich. - Myślałem, że to Olsson.
- Olsson?
- Tak. Albo Allson. Alf tak to wymawiał.

Rónn przedłożył swoje rezultaty dopiero następnego przedpołudnia, na dwa dni przed wigilią.

Martin Beck zatrzymał magnetofon i powiedział:

- Więc tobie się wydaje, że to ma być tak: Ty pytasz „Kto strzelał?”, a on odpowiada po angielsku: „Din't recognize him”.

248

- Tak.

A potem ty mówisz: „Jak on wyglądał?”, a Schwerin odpowiada: „Jak Olsson”.

- Tak. A potem umarł.

- Dobrze, Einar — powiedział Martin Beck.

- A któż to, u licha, ten Olsson? - spytał Gunvald Larsson.

- Kontroler. Chodzi od jednego do drugiego miejsca robót ulicznych i sprawdza, czy robotnicy pracują.

- No i jakże on wygląda? - zainteresował się Gunvald Larsson.

- Stoi w moim pokoju - nieśmiało powiedział Rónn.

Martin i Gunvald poszli popatrzeć na Olssona.

Gunvald Larsson patrzył tylko przez dziesięć sekund, potem powiedział - Aha! - i poszedł.

Olsson spojrział za nim, zdumiony.

Martin Beck został pół minuty dłużej i zdążył powiedzieć:

- Przypuszczam, że potrzebne dane zebrałeś.

- Oczywiście - odparł Rónn.

- A więc dziękuję, panie Olsson.

Martin Beck wyszedł, a Olsson wyglądał na jeszcze bardziej zdumionego niż przedtem.

Gdy Martin Beck wrócił z lunchu, na który udało mu się wmusić w siebie tylko szklanek mleka, dwa plasterki sera i filiżankę kawy, Rónn położył na jego biurku kartkę, noszącą lapidarny tytuł: Olsson.

Olsson — lat 46, z zawodu inspektor robót ulicznych.

Wzrost 183 cm, waży 77 kg, nago.

Włosy popielatoblond, oczy szare.

249

Twarz chuda, pociągła, o wyraźnych rysach; nos wydatny, nieco zakrzywiony; usta szerokie; wargi cienkie, zęby zdrowe.

Numer obuwia: 43.

Cera ciemna, co według jego informacji ma związek z zawodem, Zmuszającym do częstego przebywania na powietrzu.

Ubrany starannie: szary garnitur, biała koszula, krawat, czarne buty. Przy pracy, przebywając pod gołym niebem, nosi impregnowany płaszcz przeciwdeszczowy, do kolan, luźny i bardzo szeroki. Popielaty. Ma dwa takie płaszcze. Zimą Zawsze jednego z nich używa. Na głowie czarny skórzany kapelusz Z małym rondkiem. Obuwie grube, czarne, na rowkowanych gumowych podszwach. Kiedy pada deszcz czy

śnieg, nosi gumowe buty do kolan.

Olsson ma alibi na wieczór 13 listopada. W czasie między godziną 22 a 24 przebywał w lokalu klubu bridżowego, którego jest

członkiem. Uczestniczył w rozgrywkach, jego obecność tam poświadczają trzej pozostali gracze i protokół rozgrywek.

O Alfonsie (Alfie) Schwerinie Olsson mówi, że był rozmowny, ale leniwy i miał skłonność do trunków.

- Myślisz, że Rónn rozebrał go do naga, żeby go zważyć? — spytał Gunvald Larsson.

Martin Beck nie odpowiedział.

- Niezwykłe subtelne i łagodne wnioski - ciągnął dalej Gunvald Larsson. - Na głowie miał kapelusz a na nogach buty. Nos wydatny i nosi tylko jeden płaszcz, nie dwa na raz. I co to on ma nieco zakrzywione? Nos czy usta? Co zamierzasz z tym zrobić?

- Nie wiem. Swego rodzaju znaki rozpoznawcze.

- Oczywiście. Właściwe tylko Olssonowi.

250

— A jak z Assarssonem?

— Przed chwilą rozmawiałem z Jacobssonem — powiedział Gunvald. - Gruba ryba.

- Jacobsson?

- No, on też. Bardzo kwaśny, że nie oni to załatwili, tylko my musimy odwalać ich robotę.

- Nie my, tylko ty.

— Nawet Jacobsson przyznaje oczywiście, że Assarsson to największy hurtownik w tej branży, kogoś takiego jeszcze się im nigdy nie udało przyskrzynić. Musieli kolosalne pieniądze zgarniać ci braciszkanie.

— A ten drugi? Cudzoziemiec?

- To tylko łącznik. Grek. W tym sęk, że ma paszport dyplomatyczny. Też jest narkomanem. Assarsson przypuszcza, że to on wydał. Powiada, że nie ma większego niebezpieczeństwa, jak powierzyć coś kapusiowi. Jest wściekły. Pewnie dlatego, że się we właściwym czasie nie pozbył łącznika w odpowiedni sposób. — Urwał. — Ten Góransson w autobusie też był narkomanem. Może...

Gunvald Larsson nie skończył zdania, dało ono jednak do myślenia Martinowi Beckowi.

Kollberg ślęczał nad listą, ale niechętnie ją pokazywał. Zaczynał coraz lepiej rozumieć, jak czuł się Stenström, kiedy zajął się tym starym wypadkiem. Martin Beck zupełnie słusznie twierdził, że śledztwo w sprawie Teresy jest nie do zaczepienia. Jakiś niepoprawny formalista napisał nawet komentarz: „Wypadek pod względem

technicznym należy uważać za rozwiązany, śledztwo jest wzorowym przykładem doskonałej roboty policyjnej".

251

Praca nad wykazem osób, które miały do czynienia z Teresą, nie była łatwa. Zdumiewające, ilu ludzi może umrzeć, wyemigrować albo zmienić nazwisko w ciągu szesnastu lat. Inni znowu byli nieuleczalnie chorzy i oczekiwali końca w jakimś zakładzie. Albo też siedzieli w więzieniu, popadli w alkoholizm, byli internowani. Wielu po prostu zniknęło, pływali po morzach albo dawno przeprowadzili się do odległych części kraju, gdzie sobie i swym bliskim stworzyli zupełnie nowe warunki i po większej części nie mogli być poddani natychmiastowej kontroli. W wyniku tego w wykazie Kollberga znalazło się ostatecznie dwadzieścia osiem nazwisk. Osoby, które znajdowały się na wolnej stopie i w dalszym ciągu mieszkały w Sztokholmie albo w pobliskich miastach. Chwilowo miał tylko bardzo pobieżne wiadomości o tych ludziach. Ich obecny wiek, zawód, adres, stan cywilny. Lista, ułożona od jednego do dwudziestu ośmiu, w porządku alfabetycznym, przedstawiała się następująco:

1. Sven Ahlgren, 41, subiekt, Sztokholm, rozwiedziony
2. Karl Andersson, 63,?, Sztokholm (przysłanek Hogalid),

nieżonaty

3. Ingpar Bengtsson, 43, dziennikarz, Sztokholm, rozwiedziony

4. Kune Bengtsson, 66, dyrektor, Stocksund, żonaty

5. Jan Carlsson, 46, handlujący starzyzną, Upplands Vdsby,
nieżonaty

6. Kune Carlsson, 32, technik, Nacka 6, żonaty

7. Stig Ekberg, 83, b. robotnik, Sztokholm (dom starców
Rosenlund), wdowiec

8. Ove Eriksson, 41, mechanik samochodowy, Bandhagen,
żonaty

252

p. Valter Eriksson, 69, b. tragarz portowy, Sztokholm
(przysłulek Hógalid), wdowiec

10. Stig Ferm, 31, malarz, Sollentuna, żonaty

11. Bfórn Forsberg, 48, przedsiębiorca, Stocksund, żonaty

12. Bengt Fredriksson, 56, artysta, Sztokholm, rozwiedziony

13. Bo Frostensson, 66, aktor, Sztokholm, rozwiedziony

14. Johan Gran, 52, b. kelner, Solna, nieżonaty

15. Kenneth Karlsson, 33, szofer, Skdlby, żonaty

16. Lennart Findgren, 81 ,b. dyrektor banku, Fidingó 1, żonaty

17. Sven Fundstróm, 37, magazynier, Sztokholm, rozwiedziony

18. Tage Nilsson, 61, posłaniec, Sztokholm, nieżonaty

19. Carl-Gustaf Nilsson, 51, b. mechanik, Johanneshov,

rozwiedziony

20. Heinz Ollendorf, 46, artysta, Sztokholm, nieżonaty
21. Kurt Olsson, 19, dyrektor biura, Saltsjobaden, żonaty
22. Bernhard Peters, 39, kreślarz, Brom ma, żonaty (Murzyn)
23. Wilhelm Rosberg, 71,?, Sztokholm, wdowiec
24. Bernt Fur es son, 42, mechanik, Gustavberg, rozwiedziony
25. Ragnar Viklund, 60, major, Vaxholm, żonaty
26. Bengt Wahlberg, 38, kupiec (?), Sztokholm, nieżonaty
27. Hans Wennstfom, 76, b. subiekt w sklepie rybnym, Solna, nieżonaty
28. Fennart Óberg, 3;, inżynier, Enskede, żonaty

Kollberg westchnął przyglądając się swej liście. Teresa Camarao rozciągała swą działalność na wszystkie grupy socjalne. Operowała także wśród paru pokoleń. Gdy umarła, najmłodszy z zamieszczonych na liście miał piętnaście, najstarszy sześćdziesiąt siedem. Byli na tym

253

wykazie najróżniejsi ludzie od dyrektora ze Stocksund do starego rozpijaczzonego złodzieja w przytułku Hógalid.

- I co z tym zrobisz? — spytał Martin Beck.

- Nie wiem — odpowiedział Kollberg markotnie, ale zgodnie z prawdą.

Potem położył wykaz na stole Melandera.

- Ty wszystko pamiętasz. Więc jak będziesz mieć czas, zerknij, może przypomnisz sobie coś godnego uwagi o którymś z tych ludzi.

Melander spojrział na wykaz obojętnie i kiwnął głową.

Dwudziestego trzeciego na dzień przed Wigilią Mansson i Nordin odlecieli do domu, ku zadowoleniu wszystkich.

Mieli wrócić przed Nowym Rokiem.

Było zimno, pogoda okropna.

Spółeczeństwo konsumpcyjne trzeszczało w szwach.

Tego dnia wszystko można było sprzedać i za każdą cenę.

Kupowano najczęściej na talony kredytowe i czeki bez pokrycia.

Jadąc wieczorem do domu Martin Beck myślał o tym, że Szwecja ma pierwsze morderstwo masowe i pierwsze nie dające się wyjaśnić zabójstwo policjanta.

Śledztwo utknęło. A pod względem technicznym

- w przeciwieństwie do wypadku Teresy - wyglądało jak kupa śmiecia.

XXVIII

Wigilia.

Martin Beck dostał upominek gwiazdkowy, który wbrew przewidywaniom nie skłonił go do śmiechu.

254

Lennart Kollberg dostał upominek, który jego żonę

doprowadził do łez.

Obaj obiecywali sobie nie myśleć ani o Stenstrómie, ani o Teresie Camarao, i obu im się nie udało.

Martin Beck obudził się wcześnie, ale leżał w łóżku czytając książkę, póki reszta rodziny nie zaczęła dawać znaków życia. Wtedy wstał, powiesił w szafie ubranie, które wczoraj miał na sobie, i założył spodnie khaki i wełnianą koszulkę polo. Żona, która była zdania, że w dniu Wigilii należy być elegancko ubranym, uniosła brwi na widok jego stroju, ale chwilowo nic nie powiedziała. Podczas gdy żona zgodnie z tradycją pojechała na grób rodziców do Skogkyrkogarden, Martin Beck razem z Rolfem i Ingrid ubrał choinkę. Dzieci były podniecone i hałaśliwe, a on starał się jak mógł, by nie stłumić nastroju. Żona wróciła po spełnieniu obowiązku wobec zmarłych i Martin dzielnie uczestniczył w jedzeniu chleba maczanego w rosole, choć ten stary obyczaj uważał za ciężki do zniesienia. Wkrótce potem ból w dołku zaczął mu się dawać we znaki. Martin Beck tak przywykł do tego dokuczliwego, ćmiącego bólu, że nie przywiązywał do niego wagi, miał jednak wrażenie, że ostatnio bóle były mocniejsze i częstsze. Teraz nigdy już nie mówił z Ingą o tym, że źle się czuje. Dawniej robił to i omal go nie wykończyła swymi

odwarami z ziół i niewyczerpaną troskliwością. Dla niej choroba była wydarzeniem o życiowym znaczeniu.

Obiad wigilijny był niezmiernie obfity, zwłaszcza gdy się zważyło, że przeznaczony był dla czterech osób, z których jednej rzadko udawało się przełknąć normalną
255

porcję gotowanego jedzenia, jedna się odchudzała, a jedna była zbyt zmęczona przygotowaniem tego wszystkiego, żeby móc jeść. Pozostawał Rolf, który, trzeba przyznać, jadł za czworo. Syn miał dwanaście lat i Martin Beck nigdy nie przestawał się dziwić, jak w tym chudym ciele zdoła się zmieścić dziennie tyle jadła, ile on sam z trudem wmuszał w siebie w ciągu tygodnia.

Wszyscy pomagali przy zmywaniu, co też zdarzało się tylko w Wigilię.

Potem Martin Beck zapalił świeczki na choince, myśląc przy tym o braciach Assarsson, którzy importowali plastikowe choinki, a pod ich pokrywką — narkotyki. Pili grzane wino z bakaliami i Ingrid powiedziała:

— Chyba pora już wprowadzić konia.

Jak zwykle wszyscy obiecywali, że każdy dostanie tylko jeden prezent, i jak zwykle każdy kupił po kilka.

Martin Beck nie miał konia dla Ingrid, ale dostała

w zamian spodnie do konnej jazdy i pieniądze na opłacenie lekcji konnej jazdy w najbliższym półroczu.

On sam między innymi dostał dwumetrowej długości szalik zrobiony na drutach, Ingrid spoglądała wyczekująco. Paczka zawierała płytę. Na plastikowej laminowanej kopercie widniała fotografia tłustego mężczyzny, w dobrze znanym hełmie i mundurze londyńskiego bobby. Miał wielkie nastroszone wąsy, a na wsuniętych za pas rękach szydełkowe rękawiczki o pięciu palcach. Stał przed staroświeckim mikrofonem i sądząc z miny śmiał się na całe gardło. Tekst zamieszczony na kopercie głosił, że bobby nazywa się Charles Penrose, a tytuł 256

piosenki brzmi: „The Adventures of the Laughing Policeman”.

Ingrid przyniosła patefon i ustawiła na podłodze koło krzesła Martina.

— Poczekaj no tylko, jak usłyszysz. Pęknąć można.

- Wyjęła płytę z koperty i spojrzała na etykietę. — Pierwsza piosenka nazywa się „Śmiejący się policjant”. Pasuje, co? Martin Beck nie był zbytnim znawcą muzyki, ale natomiast poznał, że piosenka została nagrana w latach dwudziestych albo trzydziestych, a może wcześniej.

Przypomniało mu się, że słyszał tę piosenkę w dzieciństwie i jedna strofka wypłynęła nagle z jego pamięci.

Kiedy ci się spotkać zdarzy
policjanta, co się śmieje,
ocień, jak mu z tym do twarzy,
i w nagrodę daj gwineję.

O ile dobrze pamiętał, śpiewał to ktoś w skońskim dialekcie. Po każdej strofce następowała salwa śmiechu, najwidoczniej zaraźliwego, bo Inga, Rolf i Ingrid aż się zanosili.

Martin Beck nie potrafił zdobyć się na odpowiednią minę. Nie udało mu się nawet uśmiechnąć. By nie sprawić zbyt wielkiego zawodu, wstał i odwrócił się plecami, udając, że poprawia świece na choince.

Gdy płyta przestała się obracać, wrócił na swoje miejsce. Ingrid patrzyła na niego, wycierała łzy z oczu.

- Tatusiu, przecież ty się wcale nie śmiałeś - powiedziała z wyrzutem.

257

- Owszem, uważam, że to bardzo zabawne - zapewnił mało przekonującym tonem.

- A teraz tego posłuchaj — powiedziała Ingrid odwracając płytę. - „Jolly Coppers on Parade”.

- Wesole gliny paraduja - przetlumaczył Rolf.

Ingrid widocznie wiele juz razy przegrywala plyte, bo wlaczyła się i śpiewala w duecie ze śmiejącym się policjantem:

There's a tramp, tramp, tramp

At the end of the street

It's the jolly coppers walking on parade

And their uniforms are blue

And the brass is shining too

A finer lot of men were never made...

Choinka pachniała, świeceki płonęły, dzieci śpiewały, a Inga w nowym szlafroku na przemian drzemała i chrupała marcepanowego prosiaczka. Martin Beck pochylił się, oparł ręce na kolanach, brodę na rękach i patrząc na kopertę ze śmiejącym się policjantem myślał o Stenstrómie. Telefon zadzwonił.

W głębi duszy Kollberg wcale nie czuł się zadowolony a tym bardziej wolny. Ale ponieważ trudno byłoby ustalić, czego właściwie zaniedbał, nie było powodu, by psuć wigilijny nastrój niepotrzebnym martwieniem się.

Mieszał starannie składniki grzanego wina, próbował wielokrotnie, nim wreszcie go zadowolilo, siedział przy stole i przyglądał się otaczającej go scenerii, dającej złudne wrażenie idylli. Bodil leżała pod choinką gaworząc. Asa

Torell siedziała na podłodze po turecku, bawiąc się z dzieckiem. Gun snuła się po mieszkaniu z łagodną leniwą 258

nonszalancją, boso, ubrana w coś pośredniego między piżamą a sportowym dressem.

Nałożył sobie porcję suszonego sztokfiszka moczonego w mleku. Westchnął z zadowoleniem myśląc o dobrze zasłużonym sycącym, obfitym jedzeniu, jakim się za chwilę zacznie delectować. Wsunął serwetkę za kołnierzyk i udrapował ją na piersi. Nalał sobie pełny kieliszek. Podniósł. Przyjrzał się przezroczystej cieczy. I wtedy właśnie zadzwonił telefon.

Wahał się przez chwilę, potem jednym łykiem opróżnił kieliszek i poszedł do sypialni odebrać telefon.

— Dzień dobry. Nazywam się Frójd.

— Bardzo mi miło — powiedział Kollberg w błogiej pewności, że nie jest na liście rezerwowych i nawet nowe masowe morderstwo nie zdoła wyciągnąć go na śnieg. Do takich rzeczy są przydzieleni odpowiedni ludzie. Na przykład Gunvald Larsson, temu wypadło być na liście alarmowej, i Martin Beck, który musi ponieść konsekwencje wyższego stanowiska służbowego.

— Pełnię służbę na psychiatrycznym oddziale więzienia

Langholmen - powiedział głos w telefonie. — Mamy tu pacjenta, który koniecznie chce z panem rozmawiać. Nazywa się Birgersson. Powiada, że obiecał i że to jest ważne...

Kollberg zmarszczył brwi.

— A czy on mógłby podejść do telefonu?

— Niestety, nie. To wbrew regulaminowi. On przechodzi obecnie...

Twarz Kollberga wydłużyła się smutnie. Nawet w wieczór wigilijny nie obowiązuje prawo do...

259

— Okay - powiedział - przyjeżdżam - i odłożył słuchawkę.

Żona, która usłyszała ostatnie zdanie, zrobiła wielkie oczy.

— Muszę jechać do Langholmen — powiedział zniechęcony. — I gdzie tu złapać frajera, co by podwiózł o tej porze w Wigilię!

— Ja cię zawiozę — odezwała się Asa Torell. — Nic nie piłam.

Po drodze nie rozmawiali. Strażnik w wartowni podejrzliwie zlustrował Asę.

— To moja sekretarka — powiedział Kollberg.

— Sekretarka? Chwileczkę, pozwoli pani, że jeszcze raz

spojrzę na legitymację.

Birgersson się nie zmienił. Może robił wrażenie jeszcze bardziej nieśmiałego i niepozornego niż dwa tygodnie temu.

— Więc co pan chce mi powiedzieć? — szorstko spytał Kollberg.

Birgersson uśmiechnął się.

— Może to się wyda głupie — powiedział — ale akurat dziś, teraz, wieczorem, coś sobie przypominałem. Pan mnie wtedy pytał o samochody, o mego Morrisa. I...

— Tak, i co?

— No więc właśnie, raz jak asystent Stenström i ja mieliśmy przerwę w przesłuchaniu i jedliśmy, opowiedziałem mu pewną historię. Pamiętam, żeśmy wtedy jedli jajecznicę na boczku z ćwikłą. To moja ulubiona potrawa, więc jak dostaliśmy wigilijne jedzenie...

Kollberg przyglądał mu się z absolutną odrazą.

- Pewną historię? - powtórzył pytająco.

- Raczej opowieść z mojego życia. Z czasów, kiedy mieszkaliśmy przy Roslagsgatan, ja i moja...

- Tak, tak - przerwał Kollberg. - Proszę opowiedzieć.

- A więc ja i moja żona. Mieliśmy tylko jeden pokój i w domu zawsze czułem się zdenerwowany, osaczony i niespokojny. Cierpiałem też na bezsenność.

- Hm — powiedział Kollberg.

Gorąco mu było, miał lekki zawrót głowy. A poza tym był spragniony i bardzo głodny. Otoczenie też działało na niego deprymująco, odczuł gwałtowną chęć powrotu do domu. Birgersson wciąż mówił monotonią i zawiłe.

- ...Wychodziłem więc wieczorami, tylko tak, byle wyjść z domu. To było prawie dwadzieścia lat temu. Godzinami chodziłem po ulicach, czasem przez całą noc. Nigdy z nikim nie rozmawiałem, tylko wałęsałem się, byle mieć spokój. Po chwili zdenerwowanie ustępowało, zwykle po godzinie mniej więcej. Czymś jednak musiałem myśli zająć przy łażeniu, żeby mnie te inne sprawy nie dręczyły. To, co w domu, z żoną i inne takie. Więc wynajdywałem różne rzeczy. Żeby samego siebie oszukać, odwieść od własnych myśli i zmartwień.

Kollberg spojrział na zegarek.

- Tak, tak - ponaglił niecierpliwie. - Więc cóż pan robił?

- Oglądałem samochody.

- Samochody?

- Tak. Chodziłem od parkingu do parkingu i przyglądałem się samochodom, które tam stały. Właściwie wcale mnie samochody nie obchodziły, ale w ten sposób

poznawałem wszystkie modele i wszystkie marki, jakie tylko były. Po pewnym czasie znałem je znakomicie. To mi dawało zadowolenie. Czegoś się nauczyłem. Potrafiłem rozpoznać każdy samochód z odległości trzydziestu-czterdziestu metrów, z którejkolwiek strony patrzyłem. Gdybym stanął do zawodów, wielka gra czy jak to się tam nazywa, tysiąc koron za największą liczbę punktów, to na ten temat mógłbym wygrać. Z przodu, z tyłu, czy z boku, to nie miało znaczenia.

— No, a jeżeli z góry, to jak? — spytała Asa Torell.

Kollberg spojrział na nią zaskoczony, a Birgersson się zachmurzył.

— W tym to nie miałem wprawy. Pewnie by było gorzej. Zamyślił się. Kollberg wzruszył ramionami, zrezygnowany.

— Można mieć dużo zadowolenia przy takim prostym zajęciu — podjął Birgersson. -I emocji. Czasami widuje się bardzo rzadkie wozy, jak Lagonda albo Zim, albo EMW. Wtedy się człowiek cieszy.

— I to wszystko opowiadał pan asystentowi Stenstró-
mowi?

— Tak, z nikim innym o tym nigdy nie rozmawiałem.

— I co powiedział?

— Że jego zdaniem to jest bardzo interesujące.

— Aha. I ściągnął mnie pan tutaj, żeby mi to powiedzieć?

O wpół do dwunastej wieczorem? W Wigilię?

Birgersson wyglądał na urażonego.

— Przecież pan sam powiedział, żebym zawiadomił,
jak mi się coś przypomni...

262

- To prawda - powiedział Kollberg znużony. - Dziękuję..

Wstał.

- Przecież ja jeszcze najważniejszego nie powiedziałem

- wymamrotał Birgersson. - Jedna rzecz, którą asystent Stenström bardzo się zainteresował. To mnie uderzyło, bo pan mówił o Morrisie.

Kollberg znowu usiadł.

- Tak. No więc?

- Były pewne problemy w tym hobby, jeżeli można to tak nazwać. Bardzo trudno było rozróżnić pewne modele zwłaszcza po ciemku i gdy się patrzyło z dużej odległości.

Na przykład Moskwicz i Opel Kadet albo DKW i IFA.

- Po krótkiej przerwie dodał: - Bardzo trudno. Bo różnice były zupełnie nieznaczne.

- A co to ma wspólnego ze Stenströmem i z pańskim

Morrisem osiem?

- Z moim Morrisem nic. Tylko że asystent Stenstróm tak się zainteresował, kiedy opowiadałem, że najtrudniej jest dostrzec różnicę między Morrisem Minor i Renaultem CV-4 z przodu. Bo z boku albo z tyłu to żadna sztuka. Ale z przodu na wprost albo trochę na ukos naprawdę nie łatwo. Chociaż z czasem i tego się nauczyłem i rzadko popełniałem błąd. Zdarzało się jednak.

- Chwileczkę - powiedział Kollberg. — Mówi pan Morris Minor i Renault CV-4?

- Tak. I przypominam sobie, że asystent Stenstróm aż podskoczył, kiedy to powiedziałem. Przedtem cały czas tylko głową kiwał, wydawało mi się, że wcale nie słucha.

263

Ale jak to powiedziałem, okropnie się zainteresował. Parę razy o to samo pytał.

— I mówi pan, z przodu?

— Tak, właśnie o to pytał tyle razy. Właśnie z przodu albo trochę na ukos, bardzo trudno.

Gdy znowu siedzieli w samochodzie, Asa Torell spytała:

— I co to daje?

— Jeszcze nie wiem. Ale to ma jakieś znaczenie.

— Jeżeli chodzi o zabójcę Akego?

— Też nie wiem. W każdym razie to wyjaśnia, dlaczego zapisał w notesie markę tego samochodu.

— Mnie też się coś przypomniało — powiedziała Asa. — Co Ake mówił na parę tygodni przed zamordowaniem. Że jak tylko będzie miał dwa dni wolne, pojedzie do Smaland, żeby się czegoś dowiedzieć. Do Eksjó zdaje się. Mówi ci to coś?

— Absolutnie nic.

Miasto było opustoszałe, jedynymi oznakami życia były dwie karetki pogotowia, wóz policyjny i kilku ślaniających się krasnali, których zjednoczyło wyczerpanie zawodowe i zmoęła zbyt wielka ilość gościnnych domów i kieliszków. Po chwili Kollberg powiedział:

— Słyszałem od Gun, że wyprowadzasz się od nas po Nowym Roku.

— Tak. Zamieniłam mieszkanie na kawalerkę przy Kungsholms Strand. Sprzedaję cały kram, kupię nowe meble. Postaram się o nową pracę.

— Gdzie?

— Jeszcze nie wiem. Ale zastanawiam się... - Po kilku sekundach dodała: - A jak jest w policji? Są wolne miejsca?

264

- Chyba tak - rzekł Kollberg z roztargnieniem. A po chwili otrząsnąwszy się: — Ty myślisz serio?

Asa Torell skoncentrowała się na prowadzeniu samochodu. Ze ściągniętymi brwiami wpatrywała się w śnieżyce. Gdy zjawili się na Palandergatan, Bodil już spała, a Gun zwinięta w fotelu czytała książkę. Miała łzy w oczach.

- Co ci jest? — spytał mąż.

- To cholerne jedzenie. Wszystko już na nic.

- Nic podobnego. Z twoim wyglądem i moim apetytem!

Postaw zdechłego kota na stole, a będę uszczęśliwiony.

Dawaj to żarło.

- I ten beznadziejny Martin dzwonił. Z pół godziny temu.

- Okay - powiedział Kollberg beztrosko. - Zreorganizuj wigilijny stół, a ja zadyndam do niego.

Zdjął marynarkę i poszedł zadzwonić.

- Słucham, Beck.

- A któż tam taki harmider robi? - spytał Kollberg podejrzliwie.

- Śmiejący się policjant.

- Co?

- Płyta gramofonowa.

- A rzeczywiście, teraz poznaję. Stary szlagier. Charles Penrose, co? To jeszcze sprzed pierwszej wojny światowej.

Grzmiące salwy śmiechu tworzyły trio rozmowy.

- Nie ma znaczenia - powiedział Martin bez cienia radości. - Dzwoniłem do ciebie, bo Melander dzwonił do mnie.

- No i czego chciał?

265

- Powiedział, że wreszcie mu się przypomniało, gdzie widział nazwisko Nils Erik Góransson.

- Gdzie?

— W sprawozdaniach o Teresie Camarao.

Kollberg zrzucił buty. Pomyślał. Powiedział:

— To pozdrów go ode mnie i powiedz, że tym razem wyjątkowo się pomylił. Przeczytałem wszystko, co do słowa. A taki tępy, żebym podobnie ważnego szczegółu nie zauważył, to ja nie jestem.

— Masz te papiery w domu?

— Nie, leżą w Vastberdze. Ale jestem pewien. Jak dwa razy dwa cztery.

— Okay. Wierzę ci. Coś robił w Langholmen?

- Mam parę informacji. Zbyt mętne i poplątane, żebym mógł tak od razu wyjaśnić, ale jeżeli to się zgadza...

- To co?

- To możesz całe sprawozdanie o Teresie powiesić w ubikacji i już na zawsze tam zostawić. Wesołych Świąt.

Położył słuchawkę.

— Znowu wychodzisz? — podejrzliwie spytała żona.

- Tak, ale dopiero w środę. Gdzie wódka?

XXIX

Melander nie był z tych, co łatwo się poddają, ale rankiem dwudziestego siódmego czuł się do tego stopnia zawiedziony i zmieszany, że nawet Gunvald Larsson uznał za wskazane zapytać:

266

— Co tobie jest? Nie znalazłeś migdała w wigilijnej kaszce?

— Z kaszką i szukaniem migdała skończyliśmy zaraz po ślubie. Dwadzieścia dwa lata temu, licząc dokładnie. Chodzi o to, że nigdy się nie myliłem.

— No cóż, kiedyś trzeba zacząć - pocieszył go Rónn.

— Pewnie. Tylko że nie mogę tego zrozumieć.

Martin Beck zapukał i nim zareagowali, już był w pokoju, długi, tyczkowaty, poważny i kaszlący.

— Czego nie możesz zrozumieć?

— Tego z Góranssonem. Że się pomyliłem.

— Właśnie wracam z Vastbergi - powiedział Martin Beck. — I wiem coś, co ci może humor poprawi .

— Co takiego?

— W sprawozdaniu o wypadku Teresy brakuje jednej strony. Dla ścisłości strony 1244.

O trzeciej po południu Kollberg stanął przed firmą samochodową w Södertalje. Zdażył już tego dnia działać niejedno. Między innymi upewnił się, że świadkowie, którzy szesnaście i pół roku temu zauważyli samochód stojący w pobliżu boiska sportowego na Stadshagen, musieli mieć widok na samochód od przodu albo ukosem od przodu, poza tym zlecił pewne prace techniczne i miał teraz w wewnętrznej kieszeni przyciemnioną i lekko podretuszowaną fotografię reklamową samochodu Morris Minor, model z lat pięćdziesiątych. Z trzech świadków, dwaj już nie żyli: policjant i mechanik. Lecz prawdziwy ekspert, majster z warsztatów samochodowych, wciąż

267

cieszył się dobrym zdrowiem. I pracował tu w Södertalje. Nie był już majstrem, czymś lepszym, siedział w biurze o szklanych ścianach i rozmawiał przez telefon. Gdy rozmowa się skończyła, Kollberg wszedł bez pukania, nie legitymując się i nawet nie przedstawiając. Położył tylko przed byłym świadkiem fotografię i spytał:

- Co to za samochód?
- Renault CV-4. Stary gruchot.

- Jesteś pewien?
- Jestem pewien. Ja się nie mylę.
- Murowane?

Tamten raz jeszcze rzucił okiem na fotografię.

- Tak. To CV~4 wczesny model.
- Dziękuję - powiedział Kollberg i wyciągnął rękę po zdjęcie.
- Zaczekaj jeszcze. Próbujesz mnie nabrać?

Przyjrzał się fotografii. Po piętnastu sekundach powiedział wolno:

- Nie. To nie jest Renault. To jest Morris. Morris Minor, model z pięćdziesiątego albo pięćdziesiątego pierwszego roku. I z tym zdjęciem coś jest nie w porządku.

- Tak - przyznał Kollberg. - Jest podretuszowane tak, jakby było robione przy złym świetle w deszczową pogodę, w letnią noc na przykład.

Rozmówca przyjrzał mu się uważnie.

- Kim pan właściwie jest? - spytał.
- Policjantem - odpowiedział Kollberg.
- Powinienem się być domyślić. Tu już był jakiś policjant, na jesieni...

268

Tegoż popołudnia tuż przed wpół do szóstej Martin

Beck zebrał wszystkich współpracowników na odprawę w kwaterze śledztwa. Nordin i Mansson już wrócili, więc załoga była, rzecz można, w pełnym składzie. Brakowało tylko Hammara, który wyjechał na święta. Wiedząc, jak niewiele zdarzyło się w ciągu czterdziestu czterech dni intensywnego śledztwa, uznał za mało prawdopodobne, by dochodzenie ożywiło się nagle między Bożym Narodzeniem a Nowym Rokiem, w czasie gdy tropieni i tropiciele przeważnie siedzą w domu, mają czkawkę z przejedzenia i zastanawiają się, co tu zrobić, żeby pieniędzy starczyło do stycznia.

- A więc brakuje strony - podchwycił Melander z zadowoleniem. - A któż ją wziął?

Martin Beck i Kollberg wymienili szybkie spojrzenia.

- Czy ktoś z was może sobie powiedzieć, że jest specjalistą od domowych rewizji? — spytał Martin Beck.

- Ja - apatycznie odpowiedział Mansson ze swego miejsca przy oknie. - Jeżeli jest coś do znalezienia, to ja znajdę.

- Dobrze — powiedział Martin. - W takim razie przeszukaj mieszkanie Akego Stenstróma przy Tjarhovsgatan.

- Czego mam szukać?

- Strony z raportu policyjnego - wyjaśnił Kollberg.

— Pagina: 1244, a w tekście prawdopodobnie wymienione jest nazwisko Nils Erik Góransson.

- Jutro - powiedział Mansson. — Przy dziennym świetle zawsze łatwiej.

- Proszę bardzo - powiedział Martin.

269

- Klucze dostaniesz ode mnie jutro rano - dodał Kollberg.

Miał właściwie klucze w kieszeni, ale zamierzał przed daniem Manssonowi wolnej ręki usunąć z mieszkania pewne ślady fotograficznej działalności Stenstróma.

Następnego dnia o drugiej po południu zadzwonił telefon na biurku Martina Becka.

- Czołem, tu Per.

- Co za Per?

- Mansson.

- Aha, ty. No jak tam?

- Jestem w mieszkaniu Stenstróma. Tu nie ma tego papierka.

- Jesteś pewien?

- Czy jestem pewien? - w głosie Manssona zabrzmiała obrazy najwyższego stopnia. - Oczywiście, że jestem.

A skąd wy macie pewność, że to on wziął tę stronę?

- W każdym razie przypuszczamy.
- Jeżeli tak, to jeszcze gdzie indziej poszukam.

Martin Beck pomasował czoło.

- Co rozumiesz przez „gdzie indziej”? - Ale Mansson już odłożył słuchawkę.

- Przecież w archiwum muszą być kopie - zauważył Gunvald Larsson. - Albo w prokuraturze.

- Pewnie — przyznał Martin Beck.

Nacisnął guzik telefonu, przełączył na wewnętrzny.

W pokoju obok Kollberg rozmawiał z Melanderem.

- Przejrzałem twoją listę.

- No i przyszło ci coś do głowy?

270

— Mnóstwo. Tylko nie wiem, czy ci się to na coś przyda.

— Zostaw to mnie.

— Są tam recydywiści. Na przykład Karl Andersson, Vilhelm Rosberg i Bengt Wahlberg. Wszyscy trzej starzy złodzieje. Wielokrotnie karani. Teraz już za starzy, żeby pracować w fachu.

— Dalej.

— John Gran był sutenerem i pewnie jest nim w dalszym ciągu. Zawód kelnera to tylko pozór. Nie dalej niż przed rokiem siedział. A Walter Eriksson, wiesz w jaki sposób

został wdowcem?

— Nie.

— W pijackim szale zabił żonę stołkiem. Siedział pięć lat.

— Cholera.

— Więcej jest takich gagatków w twoim zbiorze. Ove Eriksson i Bengt Fredriksson byli karani za pobicie. Fredriksson nie mniej niż sześć razy. Niektóre z oskarżeń bliskie były właściwie próby morderstwa. Handlarz starzyzny Jan Carlsson to podejrzana figura. Nigdy się nie dostał za kratki, ale wiele razy był bardzo bliski. Bjórna Forsberga też pamiętam. Miał kiedyś niejedno krętactwo na koncie i dobrze był znany w kołach przestępczych w drugiej połowie lat czterdziestych. Ale potem przesiadł się na inne siodło i zrobił wspaniałą karierę. Ożenił się bogato i został solidnym finansistą. Ma tylko jeden przedawniony wyrok za oszustwo z czterdziestego szóstego roku. Natomiast Hans Wennström ma pierwszorzędny wykaz grzeszków: od sprzeniewierzenia do rozprucia kasy pancernej. A poza tym cóż to za funkcja.

271

- Były pomocnik w sklepie rybnym — powiedział Kollberg zajrzawszy do swego wykazu.

— Rzeczywiście dwadzieścia pięć lat temu zdarzyło mu

się stać z rybami na rynku w Sundbyberg. Jest już teraz bardzo stary. Ingvar Bengtsson podaje się obecnie za dziennikarza. Należał do pionierów, jeśli chodzi o fałszowanie czeków. Bywał też alfonsem. Bo Frostensson jest trzeciorzędnym aktorem i znanym narkomanem.

— Czy ta kobieta nigdy nie sypiała z uczciwymi ludźmi? — powiedział Kollberg z ubolewaniem.

— Ależ owszem, sporo masz takich na liście. Na przykład Rune Bengtsson, Lennart Lindgren, Kurt Olsson i Ragner Viklund. Żaden cień na nich nie pada.

Kollberg miał świeżo w pamięci całą sprawę.

— I wszyscy czterej żonaci — powiedział. - Diabło trudno im było chyba wytłumaczyć to żonom.

- No, pod tym względem policja była dyskretna.

A tym młodym chłopcom, tym około dwudziestki albo jeszcze młodszym, też nic nie można zarzucić. Z szczęściu w tym wieku, jakich masz na liście, tylko jeden właściwie niezupełnie dobrze się poprowadził. Kenneth Karlsson, siedział parę razy. Dom poprawczy. Choć to było już dawno i sprawy nie były poważne. Czy chcesz, żebym serio pogrzebał w przeszłości tych ludzi?

- Bardzo ci będę wdzięczny. Staruszków możesz odrzucić, wszystkich po sześćdziesiątce. Także najmłodszych,

od trzydziestu ośmiu w dół.

- To byłoby ośmiu z jednej, siedmiu z drugiej strony.

Zostałoby tylko trzynastu. Pole działania się kurczy.

272

- Jakie znowu pole?

- Wszyscy ci mężczyźni mają oczywiście alibi, jeśli chodzi o zamordowanie Teresy — upewnił się Melander.

- Co do tego nie ma wątpliwości. Przynajmniej jeśli chodzi o porę, w której zwłoki podrzucono przy Stadshagen.

Poszukiwania kopii protokołów z przesłuchań w sprawie Teresy rozpoczęte tuż po świętach przeciągnęły się aż do następnego roku.

Dopiero piątego stycznia stos zakurzonych papierów znalazł się na biurku Martina Becka. Nie trzeba było być detektywem, by od pierwszego rzutu okiem poznać, że dokumenty te zostały wydobyte z najgłębszych zakamarków archiwum i że wiele lat minęło od czasu, gdy je ręka tknęła.

Martin Beck szybko odszukał stronę 1244. Tekst był zwięzły. Kollberg przechylił się przez ramię Martina i razem czytali:

Przesłuchanie Nilsa Erika Goranssona, sprzedawcy, jakie miało miejsce w dniu 1.XII.1951.

Goransson podaje, że urodził się w Sztokholmie 4.X. 1929.

Ojciec elektryk Algot Erik Goransson, matka Benita Goransson, Z domu Kantanen. Przesłuchiwany zatrudniony jest obecnie jako sprzedawca w firmie „Import” Hollandergatan 10, Sztokholm.

Goransson zeznaJe, Że Znał Teresę Camarao, która obracała się okresowo w tych samych co on kręgach, jednak nie w miesiącach

bezpośrednio poprzedzających jej śmierć. Zeznaje dalej, że dwukrotnie miał intymny związek (stosunek) z Teresą Camarao.

Po raz pierwszy iv mieszkaniu przy Snartmangatan, gdzie obecnych było wtedy wiele innych osób. Po raz drugi zbliżenie miało

273

miejsce w lokalu "cwanym „piwnicą” przy Hollandergatan. W tym wypadku obecny był Svensson-Rask, który także miał zbliżenie (stosunek) z T. Camarao. Goransson twierdzi, że nie przypomina sobie dokładnej daty, ale wydarzenia te miały miejsce — w odstępie

kilku dni jedno od drugiego — w końcu listopada albo na początku

grudnia ubiegłego roku, tj. 1950. Goransson twierdzi, że nic więcej

nie wie o T. Camarao.

Od 2 do 13 czerwca b.r. Goransson przebywał w Eksjó, dokąd

udał się samochodem osobowym nr A 6310 i po wywiązaniu się Z, poleconej mu przez^ firmę, w której był zatrudniony, sprzedaży ubrań —powrócił. Goransson jest właścicielem samochodu osobowego

nr A 6310, marki Morris Minor, model 1949. Zeznanie odczytane i uznane za zgodne.

Przesłuchujący

(Podpis)

Należy dodać, że niżej wymieniony Karl Ake Birger

Svensson-Rask jest tym, który pierwszy poinformował policję, iż Goranssona łączyły intymne stosunki z T. Camarao. Wiadomość o pobycie Goranssona w Eksjö potwierdza personel hotelu (Hotel Miejski) w tym mieście. Przesłuchiwany specjalnie na okoliczność poczynąń Goranssona wieczorem w dniu 10 czerwca barman wzmiankowanego hotelu S per ker Johns son stwierdza, że Goransson

przez cały wieczór siedział w jadalni hotelowej, aż do zamknięcia, tj. do 23.30. Goransson był wstawiony. Informacjom Sverkera Johnssona można dać wiarę, tym bardziej, że znajdują one poświadczenie w zapisach na rachunku hotelowym Goranssona.

- No więc - powiedział Kollberg. - Sprawa jest jasna.

Chwilowo.

- Co zamierzasz zrobić?
- To, czego Stenstróm zrobić nie zdążył. Jechać do Eksjó.
- Klocki zaczynają się układać — stwierdził Martin Beck.
- Tak. A gdzie się Mansson podziewa?
- Chyba jest w Halåstahammar i szuka tej strony u matki Stenstróma.
- Ten łatwo nie rezygnuje. A szkoda, że go nie ma. Chciałem wziąć jego wóz. W moim coś nawaliło. Kollberg przyjechał do Eksjó rankiem osiemnastego stycznia. Jechał nocą - trzysta trzydzieści pięć kilometrów - przy śnieżycy i po oblodzonych drogach, nie czuł się jednak specjalnie zmęczony. Hotel Miejski znajdował się przy rynku i był pięknym zabytkowym budynkiem, idealnie pasującym do idylli tego miasteczka, wyciętego jakby z kolorowej świątecznej pocztówki. Barman zwący się Sverker Johnsson już nie żył, ale kopia rachunku zapłaconego przez Nilsa Erika Góranssona istniała. Choć trzeba było wielu godzin, by ją wygrzebać z zakurzonego kartonowego pudła na strychu. Rachunek potwierdzał wiadomość, że Góransson mieszkał w hotelu przez jedenaście dni. Jadał w hotelowej restauracji i codziennie podpisywał paragony za jedzenie

i picie, należne sumy doliczono do rachunku hotelowego. Były i inne załączniki do rachunku, na przykład za rozmowy telefoniczne, ale numer, pod który Góransson dzwonił, nie był odnotowany. Co innego natomiast przyciągnęło natychmiast uwagę Kollberga.

Szóstego czerwca tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego
275

pierwszego hotel, w ciężar rachunku gościa, zapłacił pięćdziesiąt dwie korony i dwadzieścia pięć óre pewnej firmie samochodowej. Należność za przyholowanie i reperację samochodu.

- Czy istnieje jeszcze ten warsztat samochodowy?
— spytał Kollberg właściciela hotelu.

- Oczywiście i od dwudziestu pięciu lat nie zmienił właściciela. Należy iść w kierunku Langanas i...

Człowiek, który od dwudziestu pięciu lat posiadał warsztat, niedowierzająco przyjrzał się Kollbergowi.

- Szesnaście i pół roku temu? A skądże ja u licha mogę pamiętać?

- A ksiąg pan nie prowadzi?

- Tego może być pan pewien. U mnie jest porządek.

Z pół godziny szukał starego skoroszytu. Nie chciał go z rąk wypuścić. Sam ostrożnie przewracał papiery, aż

doszedł do żądanego dnia.

- Szósty czerwca - powiedział. — Proszę bardzo.

Zabranie spod hotelu, zgadza się. Akumulator mu się wyładował. Cała zabawa kosztowała pięćdziesiąt dwie korony dwadzieścia pięć óre, z przyholowaniem.

Kollberg czekał.

- Przyholowanie - mruknął mechanik. - Co za głupota.

Dlaczego nie wyjął akumulatora i sam nie przyjechał!

- Ma pan jakieś dane o samochodzie?

- Tak. Zaraz... zaraz... coś takiego. Ktoś przejechał zasmarowanym palcem po numerze. W każdym razie to był sztokholmski wóz.

- A nie wie pan, jakiej marki?

276

- Oczywiście. To był Ford Vedetta.

- A nie Morris Minor?

- Jak napisane, że Ford Vedetta, to głowę daję za to

- powiedział właściciel warsztatu. - Morris Minor? Przecież to kolosalna różnica.

Kollberg zabrał z sobą segregator. Kosztowało go to pół godziny grózb i perswazji. Gdy wreszcie zwyciężywszy wychodził, właściciel warsztatu powiedział:

- W każdym razie mamy wyjaśnienie, dlaczego

niepotrzebnie wyrzucał pieniądze na holowanie.

- A dlaczego mianowicie?

- Sztokholmczyk.

Wieczór już zapadał, kiedy Kollberg wrócił do hotelu. Był głodny, zmarznięty i wyczerpany, więc zamiast sięść za kierownicą i odjechać, wynajął pokój w hotelu. Wykąpał się i zamówił jedzenie. Czekał na przyrządzenie potraw, odbył dwie rozmowy telefoniczne. Pierwszą z Melanderem.

- Mógłbyś sprawdzić, którzy z tej mojej listy mieli . samochody w czerwcu pięćdziesiątego pierwszego? I jakiej marki.

- Pewnie. Na jutro rano.

- I jakiego koloru był Morris Góranssona.

Dobrze.

Potem zadzwonił do Martina Becka.

- Góransson nie przyjechał tu swoim Morrisem.

Prowadził inny samochód.

- A więc Stenstróm miał rację.

- Mógłbyś zlecić zbadanie, kto był właścicielem tej

277

firmy na Hollandergatan, gdzie Góransson był zatrudniony, i czym się ta firma zajmowała?

- Dobrze.

- Powinienem być jutro około południa w Sztokholmie.

Zszedł na dół i zasiadł do jedzenia. Nagle przypomniało mu się, że już był w tym hotelu. Mieszkał tu dokładnie szesnaście lat temu. W owym czasie był już w policji i zajmował się sprawą morderstwa w taksówce. Zostało wyjaśnione w ciągu trzech czy czterech dni. Gdyby wtedy wiedział to, co wie teraz, mógłby pewnie rozwiązać zagadkę sprawy Teresy w ciągu dziesięciu minut.

Rónn myślał o Olssonie i o rachunku z knajpy, znalezionym wśród łachów Góranssona. We wtorek po południu coś mu wpadło do głowy, gdy go jakaś myśl zaczynała dręczyć, szedł do Gunvalda Larssona. Wbrew niezbyt serdecznej postawie, jaką zachowywali wobec siebie w pracy, Rónn i Gunvald Larsson byli zaprzyjaźnieni, o czym mało kto wiedział. Razem spędzili wieczór wigilijny i noworoczny, większość osób z ich otoczenia wiadomość o tym ogromnie by zdziwiła.

- Myślę o tej kartce z literami B.F. - powiedział Rónn.

- Na liście, którą Melander i Kollberg spichcili, są trzy osoby mające takie inicjały. Bo Frostensson, Bengt Fredriksson i Björn Forsberg.

- No?

- Można by się im dyskretnie przyjrzeć, zobaczyć, czy któryś nie jest podobny do Olssona.

- A wiesz, gdzie ich szukać?

278

- Melander chyba wie.

Melander wiedział. W ciągu dwudziestu minut zdobył informację, że Forsberg jest w domu, a po lunchu przyjdzie do swego biura w centrum. Lunch miał jeść z jednym z klientów o dwunastej w „Ambasadorze”. Frostensson znajdował się w atelier, grał małą rolę w filmie Arnego Mattssona.

- A Fridriksson pije piwo „Pod Dziesiątką”. Zawsze go tam można znaleźć.

- Idę z tobą — dość niespodziewanie oświadczył

Martin Beck. - Weźmiemy wóz Manssona. Bo jemu dałem jeden ze służbowych.

Bengt Fridriksson, artysta i zabijaka, rzeczywiście siedział w piwiarni na Starym Mieście. Był bardzo gruby, miał bujną zaniedbaną rudą brodę i zmierzwiłone siwe włosy. Był już zalany.

Kierownik nagrań przeprowadził ich przez długie kręte korytarze w kącie wielkiego atelier filmowego w Solnie.

- Frostensson będzie mieć scenę za pięć minut. Jego

jedyna wypowiedź w całym filmie.

Stali w bezpiecznej odległości, ale w ostrym świetle reflektorów. Widzieli dekoracje ustawione za plątaniną kabli i ruchomych kulis. Scena przedstawiała chyba wnętrze sklepu.

- Uwaga! - ryknął reżyser. - Cisza. Zdjęcia. Kamera!

Człowiek w wysokiej piekarskiej czapie i białym fartuchu wszedł w potop światła i powiedział:

- Słucham. Czym mogę służyć?

- Stop! - ryknął reżyser.

279

Frostensson pięć razy musiał powtarzać to jedno zdanie. Był to chudy łysy człeczyna, jąkał się, kąciki ust i powieki drgały mu nerwowo.

W pół godziny później Gunvald Larsson zahamował o dwadzieścia pięć metrów od furtki wiodącej do willi Bjórna Forsberga w Stocksund. Martin Beck i Rónn skurczyli się na tylnych siedzeniach. Przez otwarte drzwi garażu widać było czarnego wielkiego Mercedesa.

- Wkrótce powinien wyjechać, jeżeli nie chce spóźnić się na lunch.

Czekali z kwadrans, nim drzwi willi otwarły się i na schodki wyszedł mężczyzna w towarzystwie przystojnej

blondynki, psa i dziewczynki około siedmiu lat. Kobiętę pocałował w policzek, dziecko objął i uniósł. Potem długim szybkim krokiem poszedł w kierunku garażu, wsiadł do wozu i wyprowadził go. Dziewczynka przesyłała mu całusy i coś wołała ze śmiechem.

Björn Forsberg był wysoki i szczupły. Twarz miał niemal nieskazitelnie piękną, jak wyciętą z ilustracji do noweli w tygodniku, wyraźne rysy, otwarte spojrzenie. Był opalony, poruszał się zręcznie i sprężysto. Z gołą głową, w jasnoszarym płaszczu, z falistymi, do tyłu odczesanymi włosami wyglądał młodo, wcale nie na czterdzieści osiem lat.

- Jak Olsson - powiedział Rónn. - Zwłaszcza postawa i ubranie, ten jasny płaszcz.

- Z tą różnicą - rzekł Gunvald Larsson - że Olsson za swoją przyodzież zapłacił trzy stówy trzy lata temu na wyprzedazy, a ten za swoje okrycie wybulił z pięć tysięcy. Ale taki jak Schwerin podobnych różnic nie zauważa.

280

- Prawdę mówiąc, ja też nie - wyznał Rónn.

- Ale ja zauważam — rzekł Gunvald. - Są jeszcze na świecie ludzie mający poczucie gatunku. Gdyby nie to, można by budować burdele wzdłuż Savile Row.

- Gdzie? - spytał Rónn ze zdumieniem.

Kollbergowi rozkład czasu zupełnie się rozleciał. Po części dlatego, że zasnął, po części dlatego, że pogoda była podła jak nigdy. Do wpół do drugiej zdążył dojechać do motelu obok Linkóping. Napił się kawy, zjadł ciastko i zadzwonił do Sztokholmu.

- No więc jak?

- Tylko dziewięciu z nich miało samochody latem w pięćdziesiątym pierwszym — powiedział Melander.

— Ingvar Bengtsson nowego Volkswagena, Rune Bengtsson Packarda 49, Kent Carlsson DKW 38, Ove Eriksson starego Opla Kapitana, model przedwojny, Björn Forsberg Forda Vedette 49...

- Stop. Czy jeszcze ktoś z nich miał taki sam?

- Vedette? Nie.

- Wystarczy.

- Morris Góranssona pierwotnie polakierowany był na szaro. Mógł go oczywiście łatwo przemalować.

- Dobrze, bądź uprzejmy przełączyć mnie na Martina.

- Jeszcze jedna okoliczność. Góransson latem pięćdziesiątego pierwszego oddał swój wóz na złom. Samochód skreślono z rejestru piętnastego sierpnia, w tydzień po policyjnym przesłuchaniu Góranssona.

Kollberg wrzucił koronę do automatu i podczas gdy

w telefonie brzęczało, niecierpliwie myślał o dwustu czterech kilometrach, które jeszcze miał przed sobą. Przy takiej pogodzie potrwa to jeszcze parę godzin. Żałował, że nie wysłał wczoraj pociągiem księgi rachunkowej z warsztatu.

- Komisarz Beck.

- Cześć. I czym się ta firma zajmowała?

- Sprzedawała, jak mi się wydaje, kradzione rzeczy.

Ale nigdy to nie zostało dowiedzione. Mieli paru sprzedawców, którzy jeździli po prowincji i upłyniali ubrania i różne inne rzeczy.

- Kto był właścicielem?

- Björn Forsberg.

Kollberg po chwili zastanowienia powiedział:

- Poleć Melanderowi, żeby zajął się tylko Forsbergiem.

I poproś Hjelma, żeby on sam czy ktoś inny został w PLK, póki nie przyjadę. Mam coś, co trzeba poddać analizie.

Okolo piątej Kollberga wciąż jeszcze nie było, Melander zastukał do drzwi Martina Becka i wszedł z fajką w jednej ręce i kilkoma papierkami w drugiej. Od razu zaczął mówić:

- Björn Forsberg ożenił się siedemnastego czerwca pięćdziesiątego pierwszego roku z niejaką Elszą Beatrice

Hakansson. Jediną córką dyrektora Magnusa Hakanssona, który zajmował się materiałami budowlanymi i był wyłącznym właścicielem przedsiębiorstwa, którym kierował. Uważano go za bardzo bogatego. Forsberg natychmiast polikwidował wszystkie swoje zaangażowania, w rodzaju firmy na Houandergatan. Pracował ciężko, studiował 282

handel i ekonomię i stał się rzutkim przedsiębiorcą. Kiedy Hakansson umarł dziewięć lat temu, córka odziedziczyła majątek i firmę, ale Forsberg pełnił obowiązki dyrektora już od połowy lat pięćdziesiątych. Willę w Stock-sund kupił w pięćdziesiątym dziewiątym. Kosztowała go około pół miliona.

Martin Beck wytarł nos.

- jak długo znał tę dziewczynę, zanim się z nią ożenił?
- Spotkali się, o ile wiadomo, w Are w marcu pięćdziesiątego pierwszego. Forsberg był entuzjastą sportów zimowych. Jest nim zresztą w dalszym ciągu. Jego żona także. Tak zwana miłość od pierwszego wejrzenia. Spotykali się potem ciągle aż do wesela. Bywał w domu jej rodziców. Miał wtedy trzydzieści dwa lata. Elsa Hakansson dwadzieścia pięć. — Melander przetasował papierki. Małżeństwo uważane jest za szczęśliwe. Mają troje dzieci. Dwóch chłopców,

trzynaście i dwanaście lat i dziewczynkę siedmioletnią.
Samochód Forda Vedette sprzedał wkrótce po ślubie
i kupił Lincolna. Potem miał mnóstwo innych samochodów.
Melander zapalił fajkę.

- Czy to już wszystko, coś wyniuchał?

- Jeszcze jedno. Ważne, jak mi się zdaje. Björn

Forsberg brał udział jako ochotnik w fińskiej wojnie
zimowej w tysiąc dziewięćset czterdziestym. Miał wtedy
dwadzieścia jeden lat, pojechał na front bezpośrednio po
odbyciu tu służby wojskowej. Pochodzi z mieszczańskiej
dobrej rodziny i zapowiadał się obiecująco, nim wykoleił
się po wojnie.

- Okay, to chyba on.

283

— Na to wygląda - rzekł Melander.

— Kto jest teraz obecny?

— Gunvald, Rónn, Nordin i Ek. Sprawdzić jego alibi?

— Właśnie.

Kollberg dobił do Sztokholmu dopiero po siódmej.

Pojechł prosto do laboratorium i zostawił tam księgę
warsztatu samochodowego.

— Mamy określone godziny pracy — kwaśno powiedział
Hjelm. - Kończymy o piątej.

— To straszliwie uprzejme z twojej strony, że...

— Dobrze, dobrze. Za chwilę zadzwonię. Chcesz, żeby tylko numer odczytać?

— Tak. Jestem na Kungsholmsgatan.

Kollberg i Martin niewiele zdążyli sobie powiedzieć, gdy telefon zadzwonił.

— A, sześć, siedem, zero, osiem — powiedział Hjelm lakonicznie.

— Wspaniale.

— Łatwe zadanie. Sam niemal mogłeś to odczytać.

Kollberg odłożył słuchawkę. Martin Beck patrzył na niego pytająco.

— Tak. Góransson miał w Eksjö samochód Forsberga. To wyjaśnione. Jak wygląda jego alibi?

— Marnie. W czerwcu pięćdziesiątego pierwszego miał kawalerkę przy Hollandergatan w tym samym domu, gdzie mieściła się ta jego podejrzana firma. W czasie przesłuchania zeznał, że dziesiątego wieczorem był w Norrtalje. Bo też i był. Miał się tam spotkać z kimś

284

o siódmej. Potem, wciąż według jego własnych oświadczeń, ostatnim pociągiem wrócił do domu. Był w Sztokholmie o wpół do dwunastej. Samochód swój pożyczył jednemu

ze sprzedawców, który to w swoim zeznaniu potwierdził.

- Tylko bardzo starannie wystrzegaj się mówienia o tym, że wymienił samochód z Góranssonem.

- Tak - rzekł Martin. - Miał więc Morrisa, należącego do Góranssona. A to stawia sprawę w zupełnie innym świetle. Samochodem bez trudu mógł wrócić do Sztokholmu w ciągu godziny. Samochody parkowały zwykle w podwórzu na Hollandergatan, tam trudno było sprawdzić, czy stoją. Sprawdziliśmy natomiast, że była tam chłodnia. Przeznaczona na futra, oficjalnie oddawane im na przechowanie podczas sezonu letniego, a w rzeczywistości pewnie kradzione. Jak myślisz, dlaczego zamienili samochody?

- Wyjaśnienie zdaje się bardzo proste — rzekł Kollberg.

- Góransson był sprzedawcą, zabierał z sobą mnóstwo ubrania i innej tandety. W Vedetcie Forsberga miał na ten kram trzy razy tyle miejsca co we własnym Morrisie. - Po chwili milczenia dodał: — Góransson pewnie dopiero potem się połapał. Wróciwszy zrozumiał, co się stało i że samochód jest niebezpieczny. Dlatego zaraz po przesłuchaniu oddał go na złom.

- A co Forsberg mówił o swoich powiązaniach z Teresą? - spytał Martin Beck.

- Że spotkał ją na dansingu w pięćdziesiątym roku

i sypiał z nią wiele razy, ile nie pamięta. Potem, zimą, spotkał swą przyszłą żonę i stracił zainteresowanie dla nimfomanek.

285

- Tak powiedział?

— Tak, co do słowa, jak myślisz, dlaczego ją zamordował? Żeby ją usunąć, jak Stenstróm napisał na marginesie.

— Przypuszczalnie. Wszyscy zeznawali, że była natrętna. Morderstwo erotyczne to nie było.

- Nie, ale chciał to w ten sposób upozorować.

A potem zdarzyło mu się niepojęte szczęście. Świadkowie pomylili się co do tego samochodu. To do niego musiało dotrzeć. Praktycznie biorąc mógł się czuć zupełnie pewny. Jedynym powodem niepokoju był Góransson.

— Góransson i Forsberg znali się dobrze - powiedział Martin Beck.

— A poza tym nic się nie działo, póki Stenstróm nie zaczął grzebać w protokołach sprawy Teresy i póki nie dostał tej osobliwej informacji od Birgerssona. Stenstróm sprawdził, że ze wszystkich zamieszanych w tę sprawę tylko Góransson miał Morrisa Minor, i to czerwonego w dodatku. Stenstróm z własnej inicjatywy przesłuchał

wiele osób i zaczął tropić Góranssona. Góransson denerwował się coraz bardziej... czy wiemy, gdzie on przebywał między ósmym października a trzynastym listopada?

- Tak. Na statku, na jeziorze Klara. Nordin odnalazł to miejsce wczoraj rano.

Kollberg pokiwał głową.

- Stenström liczył na to, że Góransson prędzej czy później doprowadzi go do mordercy, i dlatego śledził go dzień po dniu prawdopodobnie zupełnie jawnie. I właściwie

286

miał rację. Choć rezultat wypadł dla niego fatalnie. Gdyby się zamiast tego pospieszył z tym wyjazdem do Smaland...

Kollberg umilkł, Martin jak zwykle, gdy się zamyślił, pocierał kciukiem i wskazującym palcem nasadę nosa.

- Tak, wszystko się zgadza - powiedział — także psychologicznie. Pozostaje dziewięć lat do chwili przedaw-
nienia morderstwa popełnionego na Teresie. A morderstwo jest jedyną zbrodnią tak poważną, by jako tako normalny człowiek mógł posunąć się do podobnej ostateczności, byle uniknąć wykrycia. Ponadto Forsberg ma niezwykle dużo do stracenia.

- Czy wiemy coś o jego poczynaniach wieczorem

trzynastego listopada?

- No cóż, zgładził wszystkich w autobusie, ze Stenstrómem i Góranssonem włącznie, bo w tej sytuacji zagrażali jego życiu. Ale właściwie jedyne, co wiemy, że miał sposobność popełnienia morderstwa.

- A skąd ta wiadomość?

- Gunvaldowi udało się zwabić służącą Forsbergów, Niemkę. Ma wychodne w każdy poniedziałek wieczorem. Według kalendarzyka, który miała w torebce, noc z trzynastego na czternastego spędziła u swego chłopca. Wiadomo nam też, z tego samego źródła, że pani Forsberg była tego wieczoru na damskim przyjęciu. Forsberg więc w założeniu musiał być w domu, bo nigdy nie zostawiają dzieci samych.

- Gdzie ona teraz jest? Ta służąca.

- Tu. I zatrzymamy ją przez noc.

- A co sądzisz o jego stanie psychicznym? - spytał

Kollberg.

287

- Prawdopodobnie bardzo zły. Na granicy załamania.

- Pytam, czy mamy dostatecznie obciążający materiał, żeby go aresztować.

- Nie za autobusową sprawę. To byłby fałszywy krok.

Ale możemy go zamknąć jako podejrzanego o zamordowanie

Teresy Camarao. Mamy kluczowego świadka, co zmienia pogląd na całość i cały szereg nowych faktów.

- Kiedy?
 - Jutro przed południem.
 - Gdzie?
 - W jego biurze. Jak tylko tam przyjdzie. Nie należy wciągać w to żony i dzieci. Zwłaszcza jeśli jest zdesperowany.
- ™ Jak?

- Możliwie najdyskretniej. Bez strzelaniny i wyważania drzwi.

Kollberg dumiał przez chwilę, potem postawił ostatnie pytanie.

- Kto?
- Ja i Melander.

XXXii

Blondynka siedząca przy centralce telefonicznej za marmurową ladą odłożyła pilnik do paznokci, gdy Martin Beck i Melander weszli do pokoju przyjęć.

Biuro Bjórna Forsberga znajdowało się na szóstym piętrze przy Kungsgatan, niedaleko od Stureplan. Piętra

288

czwarte i piąte też zajęte były przez przedsiębiorstwo Forsberga. Zegar wskazywał dopiero pięć po dziewiątej,

a przybyli wiedzieli, że dyrektor nie ma w zwyczaju zjawiać się przed wpół do dziesiątej.

- Ale sekretarka powinna zaraz przyjść - powiedziała panienka. - Proszę usiąść i poczekać. - W głębi pokoju poza zasięgiem wzroku recepcjonistki stało kilka foteli zgrupowanych wokół stolika ze szklanym blatem. Powiesili płaszcze, usiedli.

W pokoju było sześć drzwi nie oznaczonych żadnymi szyldzikami, jedno lekko uchylone.

Martin Beck wstał, najpierw zajrzał przez szparę, potem zniknął w głębi pokoju. Melander wyjął fajkę i woreczek z tytoniem, nałożył, zapalił. Martin Beck wrócił. Czekali w milczeniu. Czasem słychać było głos telefonistki i szcęk wtyczek przy przełączaniu rozmów. Poza tym dochodził tu tylko słaby szum uliczny. Martin Beck wertował zeszłoroczny numer „Przemysłu”. Melander siedział z półprzymkniętymi oczami.

Dziesięć po dziewiątej otworzyły się drzwi wejściowe i weszła kobieta w futrze, wysokich botach i z dużą torbą przewieszoną przez ramię.

Kiwnęła głową telefonistce i szybkim krokiem skierowała się do nie domkniętych drzwi. Nie zwalniając obrzuciła siedzących obojętnym spojrzeniem i z trzaskiem

zamknęła za sobą drzwi.

Po następnych dziesięciu minutach przyszedł Forsberg.

Ubrany był tak samo jak wczoraj, poruszał się szybko i energicznie. Właśnie miał powiesić płaszcz, gdy zauważył
289

Becka i Melandera. Na ułamek sekundy znieruchomiał w pół ruchu. Ale natychmiast opanował się, powiesił płaszcz i podszedł do nich.

Martin Beck i Melander wstali jednocześnie. Björn Forsberg pytająco uniósł brwi, nim otworzył usta, Martin Beck wyciągnął rękę przedstawiając się:

- Komisarz Beck, a to asystent Melander. Chcielibyśmy z panem pomówić.

Björn Forsberg uścisnął ich ręce.

- Proszę bardzo — powiedział. — Nic nie stoi na przeszkodzie. Zechcą panowie wejść.

Przytrzymał drzwi, gdy wchodzili, wyglądał spokojnie, nawet wesoło. Skinął głową sekretarce i powiedział:

- Dzień dobry, panno Sköld. Omówimy sprawy na dziś później. Teraz muszę z panami odbyć krótką rozmowę. Gabinet dyrektora był duży, jasny i elegancko umeblowany. Podłogę całkowicie pokrywał szaroniebieski dywan, wielkie biurko lśniło pustką. Dwa telefony, dyktafon i telefon

specjalny „dyrektorski” stały na stoliku obok obrotowego, krytego czarną skórą fotela. Na szerokim parapecie okna stały cztery fotografie w cynowych ramkach. Żona i troje dzieci. Między oknami olejny portret, przedstawiający prawdopodobnie teścia. Barek, stół konferencyjny z karafką wody i tacą pełną szklanek, kanapka z fotelami, szklana szafka a w niej książki i porcelanowe drobiazgi, dyskretnie wmontowana w ścianę kasa pancerna.

Wszystko to Martin Beck dostrzegł, nim zamknęły się za nimi drzwi, a Björn Forsberg zdecydowanym krokiem podszedł do swego biurka.

290

Stanąwszy za biurkiem, Forsberg oparł się lewą ręką o blat, pochylił i prawą rękę wsunął do otwartej szuflady. Gdy się znów wyprostował, miał palce zaciśnięte na kolbie pistoletu.

Wciąż opierając się jedną ręką o stół, drugą wsunął do ust lufę pistoletu, usta przywarły do lśniącej stali, nacisnął spust, patrzył przy tym na Martina Becka. Spojrzenie wciąż miał wesołe.

Nastąpiło to tak szybko, że Martin Beck i Melander znajdowali się dopiero w połowie drogi między drzwiami i biurkiem, gdy Björn Forsberg osunął się na lśniący blat.

Pistolet był odbezpieczony i spust napięty i dał się słyszeć szcęk jak przy uderzeniu iglicy w spłonkę, lecz kula, która miała przebić podniebienie i wyrzucić znaczną część mózgu Forsberga przez tylną część czaszki, wcale nie wyszła z lufy. Pozostała w łusce. Nabój, wraz z pięcioma pozostałymi, jakie były w magazynku, znajdował się w kieszeni Martina Becka.

Martin Beck wyjął jeden z naboii, przesunął w palcach i odczytał tekst na kołnierzyku łuski: Metalverken, 38.

Naboje były szwedzkie, lecz pistolet amerykański, Smith and Wesson 38 Special, wyprodukowany w Springfield, Massachusetts.

Björn Forsberg leżał z twarzą przyciśniętą do blatu biurka, ciałem jego wstrząsały drgawki. Po kilku sekundach osunął się na podłogę i zaczął krzyczeć.

- Najlepiej byłoby zadzwonić po karetkę pogotowia
- powiedział Melander.

Tak więc Rónn raz jeszcze zasiadł ze swym magnetofonem w izolatce Karolińskiego szpitala. Tylko nie na

oddziale chirurgii urazowej, a w klinice psychiatrycznej, za towarzysza miał nie nienawistnego Ullholma, tylko Gunvalda Larssona.

Wobec Bjórna Forsberga zastosowano różne sposoby lecznicze, dostawał zastrzyki uspokajające i zajmujący się nim lekarz-psychiatra od wielu godzin nie opuszczał pokoju. Pacjent wciąż jedno tylko powtarzał:

- Dlaczego nie pozwoliliście mi umrzeć?

Powtarzał to wielokrotnie, a teraz znowu powiedział:

- Dlaczego nie pozwoliliście mi umrzeć?

- Tak, to rzeczywiście pytanie — mruknął Gunvald Larsson, narażając się na surowe spojrzenie lekarza.

Prawdę mówiąc wcale by tu nie przyjeżdżali, gdyby nie opinia lekarzy, że Forsberg może rzeczywiście umrzeć.

Lekarze wskazywali na to, że pacjent został narażony na niezwykle silny szok, że ma słabe serce i stargany system nerwowy, dla zaokrąglenia diagnozy zaznaczyli, że stan ogólny nie jest zły. Oczywiście jeżeli nie brać pod uwagę zawału, który w każdej chwili może położyć kres życiu.

Rónn zastanawiał się właśnie nad określeniem „stan ogólny”.

- Dlaczego nie pozwoliliście mi umrzeć? - powiedział Forsberg.

- Dlaczego pan nie pozwolił Teresie Camarao żyć? — powiedział Gunvald Larsson.

- Bo to było nie do zniesienia. Musiałem się jej pozbyć.

- Dobrze - cierpliwie powiedział Rónn. - Ale dlaczego pan musiał?

292

- Nie miałem wyboru. Zniszczyłaby moje życie...

- No, wydaje się, że i tak zostało zniszczone — zauważył Gunvald Larsson.

Lekarz znowu spojrzał surowo.

- Nic nie rozumiecie - powiedział Forsberg. - Kazałem jej nigdy więcej nie przychodzić. Dałem jej nawet sporo pieniędzy, choć sam miałem trudności. A jednak...

- Co pan chciał powiedzieć — łagodnie zachęcił Rónn.

- Prześladowała mnie. Kiedy wróciłem tego wieczoru do domu, już leżała w moim łóżku. Nago. Wyniuchała, gdzie kładę zapasowy klucz, i weszła. A moja żona... moja narzeczona miała tam być za kwadrans. Nie było innego sposobu...

- A potem?

- Zniosłem ją do przechowalni futer.

- I nie bał się pan, że ktoś ją tam znajdzie?

- Były tylko dwa klucze do tego pomieszczenia. Jeden miał Nisse Góransson a drugi ja. A Nisse właśnie wyjechał.

- Jak długo ją pan tam trzymał?

- Pięć dni. Czekałem, aż będzie deszcz.

- Tak, pan lubi deszczową pogodę.
- Czy nie rozumiecie! Była szalona. W ciągu minuty mogła zniszczyć całe moje życie. Wszystko, co planowałem. Rónn pokiwał głową. To szło gładko.
- Skąd miał pan pistolet maszynowy? - spytał Gunvald Larsson zniechęcony.
- Zabrałem z sobą wracając z wojny.
- Szwedzki?
- Fiński. Suomi trzydzieści osiem.

293

- Gdzie on teraz jest?
 - Tam, gdzie nikt go nie znajdzie.
 - W morzu.
 - Lubił pan Nilsa Góranssona? - spytał po chwili Rónn.
 - Nisse to porządny chłopak. Byłem dla niego jak ojciec.
 - A jednak go pan zabił.
 - Zagrażał mojej egzystencji. Mojej rodzinie. Wszystkiemu, dla czego żyję. Na to nie było rady. Ale ja go uśmierciłem szybko i bezboleśnie, nie dręczyłem tak, jak wy mnie dręczycie.
 - Czy Nisse wiedział, że to pan zabił Teresę? - spytał Rónn.
- Wciąż mówił spokojnie i bardzo życzliwie.

- Zorientował się. Nie był głupi. Ale dobry z niego był kolega. Dałem mu dziesięć tysięcy i nowy samochód, kiedy się ożeniłem. Potem rozstaliśmy się na zawsze.
 - Na zawsze?
 - Tak, nigdy nie dawał znaku życia, do zeszłej jesieni. Zadzwonił, powiedział, że ktoś go śledzi dniem i nocą. Był przestraszony i bez pieniędzy. Pieniądze dostał. Próbowałem namówić go, żeby wyjechał z kraju.
 - Ale nie dał się namówić?
 - Nie. Był załamany. Śmiertelnie wystraszony. Bał się, że to ściągnie na niego podejrzenie.
 - I dlatego go pan zabił?
 - Musiałem. Nie było wyboru. Zniszczyłby moją egzystencję. Przyszłość moich dzieci. Moje przedsiębiorstwo. Wszystko. Nie chciał tego, ale był słaby, nieodpowiedzialny i tchórzliwy. Wiedziałem, że prędzej czy później przyjdzie
- 294
- do mnie po pomoc. I w ten sposób doprowadzi mnie do zguby. Albo też policja go zatrzyma i zmusi do mówienia. Był narkomanem, słaby i nieodpowiedzialny. Policja torturowałaby go aż do skutku, póki by nie powiedział wszystkiego.
- Policja nie ma zwyczaju torturować kogokolwiek

— stwierdził Rónn.

Forsberg po raz pierwszy odwrócił głowę w jego stronę. Ręce i nogi miał skrepowane. Patrząc na Rónna powiedział:

- A jak pan to nazywa?

Rónn opuścił oczy.

- Gdzie pan wszedł do autobusu? - spytał Gunvald Larsson.

- Na Klarabergsgatan. Przed domem towarowym Ahlena.

- A tam jak się pan dostał?

- Samochodem. Zaparkowałem przed moim biurem. Tam jest zarezerwowane miejsce parkingowe.

- Skąd pan wiedział, którym autobusem będzie jechał Góransson?

- Dzwonił, umówiliśmy się.

- Innymi słowy, umówił się pan z nim, jak ma postąpić, żeby zostać zamordowany.

- Czy pan nie rozumie, że nie miałem wyboru. Poza tym zrobiłem to humanitarnie, tak, że ani się domyślał, ani nic nie zauważył.

- Humanitarnie? A cóż to ma wspólnego!

- Czy nie możecie mnie zostawić teraz w spokoju?

- Jeszcze nie. Proszę wpierw wyjaśnić całą sprawę autobusu.

- Dobrze. A potem pójdziecie sobie?

Rónn spojrział na Gunvalda Larssona i powiedział:

- Tak. Potem pójdziemy.

- W poniedziałek przed południem Nisse zadzwonił do mnie do biura. Był zdesperowany, mówił, że ten człowiek chodzi za nim, gdziekolwiek się ruszy. Zrozumiałem, że długo już nie wytrzyma, wiedziałem, że tego wieczoru i moja żona, i służąca wychodzą. Pogoda była odpowiednia. Dzieci wcześniej kładą się spać...

- Co dalej?

- Powiedziałem Nissemu, że chcę obejrzeć tego, kto za nim chodzi. Żeby go zwabił do Djurgarden, zaczekał, aż przyjedzie piętrowy autobus, odjechał stamtąd o dziesiątej i jechał aż do końcowego przystanku. Na kwadrans przed wyruszeniem miał zadzwonić do mnie do biura. Z domu wyjechałem po dziesiątej, zaparkowałem wóz, poszedłem do biura i czekałem nie zapalając światła, jak było umówione, zszedłem i czekałem na autobus.

- A miejsce widział pan przedtem.

- Pojechałem tam wcześniej, za dnia. Miejsce było dob-

re, nie sądziłem, by w pobliżu ktoś się znajdował, zwłaszcza jeżeli wciąż będzie padać. Liczyłem też, że tylko jacyś pojedynczy pasażerowie będą jechać aż do końcowego przystanku.

Najlepiej byłoby, gdyby tylko Nisse, ten co go tropił, kierowca i może jeszcze jedna-dwie osoby siedziały w autobusie.

- Jedna-dwie osoby — powtórzył Gunvald Larsson.

- Kto mianowicie?

296

- Wszystko jedno kto. Dla pozorów.

Rónn spojrzał na Gunvalda Larssona i pokiwał głową.

Potem zwrócił się do leżącego na łóżku:

- Co pan czuł?

- Zawsze trudno jest powziąć decyzję. Ale ja jestem taki, że kiedy raz coś postanowię, przeprowadzam to, choćby...- urwał.

- Obiecaliście pójść sobie stąd — powiedział po chwili.

- My jesteśmy tacy, że to, co obiecujemy, a to, co robimy, to dwie różne rzeczy — oświadczył Gunvald Larsson.

Forsberg spojrzał na niego z rozgoryczeniem.

- Tylko mnie torturujecie i kłamiecie.

- W tym pokoju więcej jest takich, co kłamią

- powiedział Gunvald Larsson. — Pan się zdecydował na zabicie Góranssona i asystenta Stenstróma na wiele tygodni

przedtem. Może nie?

- Tak.
- Skąd pan wiedział, że Stenstróm jest policjantem?
- Obserwował go. Tak, żeby Nisse nie zauważył.
- Skąd pan wiedział, że pracuje sam?
- Nikt go nigdy nie zmieniał. Doszedłem więc do wniosku, że pracuje na własną rękę, dla kariery.

Gunvald Larsson milczał pół minuty.

- Pan powiedział Góranssonowi, żeby nie zabierał z sobą żadnych dokumentów — powiedział w końcu.
- Tak, poleciłem mu to od razu, kiedy pierwszy raz zadzwonił.
- W jaki sposób nauczył się pan manewrować drzwiami autobusu?

297

- Obserwowałem pracę szofera. A jednak nie poszło gładko. To był inny, niewłaściwy typ autobusu.
- Na jakim miejscu siedział pan w autobusie? Na dole czy na górze?
- Na górze. Wkrótce zostałem tam sam.
- A potem zszedł pan z pistoletem gotowym do strzału.
- Tak, ukryłem go, Nisse i ten drugi, który siedział z tyłu, nie mogli go zobaczyć. A jednak był taki, co się

zerwał. Trzeba być zawsze przygotowanym na podobne rzeczy.

- A gdyby pistolet się zaciął? Stary gruchot.
 - Wiedziałem, że działa, znam moją broń i sprawdziłem ją dokładnie przed zabraniem do biura.
 - A kiedy pan zabrał pistolet do biura?
 - Tydzień wcześniej.
 - I nie bał się pan, że ktoś go tam znajdzie?
 - Nikt nie ośmieliłby się szperać w moich szufladach, zresztą są zamknięte.
 - A gdzie go pan przedtem trzymał?
 - W zamkniętej walizce na strychu. Razem z innymi wojennymi trofeami.
 - Gdzie się pan udał po zastrzeleniu wszystkich tych ludzi?
 - Poszedłem przez Norra Stationsgatan aż do terminalu linii lotniczych, stamtąd wzięłem taksówkę, pojechałem do biura, zabrałem swój wóz i wróciłem do domu.
 - A pistolet wyrzucił pan po drodze - wtrącił Gunvald Larsson. - Spokojna głowa. My go znajdziemy.
- Forsberg nie odpowiedział.

298

- I co pan czuł strzelając?

- Broniłem mojej rodziny, mojego domu, mojej firmy. Czy stał pan kiedy z bronią w ręku wiedząc, że za kilka sekund trzeba będzie wskoczyć do okopu pełnego wroga?

- Nie — powiedział Rónn. - To mi się nigdy nie zdarzyło.

- To pan nic nie rozumie! — krzyknął Forsberg. - Pan nie powinien zabierać głosu. Jakże mógłby mnie zrozumieć podobny idiota!

- To dalej trwać nie może - wtrącił lekarz. — Trzeba go zabrać na zabieg.

Nacisnął dzwonek. Weszło dwóch pielęgniarzy. Forsberg dalej wrzeszczał, wytoczono go wraz z łóżkiem z pokoju. Rónn zabrał się do pakowania magnetofonu.

- Nienawidzę tego drania — oświadczył nagle Gunvald Larsson.

- Co?

- Powiem ci coś, czego jeszcze nigdy nikomu nie mówiłem - wyjaśnił Gunvald. - Żal mi wszystkich prawie, z którymi stykam się w tej pracy. Są przeważnie zaszczuci. Żałują tego, że się w ogóle urodzili. To nie ich wina, że nic nie rozumieją i że wszystko się im nie udaje. To tacy, jak ten tu, niszczą ich byt. Takie samolubne świnie, co myślą tylko o swoich pieniądzach, swoich domach, swoich

rodzinach i swoich tak zwanych stanowiskach. Co uważają, iż mogą innym rozkazywać tylko dlatego, że właśnie udało im się zająć lepsze stanowisko. Takich ludzi jest mnóstwo, tylko większość z nich nie popełnia głupstw w rodzaju duszenia portugalskich dziwek. I dlatego my się z nimi 299

nigdy nie stykamy. Widujemy tylko ich ofiary. Tu mamy do czynienia z wypadkiem wyjątkowym.

- Być może masz rację — powiedział Rónn.

Opuścili pokój. W głębi korytarza przed jakimiś drzwiami stali dwaj wysocy policjanci. Nieruchomo, z rękami skrzyżowanymi.

- Co widzę, to wy - burknął Gunvald Larsson.

- A prawda, ten szpital znajduje się na terytorium Solny.

- No, toście go w końcu złapali - powiedział Kvant.

- Właśnie - dodał Kristiansson.

- Nie my, to głównie zasługa Stenstróma - sprostował Gunvald Larsson.

W jakąś godzinę później Martin Beck i Kollberg popijali kawę w pokoju służbowym na Kungsholmsgatan.

- Właściwie Stenstróm wyjaśnił zagadkę zamordowania Teresy - powiedział Martin Beck.

- Tak - przyznał Kollberg. - Niemądrze jednak

postępował, że pracował tak zupełnie sam i że nie zostawił żadnego papierka w tej sprawie. Dziwne, ale ten chłopak do końca nie wydorósł.

Zadzwonił telefon. Martin Beck podniósł słuchawkę.

- Cześć. Tu Mansson.

- Gdzie jesteś?

- Teraz w Vastberdze. Znalazłem tę stronę.

- Gdzie?

- W pokoju Stenstróma. Pod przykryciem na biurko

Martin Beck się nie odezwał.

- A wydawało mi się, że wy tu wszystko przeszukaliście

- dodał Mansson z wyrzutem. - Chyba tak mówiłeś?

300

- No i co?

- Zrobił na tej stronie parę uwag. W prawym rogu u góry napisał: odłożyć do teczki „sprawa Teresy”, a na dole wypisał nazwisko Bjorn Forsberg i znak zapytania.

Czy to wam coś mówi?

Martin Beck i na to nic nie odpowiedział. Ze słuchawką w ręce zaczął się głośno śmiać.

- Ładnie — powiedział Kollberg. — Śmiejący się policjant. - Pogrzebał w kieszeni. - Masz tu piątką.

Agencja „AUTOGRAF”

kolporter drugiej części „Przeminęło z wiatrem”

pt. „Scarlett”

informuje, że przeniosła swoją siedzibę

na ul. Aleksandra Zelwerowicza 19

02-928 Warszawa, tel. 42-01-32

Agencja „AUTOGRAF”

zaprasza do hurtowni wszystkich, którzy chcieliby nabyć m.in.

książki wydawnictw:

„ATLANTIS”

Alexandra Ripley, Scarlett, tom I i II

Alexandra Ripley, Dziedzictwo Nowoorleańskie

Michael Korda, Queenie

Roger Żelazny, Pan światła

Roger Żelazny, Pan snów

Robert E. Howard, Conan

Ryder Syvertsen, Bogowie jaskiń

w przygotowaniu:

Alexandra Ripley, Charleston

Alexandra Ripley, Żegnając Charleston

Catthy Cash Spellan, Malowane wiatrem

„REPORTER”

K.P. Werden, Strzał do... Lecha Wałęsy

Eugene Dabit, Hotel du Nord

Benito Perez, Galdós, Zjawia

Artur Omre, Ucieczka

Tadeusz Baranowski, Wesołe miasteczko, kolorowanka dla
dzieci

Tadeusz Baranowski, Ecie-pecie o wszechświecie, wynalazku
i komecie, komiks dla dzieci

Marek Baraniecki, Głowa Kasandry

Andrzej Sapkowski, Wiedźmin

Zbiorowa s-f, Pożeracz szarości

Alec Sander, Zapłacisz życiem

Janusz Atlas, Atlas towarzyski

M. Bartosik, Z. Krzysztyniak, Brylantowa mafia

Per Olov Enquist, Piąta zima magnetyzera

Zbiorowa, Demony Belwederu

W. Jaruzelski - Pożoga

w przygotowaniu:

Juliette de Gautier, Eryk Mistewicz, Encyklopedia życia

(żywność, zdrowie, kosmetyki, mieszkanie, kuchnia, odpady,
transport, energia, ogród, weekend)

Andrzej Krawczyk, Jarocin

Alice Habsburg, Pamiętniki

Powrót Trędowatej - Stefania

Janusz Atlas, Atlas kryminalny

Janusz Atlas, Atlas erotyczny
Zamówienia księgarń i hurtowników
przyjmuje Agencja „AUTOGRAF”,
ul. Aleksandra Zelwerowicza 19,
02-928 Warszawa, tel. 42-01-32.

Sposoby płatności do omówienia
Zapraszamy od poniedziałku do piątku
w godz. 9.00-17.00

ATALTD

techniczne wyposażenie biurowe

telefaksy

centrale telefoniczne

0 kopiarki

części zamienne

0 materiały eksploatacyjne

6 papier do kopiarek i drukarek lasero-

wych najwyższej jakości NEUSIED-

LER TOP — COLOR

duży wybór — najniższe ceny

ATA LTD

ul. Malawskiego 7, XI p., 02-641 Warszawa

tel./fax 48-40-03 tel. 48-49-31 tlx 817850